

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/492

1988

Wydanie krajowe

**MYSŁ**



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. POLESKI : **G D Y B Y...**

R. GRUPIŃSKI : **CI WSPANIALI MĘŻCZYŹNI  
OD PODSTAWOWYCH WARTOŚCI...**

WŁ. ODOJEŃSKI : **JEDŹMY, WRACAJMY...**

W. CHARŁAMP : **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

A. KOŁODZIEJ :

**WSPÓLRZĄDZIĆ CZY KONSPIROWAĆ**

# SPIS RZECZY

—	<i>Antena „Kultury”</i> .....	2
Maciej Poleski:	<i>Czyby...</i> .....	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Pastoralna historia</i> .....	9
Rafał Grabiński:	<i>Ci wspaniali mężczyźni od podstawo- wych wartości</i> .....	13
Elżbieta Miła:	<i>Wskazacje</i> .....	24
Włodzisław Odojewski:	<i>Jakimi, wracajmy... (I)</i> .....	28

## WIERSZE

Maciej Nemirow:	<i>** — Zawsze płomień tylko</i> .....	46
Archiebaj Tinkow:	<i>Zapisk z dwudziestego piątego maja 1946 roku</i> .....	48

## ARCHIWUM POLITYCZNE

Jas Lipiński:	<i>Po odmiennosciach zwycięzcy</i> .....	49
Zdzisław Byński:	<i>Trzeba zamknąć bezkompromisowo do mówie- nia granicy</i> .....	51

## WYWIADY „KULTURY”

Wiesław Szubelicki:	<i>Nie tylko kawa. Rozmowa z Mirosła- wem Jasińskim, przewodniczącym Sekcji Kultury Polsko-Czechosłowackiej</i> .....	56
---------------------	---	----

## K R A J

Tomasz Janz:	<i>Młody Wrocław</i> .....	64
Witold Charłamp:	<i>Dziennik samopomocy</i> .....	75
Włodzisław Kuszyński:	<i>Komunistom i bezpartyjni (I)</i> .....	84
—	<i>Polscy Komuniści w Holandii</i> .....	94
—	<i>Budowa internatu w Świdym Horze</i> ..	95

## SPRAWY I TROSKI

Redaktor:	<i>Jauność</i> .....	97
Robert Pez:	<i>Sprawy Zjednoczone pomagają polskiej opozycji finansowo i technicznie</i> ..	98
Melchiora Dmochowska:	<i>Emigranci</i> .....	99
—	<i>Komitet Polnal Foundation</i> .....	102

## SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	103
Andrzej J. Chlewicki:	<i>Kwartalnik niemiecki</i> .....	110
A.M.P.:	<i>Kwartalnik czeski i słowacki</i> .....	114
Józef Darski:	<i>Kwartalnik węgierski</i> .....	115
—	<i>Białoruskie Zrzeszenie Studentów</i> ..	117

## CI, CO ODESZLI

Kazimierz Łukomski, Bolesław Wierzbiański:	<i>Alejozy Mazowski</i> .....	119
Daniel Beauvois:	<i>Asterotte Jobert, historyk i przyjaciel Polski</i> .....	122

## WOLNA TRYBUNA

Andrzej Kołodziej:	<i>Współpracować czy konspirować? .....</i>	123
--------------------	---	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

---

PARYŻ      Wrzesień - Septembre      1988

---

wydanie krajowe

**MYŚL**

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## ANKIETA „KULTURY”

Wiosną bież. roku zwróciliśmy się do Polaków przybyłych na Zachód po 13 grudnia 1981 roku z ankietą pt. *Dlaczego jestem na Zachodzie*. Ankieta wywołała spore zainteresowanie zarówno prasy emigracyjnej (przedruki) jak samych zainteresowanych. Nadeszło ponad 800 odpowiedzi, niekiedy uzupełnianych dodatkowymi wyjaśnieniami i uwagami na temat sytuacji w Polsce i nowego kraju zamieszkania.

Odpowiedzi nadeszły z 19 państw: zarówno od osób przebywających w ośrodkach przesiedleńczych, jak już osiadłych na stałe. Wyniki ankiety będą opublikowane przed końcem bieżącego roku w *Kulturze*.

Wszystkim osobom biorącym udział w Ankiecie, jak również tym wszystkim, którzy pomogli w jej przeprowadzeniu serdecznie dziękujemy.

REDAKCJA „KULTURY”

### WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Kajetan Bieniecki, Montreal, PQ (Kanada) — dla uczczenia pamięci śp. inż. Ludwika Wiechuły, cichociemnego „Jelenia”, zmarłego 26 września 1987 w Montrealu .....	F.1.000,00
Kazimierz Brandys, Paryż .....	F. 500,00
Dla uczczenia pamięci Matki doc. dr med. Marii Wilk-Wilczyńskiej, zmarłej 12 maja 1988 roku w Västeras (Szwecja) — syn z rodziną — Krs 250,00 .....	F. 232,00
Dla uczczenia pamięci Ojca, dr med. Seweryna Wilk-Wilczyńskiego, oficera A.K., pseudonim „Dr Stefan”, uczestnika Powstania Warszawskiego, w 10-tą rocznicę Jego śmierci — syn z rodziną, Västeras (Szwecja) — Krs 250,00 .....	F. 232,00
Fundusz Kazimierza F. Vincenza i Halszka Vincenz oraz Kiermasz Książki Polskiej S.P.K. w Szwajcarii — zamiast kwiatów na grób Przyjaciela, redaktora Wiesława Wohnouta ..	F.1.977,05
Inż. Zb. Hornung, Vlissingen (Holandia), po raz 7-my .....	F. 90,00
Dr Jacek Jędruch, Summit, NJ (USA), po raz 13-ty — \$ 25,00	F. 160,00
Lech Krysiwicz, Montreal, PQ (Kanada), po raz 2-gi — \$ c.50,00	F. 250,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 14-ty — DM 30,00	F. 100,00
Stanisław i Ewa Marszewscy, Los Angeles, CA (USA) — dla uczczenia pamięci przyjaciół Ludwika i Tei Wiecheckich, zmarłych tragicznie na Florydzie w maju 1988 r. — \$ 30,00	F. 192,00
Pamięci Jarka Odyńskiego, Janka Prauznera i Witka Ignatowicza, zastrzelonych w obozach Workuty w 1953 r. — siostry i przyjaciele — \$ US 30,00 .....	F. 192,00
Dr Anna G. Usowicz, San Francisco, CA (USA), po raz drugi — \$ 30,00 .....	F. 192,00
Maciej Wierzyński, Evanston, IL (USA) — zamiast kwiatów na grób Matki, w drugą rocznicę Jej śmierci — \$ 30,00 ..	F. 192,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Władysława Minkiewicza — rodzina Polanowskich, Sztokholm .....	F. 100,00
Janusz Zembruński, Anglet (Francja), po raz 49-ty .....	F. 500,00
Anonimowo z Paryża .....	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 174)

## Gdyby...

Gdyby za pół roku Polska odzyskała niepodległość, nie miałby kto ani jak nią rządzić. Na szczęście mamy jeszcze trochę czasu.

Demokracja jest najgorszą formą rządów, jeśli wykluczmy wszystkie inne — mówił Winston Churchill. Nasza opozycyjna demokracja wydaje się nie najgorsza tylko dlatego, że komuniści gwarantują silny kontrast. Gdyby opozycja pozbyła się prudencji i powiedziała sobie jasno, że — chcąc nie chcąc — dąży do tego, żeby kiedyś sprawować władzę, musiałaby wypracować własne ramy życia politycznego bez ciągłego odwoływania się do systemu. Za kształt demokracji, za własny warsztat myślenia i działania odpowiadają *last but not least* sami demokraci.

Ruch społeczny, który zaczęł białą-czerwoną flagę na literze „N”, nie próbuje nawet zorganizować współpracy ośrodków niepodległościowych kraju i emigracji. Woli tworzyć mniejszościowe gremia kierownicze. Patrząc chłodnym okiem, wszyscy niezależni samorządni, dysponujący pieniędzmi i organizacją mogliby uznać przynajmniej jeden pewnik: tak, jak nie udało się wykluczyć ich samych z gry i przetrwali wewnętrzne spory, trwać będą też inni. W polu rozważań pozostaje niewielka liczba instytucji, których działania środowiskowe i polityczne uzupełniają się. Niemniej przyjęcie przez nie w kraju i na emigracji oraz w układzie kraj — emigracja jakichkolwiek sformalizowanych zasad współpracy wydaje się dziś *science fiction*. Dlaczego?

Struktury organizacyjne nie są i nigdy nie były schematem, w który posłusznie wpisywali się ludzie, znajdując zadania na swoją miarę. Żądza władzy, potęgi, ambicja bycia są najlepszym napędem ich budowania, nie gorszym niż entuzjazm, który wzbudza deklarowane cele. Chcemy, żeby kawałek wolności, który wydzieramy komunistom, zależał od nas — od ciebie, ode mnie. Ale... Jest jedno *ale*. Tak jak pole ma rodzić zboże, a fabryka produkować maszyny, tak organizacja niepodległościowa musi służyć bardziej „za i dla” niż „przeciwko i bez”. Istnieje stopień niesprawności struktury, powyżej którego forma zaprzecza treści, środki — celom.

Przyjęcie zasad ograniczonej współpracy pozwoliłoby działać na zasadzie federacji, zanim wzajemne blokowanie decyzji politycznych stałoby się tematem badań historyków. Historyków, którzy nie znoszą „gdybania”, ale wciąż piszą dzieje zmarnowanych polskich szans. Marazm organizacyjny, który odsoniła fala strajków wiosny 1988, nie jest skutkiem bezruchu. Jest wynikiem miotania się od zamysłu do konkurującego z nim pomysłu. Części „Solidarności” trwają w bezładnym ruchu. Wszelka krytyka centrum, tym bardziej z emigracji, jest ignorowana. Nazywanie tego narcyzmu politycznego pluralizmem zakrawa na magię. Opozycja zroszowała, że morzem nie należy dyrygować, ale chce płynąć na wzburzonej fali strajków, spierając się przy sterze, wydając sprzeczne rozkazy lub nabierając wody w usta. Choćby słonej.

Tuż po stanie wojennym narzekano na brak programu. Tak, jakby 10-milionowa organizacja dopiero co rozbita w jedną noc była w stanie unieść dowolny program. Na szczęście życie jest bogatsze niż komentarze polityczne. Narodziły się pomysły-programy i obrosły organizacyjnymi strukturami. Gdy po amnestii '86 wynurzyły się na powierzchnię, rozległy się kolejne jeremiady: nie ma pomysłów politycznych! A może mniejszościowe kierownictwo ruchu, idące, na przekór zasadzie Lenina, krok za, a nie krok przed masami — próbuje realną, wielowątkową strukturę „Solidarności” wtłoczyć w stare schematy?

Pomysł polityczny to idea i ludzie, którzy pracują nad nadaniem jej w działaniu własnego kształtu. Idee i ludzie są. Pytanie: czy ci, którzy sami wzięli na siebie obowiązek przywódców, zapewnili to minimum porządku demokratycznego, które pozwala sumować pomysły? Nie, działania się odejmują, często następuje „wyzerowanie” społecznej energii. Gdyby każdy Polak z emigracji solidarnościowej dał na kraj równowartość dwóch biletów metra rocznie, byłby to milion dolarów. Trudno, żeby miał do tego przekonanie po przekazaniu innego miliona dolarów dla PRL-u. W dodatku nie wiedząc do dziś, kto podjął tę decyzję i co nim kierowało. (Znam winnych — poczekam, aż sami się przyznają).

Zarysowany w tym tekście projekt polityczny nie jest scenariuszem dla społecznej inżynierii. Jest hipotezą roboczą, której warto się przyjrzeć z myślą o consensu opozycji i społeczeństwa, kraju i emigracji. Jest notatką z podróży Warszawa - Nowy Jork - Waszyngton - Londyn - Paryż - Monachium - Warszawa. Do jej spisania zobowiązuje mnie pozycja *outsider'a* w stosunku do politycznych koterii, ale i upartego widza-uczestnika. Z takiego dystansu widać, że ludzie i instytucje wykluczające się w słowach, faktycznie — nieraz wbrew swej woli — sumują swoje działania. Historia nie zatrzymuje się, na szczęście, na sporach, przy których tak często zatrzymują się historycy.

Projekt, nazwany tu GDYBY, jest prosty, ba, oczywisty. Sprowadza się do odpowiedzi na jedno pytanie: czy zamiast powoływać nowe centra, nie można by federować istniejących?

Ośrodki polityczne w kraju, które tak lub inaczej identyfikują

się z ruchem „Solidarności” lub go wspierają, dają się policzyć na palcach obu rąk. Na emigracji jest podobnie. Między tymi ośrodkami krąży wielu ludzi dobrej (a w dodatku silnej) woli, którzy uważają, że ich osobista niezależność lepiej służy budowaniu „Solidarności” niż włączenie się do sporów. Nie ludzie-instytucje, lecz „jednoosobowe organizacje z ograniczoną odpowiedzialnością” są solą naszego ruchu. To one ogniskują aktywność zakładów pracy, kręgów koleżeńskich, małych miast. I te właśnie jednoosobowe organizacje najbardziej potrzebują siedorowania ruchu niepodległościowego. Nie rządu dusz bowiem pragną, nie przewagi swojej grupy, a szans sensownego działania wpisanego w większą całość bez utraty samodzielności. „Solidarność”, która wyrosła z ruchu oporu po stanie wojennym, jest już inna od tej pierwszej. W kraju i na emigracji stała się firmą firm. Zachowując nazwę, zmieniała strukturę. Gdyby Lech Wałęsa chwilę się nad tym zastanowił, to nie próbowałby wchodzić drugi raz do tej samej rzeki sporów, dobrych rad i braku decyzji. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy A.D. 1988 jest jednym z nurtów szerokiego ruchu oporu. „Solidarność” jest dziś silna tylko wtedy, gdy nie dąży do wyłączności, gdy uznaje odrębność innych organizacji i ogniskuje aktywistów wokół wciąż żywego symbolu. W tym szerokim ruchu „Solidarności” mieszcza się wszyscy, którzy uznają odrębność kraju i państwa, Polski i PRL-u. Ci, którzy legalnymi czy nielegalnymi środkami wzmacniają siłę kraju, ażeby kiedyś odzyskać państwo. Ci, którzy rozumieją, że strajki i żądania związkowe trzeba prowadzić równoległe z walką o wolną przedsiębiorczość, o zwiększenie produktywności społeczeństwa staczającego się do Czwartego Świata. Ci, którzy rozumieją, że trzeba wzmacniać naród, a nie państwo PRL, które nim zawładnęło. Po co wspierać idiotyzm, jeśli nie jest się komunistą?

Kraj zawdzięcza emigracji przetrwanie stałych punktów odniesienia dla narodowej świadomości. Nie o ukłony dla niekomych tu chodzi, by zaraz potem przysypać ich — jak zawadzające pomniki — pyłem pieriestrojki. *Kultura* i jej krąg przyjaciół, czy londyński ośrodek legalistyczny — Rząd R.P. na Wychodźstwie — trwały na przekór Jałcie, gdy my wykluwaliśmy się z peerelowskich ograniczeń. Powiedzieć dzisiaj emigracji: my w kraju jesteście od myślenia, a wy od przedruków naszych programów, wysyłki sprzętu i pieniędzy, to nie brak taktu, lecz głupota. Amatorszczyznę, naiwność krajowych kalkulacji politycznych widać lepiej z Zachodu niż z bliska. Kraj, bijąc w krytykę emigracyjną, tłucze tylko lustro. Kongres Polonii Amerykańskiej czy *Aneks* pomagali opozycji, zanim fala solidarnościowej emigracji utworzyła swoje komitety. Z punktu widzenia kraju na równi potrzebni i niekonkurencyjni są: Komitet Brukselski J. Mikewskiego, paryskie stowarzyszenie „Kontakt” M. Chojeckiego czy nowojorski Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej I. Lasoty.

Z dystansu podróżującego krajowca widać wyraźniej to, co umyka świadkom wydarzeń lub zacierza się w nadwiślańskiej prze-

sadzie o potępienięcych swarach emigracji. Nie jest tak źle, a na pewno nie gorzej niż w kraju. Urodzony na emigracji Janek Chodakowski wie, że londyński *Puls* zawdzięcza tyleż krajowi, co wydawnictwo „Polonia”, którym równoległe kieruje — wojennemu wychodźstwu. Gdybyśmy nad Wisłą zdobyli się na dystans przyjeźdnego emigranta, gotowego wysłuchać zdania każdej ze stron, okazałoby się, że i tu zasadę *albo — albo* można z pożytkiem dla sprawy polskiej zastąpić przez *i — i*.

Pogląd, iż kraj ma decydować o polityce opozycji, a emigracja jest od dostarczania na nią środków jest podobnie krzywdzący, jak podział działaczy „Solidarności” na struktury decyzyjne i wykonawcze. Fiasko TRS i KKW, które miały wydawać polecenia TKK powinno zniechęcić do tworzenia kolejnych mniejszościowych reprezentacji, które szukają „ludzi do roboty”. Kto odpowiada za konstrukcję intelektualną — bo przecież nie polityczną! — w której w Bydgoszczy nie było Rulewskiego, w Łodzi — Słowika, w Szczecinie — Jurczyka, a w Gdańsku — Gwiazdy? Ci, którzy pretendowali do miana ludzi-institucji zapomnieli, że siłą demokracji jest przymus właściwego zachowania się przy stole w trakcie kłótni. Eliminowanie kogoś z gry, gdyż z góry wiadomo, że często nie będzie się zgadzał, zaprzecza consensuowi „Solidarności”. Typowa dla intelektualistów ambicja autorska w polityce okazała się kafkowską klatką, która poszła szukać ptaka.

Jakie organizacje i środowiska przetrwały jako samodzielne siły w krajobrazie politycznym kraju? Lech Wałęsa i zmieniający się zespół jego współpracowników, zwanych zwykle doradcami. Bujak, Kulerski, Lityński, Bieliński i reszta RKW Mazowsze, jedynego regionu, w którym niewątpliwie obowiązuje zasada większościowa. Komitet Helsiński i Komisja Interwencji Romaszewskiego. Wolność i Pokój — NZS — Pomarańczowa Alternatywa, jedyne ruchy, które nie zasklepiły się w schematach kombatanckich i umiały stworzyć własne wzorce jawnych działań. KPN łącznie z sympatykami i dysydentami od Moczulskiego. Niezależny Związek Harcerstwa Polskiego, wielotysięczny antytotalitarny ruch młodzieży, któremu patronuje ostatni naczelnik Szarych Szeregów, Stanisław Orsza-Broniewski. *Res Publica*, Towarzystwo Przemysłowe i zbliżone próby wyciągania Polski z Czwartego Świata. Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych obejmujące swoją działalnością około 40 oficyn i świadome, że bibułą można zacząć politykę, ale nie może się na tym skończyć. *Polityka Polska* Aleksandra Halla i grupa *Głosu* Naimskiego i Macierewicza.

Nieprzypadkowo w tym wyliczeniu formacji politycznych nie wymieniłem doradców Kościoła i „Solidarności”.

W ostatniej encyklice Jan Paweł II jednoznacznie stwierdził, że nie ma „trzeciej drogi” między liberalizmem a komunizmem, a zatem Kościół nie chce utożsamiać swojej doktryny społecznej z jakimś określonym systemem politycznym. Niemniej liczne grupy intelektualistów i działaczy społecznych uznają, że formuła *iść równoległe z Kościołem, ale nie razem* jest dla nich niewystarczająca. Jeśli ma to oznaczać przejście na pozycje media-



cyjne, to można tylko mieć nadzieję, że koszty polityczne takiej postawy nie będą tak wysokie, jak w czasie ostatnich strajków i sprawy uwolnienia działaczy „Solidarności Walczącej”. Nie sądzę, żeby którykolwiek z odtrąconych mediatorów Kościoła zdołał wytłumaczyć pobitym w Nowej Hucie robotnikom, że dialog społeczny jest dyskursem racji a nie walka, w której decydują fakty dokonane. I Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki mogli się przekonać, że są sytuacje, gdy nie ma trzeciej drogi — trzeba wybierać, choćby wołało się doradzać i dyskutować, niż podejmować decyzje.

Charakterystyczne: gdy zmniejsza się ryzyko działalności politycznej, zanika też *fair play*. Federacyjna struktura ruchu nie narusza niczych interesów politycznych, z wyjątkiem tych, których ambicją jest czysta manipulacja. W projekcie GDYBY kraj i emigracja muszą pokonać sprzeczności doraźnych celów polityków i strategicznych celów polskiej polityki. Tzw. lewica i tzw. prawica lubią dociekać totalitarnych korzeni w przeszłości adwersarzy, a czasem własnej. Wolę mówić o terażniejszości i przyszłości. Jeśli chcemy w przyszłej Polsce rządów prawa, musimy już w nasze obecne życie wprowadzić choćby niepisane zasady demokratycznego współdziałania.

Organizacja ruchu niepodległościowego bilansująca dotychczasowe sukcesy i porażki wymaga dwukierunkowego działania: ośrodki emigracyjne i krajowe muszą wzajemnie się uwiarygodnić. Jest to tym bardziej potrzebne, że żadnej ze stron nie udało się osiągnąć współpracy i reprezentacji interesów za pośrednictwem wysłanych kurierów czy pełnomocnych delegatów. Obecność polityczna wymaga zakorzenienia w rzeczywistości i jawnej kontroli. Gdyby w życiu politycznym obowiązywała jakakolwiek logika, stałoby się to już parę lat temu i pozwoliłoby uniknąć wielu błędów. Dziś — jak wtedy — nie wiemy, ile czasu nam pozostało.

Jak zacząć porządkować niezależny *business* polityczny? To proste. Od jawności: ile pieniędzy otrzymuje na swoją działalność „Solidarność”, a ile inne organizacje opozycyjne; kto będzie dysponował pieniędzmi pozasolidarnościowymi; komu i na co daje się pieniądze. Jeśli można było zaryzykować koszty polityczne odrzucenia jednego miliona pomocy amerykańskiej i wzięcia potem drugiego miliona, opublikowanie ramowych wydatków „Solidarności” i organizacji opozycyjnych może być sukcesem propagandowym. Cóż bardziej może uzdrowić atmosferę niż jawność budżetu przy anonimowości ludzi ruchu? Ktoś musi zacząć. Ta historia, Panie Lechu, nie powinna już dłużej czekać!

Od lat interesuje mnie sowietologia stosowana. W Ameryce miałem możność krótkiej rozmowy z Richardem Pipesem, a w parę dni później ze Zbigniewem Brzezińskim. Obaj byli przekonani, że Europa Środkowo-Wschodnia wkroczyła w sytuację przedrewolucyjną. Pozostajemy dla Ameryki strefą egzotycznych sojuszy. Niemniej odgrywamy dziś większą rolę niż w dekadach powojennych. Ku zmartwieniu jednych, a satysfakcji innych na mapie świata publikowanej przez Freedom House Polska jest

przedstawiana jako kraj *partly free* — częściowo wolny. W określeniach tych nie kryje się zapowiedź wypadków, jest to obiektywne oszacowanie prawdopodobieństwa. Koncepcja Gorbaczowa zawiera zbyt wiele sprzeczności, żeby w sytuacjach podobnych strajkom '88 nie otwierać nowych możliwości, tj. szansy wydarcia władzy już nie „porozumień”, będących rezultatem negocjacji przy stole, lecz gwarancji prawnych dla wolnych związków zawodowych i dla ruchu wolnej inicjatywy gospodarczej — dwóch dźwigni niepodległości społecznej i ekonomicznej.

Czy na Wschodzie i na Zachodzie jesteście do nich organizacyjnie przygotowani? Niedługo przed powrotem do kraju usłyszałem memento Alain Besançon: „Proszę powiedzieć moim przyjacielom, że mam wrażenie, iż działają tak, jakby chcieli żyć w komunizmie”.

Maciej POLESKI

Czerwiec 1988

40-te TARGI KSIĄŻKI  
we FRANKFURCIE/M

5-10 października 1988

POLSKIE WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE

INSTYTUT LITERACKI / KULTURA PARYŻ  
(INSTITUT LITTERAIRE/KULTURA)

HALLE 4. 1 STOCK  
STAND NR L 926

POLONIA BOOK FUND LTD.  
HALLE 4. 1 STOCK  
STAND NR L 924

## Paskudna historia

*Wytrzymamy reformy? Nie wytrzymamy!*  
Dostojewski: „Skwiernej aniekdot”.

„Ta paskudna historia — otwiera Dostojewski swoje opowiadanie — zdarzyła się w czasach, gdy z taką niepowstrzymaną siłą i z takim wzruszająco-naiwnym porywem zaczęło się odrodzenie naszej milej ojczyzny i dążenie wszystkich jej dzielnych synów ku nowym przeznaczeniom i nadziejom”.

W jasny i mroźny wieczór zimowy gawędzili, popijając herbatę i wino, trzech urzędnicy petersburscy w *generalskich czinach*. Gospodarz, sześćdziesięcioletni tajny radca Stiepan Nikiforowicz Nikiforow, był niegdyś przełożonym swoich dwóch gości: rzeczywistego radcy stanu Siemiona Iwanowicza Szipulenko i rzeczywistego radcy stanu Iwana Iljicza Pralinskiego. Ten ostatni, najmłodszy wiekiem i urzędem, od czterech zaledwie miesięcy delektował się tytułem *prewoschoditielstwa*, był człowiekiem przystojnym i elegancko ubranym, z dumą nosił wysoki order na szyi, starał się zachowywać tak jakby miał znacznie mniej niż czterdzieści trzy lata. W duszy jego rozgrywała się dawniej cicha walka między szczytnymi aspiracjami i pragnieniami, i poczuciem *une existence manquée*. Lecz odnawiająca się właśnie Rosja przyszła mu nagle w sukurs, a generalska promocja dokonała reszty. — Nabrał odwagi i podniósł głowę. Zaczął naraz mówić kwieciste i obficie, szczególnie na modne wówczas tematy „odnowy”, które przyswoił sobie z nadzwyczajną szybkością i umiejętnością. Zasłynął niebawem jako „gotów na wszystko liberał”. I w ten zimowy wieczór, przy herbacie i winie, z ferworem zaatakował Stiepana Nikiforowicza, którego w duchu uważał za „wstecznika”. Tajny radca odmachiwał się jak mógł, słuchał jed-

nym uchem, dolewał zapaleńcowi wina. Trzeci generał, Siemion Iwanowicz Szipulenko, kwitował chichotem tyrady żarliwego liberała. W głowie Iwana Iljicza błysnęła myśl, że biorą go obaj za niedoświadczonego młokosa. Dotknięty do żywego, wzmochnił natarcie: „Pora, od dawna już pora, zanadto jesteście spóźnieni, na pierwszym miejscu trzeba postawić *gumannost'*, humanitarność z podwładnymi, pamiętając że i oni są ludźmi. *Gumannost'* wszystko uratuje, wszystko wyprostuje”. Stiepan Nikiforowicz zaproponował: owszem, humanitarność dobra rzecz, zawsze należało kochać człowieka, ale reforma nie ogranicza się przecież do tego, powstają problemy włościańskie, sądowe, gospodarcze, dzierżawne, obyczajowe, setki problemów, wszystkie razem mogą wywołać ogromne wahania, nie wystarczy tu sama *gumannost'*. Ale Iwan Iljicz upierał się przy humanitarności, nazwał ją „kamieniem probierczym nadchodzących reform i w ogóle odnowy Rosji”, zaproponował wręcz następujący „sylogizm”: „Jestem humanitarny, a zatem kochają mnie; kochają mnie, czyli mają do mnie zaufanie; mają zaufanie, a więc wierzą; wierzą, a więc kochają, nie, nie to chciałem powiedzieć, jeśli wierzą, to uwierzą także w reformę, pojmą samą istotę rzeczy, padną sobie w objęcia i rozstrzygną całą sprawę po przyjacielsku”. Tajny radca zamyslił się chwilę i powiedział: „Nie wytrzymamy”. Na co zdumiony Iwan Iljicz: „Jakżeż to nie wytrzymamy?”. „Tak, nie wytrzymamy” — powtórzył Stiepan Nikiforowicz; i na tym poprzestał, nie chcąc widocznie rozwozić się szerzej.

Ponieważ nie przyjechała na oznaczoną godzinę karetka Iwana Iljicza, postanowił wrócić do domu pieszo. Szedł i rozmyślał: „Nie wytrzymamy! Cóż on przez to zamierzał powiedzieć? Rozumny niby człowiek, a mnie zupełnie nie zrozumiał. A przecież trudniej nie zrozumieć, niż zrozumieć. Najważniejsze, że jestem przekonany, całą duszą przekonany. *Gumannost'*, miłość do człowieka. Przywrócić człowieka samemu sobie, odrodzić jego godność osobistą i wtedy z gotowym materiałem przystąpić do dzieła przebudowy. Jasne chyba!”. W jednej z uliczek usłyszał dźwięki muzyki, dochodzące zza okien kamieniczki. Przechodzień wyjaśnił mu, że odbywa się tam wesele niejakiego Psełdonimowa. A to zbieg okoliczności! A to zesłana przez niebo okazja! Psełdonimow był skromnym gryziپیórkiem w urzędzie Iwana Iljicza, liberalny generał będzie zatem mógł dać zaraz dowód swej *gumannosti*, zaszczycając uroczystość swą obecnością. Jak pomyślał, tak zrobił. Rozochoceni weselnicy zdębieli. *Wasze prewoschoditielstwo* tu, *Wasze prewoschoditielstwo* tam, uniżone, czołobitne pokłony. Nie krępujcie się, moi mili, przyjmijcie czym chata bogata. Oszczędzane dwie butelki szampana dla takiego gościa i honorowe miejsce przy stole! Iwan Iljicz wypił zdrowie nożowniców, wkrótce jednak wyczuł rosnącą niechęć wśród bie-

siadników. Niechęć przerodziła się szybko w nienawiść. Oczy Psełdonimowa zdawały się mówić: „Bodaj byś zdechł, przeklęty! Czemuś się do nas przyczepił?”. Ktoś zapał jak kogut. Ktoś inny prychnął wyzywająco. Iwan Iljicz stracił kontenans. Pocięszał się w duchu: „Zagadam do nich teraz o reformach, o wielkości Rosji, jeszcze ich oczaruję. Może nie wszystko jeszcze stracone”. Ale ogarnął go jakiś głęboki, nieznosny wstyd. Usiłował dodać sobie kurażu: „Powiem im o współczesnej misji Rosji w rodzinie narodów europejskich, wspomnę o problemie włościąńskim, no i pokochają mnie w końcu”. Wstał, poprosił o ciszę i przemówił, chociaż w głowie szumiało mu od szampana: „Tak, tak, właśnie Rosja, jednym słowem rozumiecie co chcę powiedzieć. Rosja przeżywa, według mojego głębokiego przekonania, *gu-gumannost*”. Z drugiego końca stołu rozległ się okrzyk: „*Gu-gumannost!*”. Do wtóru odezwała się jaskrawa już przeźmieszka: „Gu-gu! Tiu-tiu!”. Iwan Iljicz zachwiał się jak ugodzony i zamachał rękami: „Nie kochacie mnie, a ja was kocham”.

Resztę wolno opowiedzieć w telegraficznym skrócie. Iwan Iljicz upił się z rozpaczy do cna, zwałił się pod stół zarzuty, dostał rozwolnienia. W takim żalonym stanie przeniesiono go na łóżko nowożeńców (co uniemożliwiło im noc poślubną). O świcie odwieziono go, chorego, do domu. Chorował w domu osiem dni. Gdy zjawił się wreszcie w swoim urzędzie, atmosfera dokoła wydała mu się dziwna. W zacnym i ukochanym Psełdonimowie widział teraz okropnego durnia. „Nie, nie — szeptał do siebie — srogość, tylko srogość i jeszcze raz srogość!”. Znowu jego serce zalała fala wstydu. Spojrzał w lustro. „Nie wytrzymał! — powiedział o sobie i bezsilnie osunął się na krzesło”.

Paskudna historia, *skwiiernyj aniekdot*. Paskudna i pouczająca.

Nie zamierzam oczywiście bawić się w stawianie obok siebie zeszlowiecznej *gumannosti* i współczesnej *glasnosti*, zeszlowiecznej „odnowy Rosji” i współczesnej *pieriestrojki*, w szukanie tajemnego pokrewieństwa między Iwanem Iljiczem i Michaiłem Siergiejewiczem. Byłaby to zabawa zbyt tania i toporna, jakkolwiek trudno się oprzeć uczuciu admiracji wobec kolejnego dowodu przenikliwości i profetycznego daru Dostojewskiego. Zwłaszcza motyw przewodni opowiadania: „Wytrzymamy reformy? Nie wytrzymamy!” brzmi dziś doprawdy niezwykle.

Miałem już sposobność napisać rok temu w dzienniku, że uważam *glasnost* Gorbaczowa za poważną szansę, a raczej za dobrą broń do wykorzystania (póki wolno) na wszelkie możliwe sposoby, nie ukrywając równocześnie sceptycznego stosunku

do *pieriestrojki*, którą nazwałem *pieriedyszka*. Opowiadano mi że jednego z głównych chorążych *glasnosti* w Moskwie zapytali przyjaciele, co skłania go do tak pełnego, bezwarunkowego, niepomowanego angażowania się w to hasło, skoro nie wiadomo jeszcze jak rzeczy potoczą się w przyszłości. Odpowiedział jednym słowem: „Rozpacz”. Podoba mi się ta odpowiedź. Oznacza, według mnie, świadomość że gra idzie *va banque*, a kto próbuje uczestniczyć w niej groszowymi stawkami, „dyplomatycznym” chytrusowaniem na zwłokę, wstanie od stołu goły i słusznie wyśmiany, zasłużwszy sobie na miano niedołęznego i bojaźliwego partacza.

15 lipca gazeta włoska *La Repubblica* opisała, piórem swego warszawskiego korespondenta, spotkanie Gorbaczowa z „parlamentem kultury polskiej” na Zamku Królewskim. Korespondent podkreślił z uznaniem, że ze strony „parlamentu kultury polskiej” spotkał znakomitego gościa iście salonowy „gest kurtuazji”, mianowicie nie padło ani razu z niczych ust słowo „Solidarność”. Zaden głos nie ośmielił się zamącić tym *niebłagonadźwięnym* słowem polsko-królewskiej idylli *glasnosti* przed świetlanym obliczem nowego rosyjskiego cara-reformatora. Został natomiast złożony na jego ręce swoisty adres do tronu: „Panie sekretarzu generalny, pod pana rządami w Moskwie świat posuwa się naprzód. By posuwał się jeszcze raźniej i lepiej, proszę pana o deklarację: proszę powiedzieć, co pan sądzi o doktrynie ograniczonej suwerenności Breżniewa, o doktrynie która została zastosowana w Pradze w roku 1968”. Adresat, rzecz jasna, załatwił głupią „dyplomatyczną” prośbę łaskawą obietnicą, że poświęci nader skomplikowanemu zagadnieniu baczną uwagę w swojej najbliższej książce. Autor adresu do tronu nie byłby rasowym literatem, gdyby nie pokraśniał z zadowolenia na dźwięk słowa „książka”. A przecież mógłby być chociaż rozszerzyć nieco swój adres, pytając znakomitego gościa co sądzi o rodzimym, swojskim wariancie doktryny Breżniewa, który zastosowano w Polsce 13 grudnia 1981 roku. Drgnęłaby wtedy przynajmniej za prezydialnym stołem nieruchoma twarz w czarnych okularach. Ale „parlament kultury polskiej” wybrał *glasnost* w wydaniu dla grzecznej, dorastającej młodzieży. Nikt nie zapiał jak kogut, nikt nie prychnął wyzywająco, nikt nie krzyknął: „Gła-głasnost! Gła-gła! Tia-ta-ta!!!”.  
Paskudna historia. *Skwiernyj prywislinskij aniekdot.*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości...

To płynie jak rzeka. Od lat wirujemy w delikatnych i odurzających zapachach wielkich słów. Prawda i dobro, dobro i sprawiedliwość, porozumienie i *consensus*, szczęście jednostki i przyszłość narodu to pojęcia atakujące umysły i narzucające styl myślenia.

Inna znów rozbrzmiewa jak głuche bicie w bęben. Od lat bowiem paru bijemy się w piersi za przeszłość, za ksenofobię, niechęć do sąsiadów i pogardę dla mniejszości narodowych, za błędy polityczne i głupotę przodków opłacaną historią. Dzielne okrzyki i efektowne, skrojone według najnowszej mody płaszczki pokutne...

Fenomen ten ma jednak swoje liczne skazy. Polski intelektualista przypomina bardzo bohatera „Ucieczki z Bizancjum” Josifa Brodskiego, a więc po części i samego autora, dobrego poetę i eseistę. Zatrzymajmy się na chwilę przy tym nieco może zaskakującym porównaniu. Autor „Ucieczki z Bizancjum” mocno już, jak mu się zdaje, osadzony w świecie sprawiedliwym i wolnym, ostrze swej krytyki świata, z którego objąć się wydobył, zwraca nie ku Rosji, w jej obecnym czy przeszłym kształcie społecznym i politycznym, lecz ku kulturze Bizancjum jako tradycji, do której z upodobaniem odwoływali się władcy Trzeciego Rzymu. Brodski zdaje się uważać dawne ziemie wschodniej despotcji chrześcijańskiej za miejsce przeklęte, kulturę islamu ocenia przez pryzmat współczesnego terroryzmu, widząc w niej jedynie splątanie fanatyzmów, okrucieństwo uznaje za istotę złego *genii loci* Azji Mniejszej, mongolskie rządy nad Rusią, w konsekwencji, za błogosławieństwo, gdyż opóźniły one wpływy bizantyjskie! Z jaką pogardą ten były więzień łagrów sowieckich mówi o brudnych Turkach, cuchnącym Stambule, ropuchach meczetów i odcisku

stopy Mahometa przechowywanej jako najwyższą świętość w muzeum w Topkapi... Wspomniana relikwia wyrывa z głębi duszy przerażonego poety pełen zgrozy okrzyk: — Yeti!<sup>1</sup>

Potępienie wielkorosyjskich tradycji? Ucieczka od Bizancjum, a raczej od jego literackiego stereotypu? Czytam coś wręcz przeciwnego, przewrotną rehabilitację dawnej i współczesnej imperialnej Rosji w jej agresywnej i butnej duchowości, poczucie wyższości kulturowej prowadzące do nieskrywanej pogardy dla tego co obce, inne bądź niezrozumiałe (jakże charakterystyczny jest pogardliwy wtręt o japońskiej manii fotografowania!).

Jednak nie groźne a urojone Yeti, lecz prawdziwy choć niewidoczny odcisk zniewolenia, lekka, smakowita trucizna niechęci do innych jest prawdziwym niebezpieczeństwem lektury „Ucieczki z Bizancjum”. Czy może więc tak drażniący wszystkich Zinowiew ma sporo racji? Polski intelektualista, którego dla skrótu będę dalej nazywał Pinem, jest skonstruowany podobnie i podobnie zachować postawę stróża imponderabiliów, pozostać wzorem dobrych i szczerych intencji, lecz jeżeli nawet nie obrazi nikogo przez swą nieuwagę, to niczego poza wygłoszeniem szlachetnych deklaracji nie zrobi. Nabyta w przeszłości umiejętność skrywania swoich prawdziwych uczuć i emocji wyrobiła w Pinie automatyczny wręcz odruch lęku przed byciem szczerym i mówieniem wprost nawet o rzeczach dlań skądinąd najważniejszych. Natomiast uwrażliwia go ona niezwykłe na zachowanie innych, których o nieszczerłość i niechęci podobne swoim podejrzewa. Poza tym, podobnie jak liczni księża ratunek moralny widzą w wyruszeniu na wiernych obowiązku chodzenia do kościoła i do tego co niedzielę sprowadzają przesłanie Ewangelii, tak Pin sądzi, że wartości, o które walczy da się ocalić przez rozpamiętywanie ich w niezależnej publicystyce i licznych dyskusjach, gdyż krok dalej — strach, ciemności, pieje kur.

## WACPANOWIE, PISZCIE NA BERDYCZÓW!

Światem polskiej myśli, obok szlachetnych intencji i idealizacji celów, rządzą także minoderia, prywatna i lenistwo duchowe. Pomyłono kategorię sprzeciwu ze śmiałością myślenia a odwagę cywilną z jego niezależnością. Niewielka grupa odważnych, skupionych wokół *Biuletynu Informacyjnego* i *Zapisu*, utorowała drogę, którą dziś, z ożywieniem i zadowoleniem, paradują w tę i z powrotem tłumy śmiałków. Drogę, że poprzestaną przy przy-

1. Dodajmy, że w Jerozolimie w meczecie el-Aqsa muzułmanie przechowują jako relikwię także odcisk stopy Jezusa.



wołanym obrazie, poszerzono i utwardzono, podzielono na kierunki marszu, odżyły nawet na niej tradycyjne podziały na ruch prawo- i lewostronny, zapomniano jedynie o tym, że drogę ową wyrąbano wielkim wysiłkiem nielicznych w środku dżungli i że należałoby raczej złapać za siekiery i pracować dalej, uświadamiać sobie wyraźniej cel i wielkość czekającego jeszcze wysiłku, wreszcie, szukać dłań sprzymierzeńców, a nie czynić z niewielkiej przestrzeni promenadę paw i papug.

Stadne zachowania Pinów nie są zjawiskiem chwilowym i przypadkowym. To skutek nie tak znów starych tradycji, od których nie potrafimy się oderwać. Od dziesięcioleci w rządzonej przez komunistów Polsce zajmowano uwagę odbiorcy mass mediów tzw. tematami dyżurnymi. Dziś, gdy Pin z heroizmem odkrywa kolejne obszary tabu, jego kolega czyni to samo i, co dziwniejsze, z niemniejszym heroizmem powtarza te same pytania i podobne znajduje na nie odpowiedzi. Powstania narodowe? Wszyscy piszą o powstaniach. Mniejszości narodowe? Już gotowe są teksty, tłumaczenia, z kart różnych pism przelewa się dobra wola. Problem żydowski? Kampania dobrej woli od początku wzmożonego zainteresowania i drobna czkawka po słynnym tekście Błońskiego „Biedny chrześcijanin patrzy na getto”, jakby ktoś powiedział ciut za dużo. Nowe schematy i nowe poziomy ideologizacji. W efekcie mamy zamiast „socjalistycznej ojczyzny” innego potworka — „katolicki naród” — i podobnie triumfalne orzeczenia o pluralizmie niezależnej myśli i życia opozycyjnego, którym, wybaczyć Czytelniku, wierzę tylko o tyle, o ile znajduję ich odzwierciedlenie w rzeczywistości, powinienem więc raczej napisać — którym zupełnie nie wierzę.

Szlachetny patriotyzm i zgubny nacjonalizm, nieudana reforma i papierowe o nią boje, ogólna niemożność i niezwykła aktywność indywidualna, przesłanie moralne społecznej nauki Papieża i nostalgiczna, nierzeczywista Europa Środkowa i, co najśmieszniejsze, zgodność wszystkich we wszystkich zasadniczych kwestiach z... podskórnym piekłem prywatnych, zaciętych niechęci. No cóż, każdy Pin z osobna i wszyscy razem mówią przecież o podstawowych wartościach, razem rozważają po raz setny klęski powstań (czyżbyśmy ciągle jeszcze pewnych kwestii nie zrozumieli?), razem powodują się na Mochnackiego i Brzozowskiego, razem martwią się śmiercią krytyki (ostatnio martwią się tym Burek i Nyczek), razem podziwiają Miłosa, cytują Kołakowskiego, odwołują się do Herberta, wiążą nadzieje z nowym wcieleniem Zagajewskiego, dedykują swe prace Michnikowi... Nie przeszkadza natomiast Pinom, gdy tak wspólnie i ochoczo wędrują po tematach, brak jakiegokolwiek refleksji filozoficznej, która towarzyszyłaby owemu przemożnemu podobno dążeniu do zmian; ba, brak nawet wysiłku, który byłby próbą scalenia ostatnich do-

świadczeń Polaków bądź stworzenia historycznej syntezy. Jak można wierzyć zapewnieniom, że myśli i działaniu Pinów przyświeca autorytet Brzozowskiego, skoro wydawnictwa niezależne nie zdobyły się na przedruk żadnej z jego prac? (Skandal z wydaniem „Pism wszystkich” w państwowych wydawnictwach znany jest zainteresowanym). Zresztą, nie można się tej inercji dziwić, bo które wydawnictwo stać na dopłacanie do interesu?

O czym więc myśli Pin? A o kim lub o czym miałby myśleć? Oczywiście, o sobie. Przyznajmy jednak, że także o Sprawie, gdyż najczęściej to on sam, w swym mniemaniu, Sprawę uosabia. Myśli więc Pin o sobie i myśli te ofiarowuje innym nawet wówczas, gdy wali się jego świat. Pisze dziennik o własnych cierpieniach, prześladowaniach jakim podlega, uczuciach i heroicznych wątpliwościach. Skrobie wspomnienia z internowania (m.in. Mazowiecki, Kuczyński, Szczypiorski), nawet wierszem (Woroszyński), notuje męki emigracyjne (Brandys), publikuje korespondencję rodzinną (Bielecki) pisze osobistą historię przeszłości (Michnik)<sup>2</sup>. Mamy więc stos makulatury o więziennym parzeniu herbaty i zakulisowych sporach doradców, a tylko jedną pracę będącą próbą syntetycznej i obiektywnej oceny rozstrzygających dla najnowszych dziejów Polski wydarzeń, tj. pracę Jerzego Holzera. Mija już siódmy rok, zacierają się kontury tamtego czasu; czytelnik zachodni może w każdej chwili sięgnąć do wielu poświęconych doświadczeniu „Solidarności” prac (N. Aschersona, T. G. Asha, A. Brumberga, C. Barkera, N. Davisa, M. Dobbsa, G. Koenena, G. Sanforda, M. Touraina'a i innych), nasz Pin natomiast z lubością zanurza się w wyznania starych lub dawnych komunistów i nawet czasy stalinowskie, tak odległe, poznaje przez plotkę i egoistyczne, mylące tropy wyznań nielicznych, rozmowy lub wywiady.

Jak myśli Pin? Niesamodzielnie, z dużą dozą subiektywizmu, najchętniej z wkalkulowaną asekuracją, czyli odpowiednim cytatem, przypisem lub aluzją, które odsyłają do Szanowanego Autorytetu lub najnowszej mody intelektualnej. Sztuka napisania artykułu opiera się na dwóch zasadach — nekrofilii intelektualnej i wysokim tonie szlachetności, które się bynajmniej nie wykluczają. Wszelka krytyka, powie ktoś, jeżeli nie jest nawet nekrofilia, zawsze żyje z żerowania na cudzych poglądach i tekstach. Rzecz w tym, że Pin potrafi czynić to ze szczególną pasją — omawiając twórczość Gombrowicza, nie może nie odwołać się do Miłosza, omawiając Miłosza — do Herberta, omawiając Herberta — do Barańczaka, mówiąc o którymkolwiek z powyżej wymienionych — do Konwickiego, od tego ostatniego — do

2. Równoległe, podobną relację, lecz konstruowaną „z drugiej strony” monstrialnej lady, która dzieli Polskę zawierają książki M. F. Rakowskiego. Nie ma w tym żadnego paradoksu.

Błońskiego, od Błońskiego do Tischnera, od Tischnera do Papieża, a od Papieża do... No, tak, łatwiej powołać się na wszystkich świętych i samego Boga, niż na własne poglądy. Albowiem Pin najczęściej chce udowodnić dwie rzeczy naraz: wielkość kultury, którą przecież reprezentuje, i własne parantele myślowe, gdyż w końcu myśli tak samo jak ci, których cytuje, albo bardzo podobnie.

Są jednak nekrofile nałogowi i zielonoświątkowi. Są tacy, którzy żyją z cudzych myśli, koczują na polach cudzej twórczości lub wydzierają karty z dawnych ksiąg, łącząc je zgrabnym komentarzem i są tacy, którzy do cudzego źródła zagląдают rzadko, lecz gdy już im się to czasem zdarzy — piją nieumiarkowanie. Są więc pisarze tacy jak Wojciech Karpiński, prawie zawsze i wszędzie do wielkich tego świata się odwołujący i tworzący piękne, lecz nijakie, letnie myślowo eseje — na wzór, chociażby, tak ważnej dla autora „Chusteczki imperatora”, rozmowy prowadzonej z Tomaszem Mannem, którą Mann musi być chyba wyjątkowo znużony<sup>3</sup>! Są też tacy, którym nie można odmówić silnej indywidualności, jak Adam Michnik, ten jednak wytrawny publicysta polityczny, sięgnąwszy do literatury, przekroczył wszelkie możliwe granice przyzwoitości, podając za tekst własny pękaty zbiór cytatów z innych autorów. Chodzi, oczywiście, o książkę „Z dziejów honoru w Polsce”, której absolutnie nie tłumaczy podtytuł „Wypisy więzienne”, a w której prawdziwym horrendum jest rozdział poświęcony poezji Herberta, rzecz mogąca nawet z miłośników poezji uczynić jej „gardzieliem”.

Pin myśli stadnie, czyli, żeby być precyzyjniejszym, śródowiskowo. Jeżeli więc nie broni *status quo*, jeżeli nie walczy na murach Częstochowy, mówiąc inaczej, jeżeli nie broni Substancji (on jest jej solą) to tworzy dyskusje pozorowane lub wyladowuje się w rozgrywkach personalnych, inicjując dyskusje zastępcze. Przykładem pierwszej może być polemika Kulerskiego i Michnika w 25 numerze *Krytyki*, poświęcona poważnemu skądinąd problemowi polskiego antysemityzmu, która bardzo mnie rozśmieszyła z powodu nieoczekiwanej zamiany miejsc, przykładem drugiej, dyskusja wokół „Myśli staroświeckiego Polaka”. Jednym z objawów tej choroby nijakości i mazgajstwa jest otaczanie milczeniem tekstów szczególnie, wydawałoby się, do sporu predestynowanych, jak chociażby ostatnich, krytycznych wystąpień Romaszewskiego (np. szeroko kolportowanego tekstu „Jak Polak z Polakiem”). Nic, cisza, bo też czy jest się o co spierać? Czy inni mają pomyśleć, że się kłócimy?

Pin myśli stadnie, więc ci spośród Pinów, którzy trzeźwy

3. Por.: W. Karpiński, „Tomasz Mann — rozmowa i milczenia” *Zeszyty Literackie* nr 15/1986.

osąd przenoszą ponad grupowe czy koteryjne interesy mogą budzić agresję. Efektem tego jest sytuacja, w której najbardziej ożywcze i interesujące teksty wychodzą spod pióra Pinów, którzy wolą nawet dziś pisać pod pseudonimami, choć i oni nie skąpią w swych tekstach miejsca na autokreację. Przecież to jedynie anonimowość daje pełną swobodę w krytycznej ocenie własnego środowiska, uwalnia od potrzeby mizdrzenia się, choroby powszechnej i nie znającej granic. Tu moimi faworytami są Spectator i Charlamp, dziw tylko, jak oni, prawdziwie niezależne Piny od niezależnych Pinów, zdołali ocaleć, i to w Warszawie?

Czy Pin ma swoje ulubione tematy? Owszem, poza mówieniem o sobie i wysiłkiem nadążania za aktualnie dyskutowanymi problemami, ma Pin jeden cel stały: niestrudzenie śledzić konsekwencje oddziaływania totalitarnej władzy na życie społeczne, przyglądać się duszom tych, na których losach despotyzm wycisnął niezatarte piętno, dociekać mechanizmów i w efekcie wszelkim zjawiskom antywoleńsiowym przeciwdziałać. Pin, potomek romantyków, pisze o wolności ogólnie, swobodnie, eseistycznie, gdyż tak najwygodniej — o najpiękniejszych wartościach najlepiej pisać pracując na pięknym materiale — na szczęście, jest wielka literatura, galeria tragicznych kafkowskich bohaterów czeka wręcz na kolejnych interpretatorów. Ci spieszą, analizują, porównują, by w konkluzjach zawrzeć ostrzeżenie skierowane do wszystkich, do ludzkości całej. Z tego ciągłego wspinania się na palce łatwo może zrodzić się „kicz intelektualny”. Ileż w prasie i wydawnictwach niezależnych ukazało się na przykład artykułów i prac poświęconych wydarzeniom marcowym 1968 roku? I cóż z tego? Czy pozostanie z nich jakikolwiek ślad, z tych szlachetności po niewczasie, potępień i dociekań zakulisowych przyczyn? Obawiam się, że nie. Pozostanie natomiast rzetelna analiza języka politycznego tego czasu dokonana przez Jakuba Karpińskiego („Mówi Warszawa...“<sup>4</sup>), która więcej mówi nam o wydarzeniach i ludziach niż najrozleglejsze eseje czy wywiady z naocznymi świadkami, którzy przeważnie mają w takim przypadku coś do ukrycia. Niestety, niewiele jest wśród Pinów takich autorów, którzy przystępują do pracy wtedy, gdy potrafili ugruntować w sobie pewne przekonanie, że zrobili wystarczająco dużo, aby nie pozostać gołosłownym. Pin — wręcz odwrotnie — ma tylko „ugruntowane przekonania”, których pochodzenia ideowego często sam nie potrafi rozpoznać, a które pozwalają mu oceniać i rozstrzygać wszelkie właściwie kwestie.

Wielu spośród nas w tym czy innym okresie życia ulegało gnostyckiej pokusie, aby z wiary uczynić podstawę wiedzy o świecie.

4. Pierwotnie w numerach 9 i 10 *Kultury* z 1972 roku, następnie w zbiorze szkiców „Mowa do ludu”, Puls Publications, 1984.

cie. Młodzi ludzie budują często niezachwianą pewność własnej wizji świata z wiary, z „ugruntowanego przekonania”. Dzieje się tak niezależnie od tego, czy wiara ta wypływa z zawiedzionej miłości, odkrycia buddyzmu Zen, przeżywania poezji czy gorącej i naiwnej miłości Ojczyzny. Tej łatwości budowania konfliktowych obrazów świata, w której autor jest najczęściej jednym z jego biegunów, sprzyja „podatność ideowa” młodzieży wynikająca m.in. z lekceważenia konkretnego i pogardy okazywanej tzw. przyjemnym sprawom. Podobne zafascynowania zdarzają się także ludziom dojrzałym, ale są one najczęściej albo krótkotrwałe (najszybciej do domu związała najstarsza część 10-ciu milionów) albo są efektem zainfekowania we wczesnej młodości, a więc oznaką choroby długotrwałej. Pin wie, że tylko kości Pana Jezusa nie zmienia poglądów, więc druga z powyższych uwag go nie dotyczy. Cóż więc pozostaje? Ależ tak, Pin jest wiecznie młody i dlatego w swym myśleniu kieruje się tym, co wypływa z jego „głębokiego przekonania”. Oto jedna z przyczyn, dla których ów okręt polskiej inteligencji, o którym pisał kiedyś Miciński, wypływając z takich „głębokości”, zawsze osiada na mieliznie. Pojęcie wiecznej młodości jest jednym z tych idiotyzmów, którymi ludzkość karmi się od swych mitycznych początków; w powyższym rozumowaniu chodzi jednak o niedojrzałość w myśleniu. Dyskusja, już paroletnia, wokół stosunków polsko-żydowskich jest znakomitym przykładem wymiany „przekonań” przy zachowaniu dyskretnej odległości od faktów, bądź z ich jednostronnym dobraniem. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że tematem tym ostatecznie zajęli się historycy i okres bezkarnych harców, ułatwionych bez wątpienia brakiem wielu ustaleń, skończy się bezpowrotnie<sup>5</sup>.

Pin ma także swój ulubiony styl i swoich stylistów. Jest to styl podniosły, namaszczone, od pierwszych zdań promieniujący świadomością wagi omawianych spraw, wielkością autora lub doniosłością chwili. Dziś literatury nie czyta się, lecz z nią „rozmawia”, autora się nie czyta, lecz „słucha”, autorowi się „przysłuchuje”, autor nie pisze lecz „wyznaje”, nie analizuje świata lecz „pochyla się nad nim z uwagą i odwagą”, autor ukazuje zagrożenia, autor odsłania mechanizmy, autor nie tworzy tekstu, lecz „przejmujący zapis wewnętrznych zmagania”, autor, autor, autor widziany przez autora, autor kreujący się przez kreowanie swego poprzednika, autokreacja czyli mdła, obrzydliwie słodka, eseistyczna autokracja. Do diabła z bohaterem literackim, do diabła z samoistnym dziełem sztuki — dość mamy myślenia o myśleniu, wolna sztuka nie istnieje! — istnieje tylko uwikłanie, cierpiący, pochylony nad cierpieniem autor i piękna forma, gdyż

5. I tu znów można odwołać się do niezwykle wyważonego, wręcz wzorcowego tekstu Jakuba Karpińskiego „Asymetria” (*Aneks*, nr 41/42, 1986).

mowa jest zawsze o autorze znakomitym, który „dotyka tego, co niewyraźalne” każdym swoim słowem. Pin może aż tak się przejąć ukochanym autorem jak Jan Zieliński, który przeczytawszy w 7 numerze *Zeszytów Literackich* o nieszczeniści choroby, która dotknęła Wojciecha Karpińskiego, sam natychmiast dostał wysokiej gorączki, lecz niezwykłość tej sytuacji krytyk zrozumiał dopiero wówczas, gdy okazało się, że i Gombrowicz także miał kiedyś anginę. Jakby więc mało było tej paranoi, trzeba weni jeszcze wniezać Autorytet, gdyż bez niego nie da się nawet<sup>6</sup>...

Styl namaszczony, naszpikowany zdobniczymi i metaforycznymi epitetami, *campus martius* dla erudycyjnych popisów, to konsekwencja przypisania sobie przez Pinów wyjątkowej roli we współczesnych dziejach Polski. Pin wie, że trzeba chronić „obszar kulturowego dziedzictwa”, „sekretny ogród pamięci”, że winien bronić podstawowych wartości, „których obecność intuicyjnie wyczuwamy”, jak pisał Michnik, że winien odpowiadać na „najprostsze i najbardziej podstawowe pytania”. Pin wie o co chodzi, intuicyjnie oczywiście, więc lepiej nie zadawać mu głupich pytań w rodzaju: o jakie wartości chodzi? co jest najważniejsze?, no bo i jakże to tak; przecież wiadomo: Europa, basen Morza Śródziemnego, Rzym, chrześcijaństwo, prawo i sztuki piękne, alfabet i moralność. Wie też Pin, skąd i dlaczego ucieka. Sęk w tym, że owa ucieczka z totalistycznego świata zamienia się na poziomie politycznym w „ucieczkę z Bizancjum” a na pozostałych w ucieczkę w pustowielosłowie i piękną formę, tworzoną dla jej własnej urody.

Pozostały, owszem, pewne tematy i pozostały pewne teksty, do których raz po raz dołączyć można coś nowego, choć to rzadkość. Nie dość, że łatwo wyrzekamy się wielu tematów, że utrwalając stereotypy, podobnie jak Brodski, przekreślamy wiele wątków własnej przeszłości prowadzących na Wschód, to lubujemy się w mętnościach stylu i chorujemy na anachronizm, szczególnie rażący w eseistyce poświęconej przełomowym wydarzeniom z naszej dziewiętnastowiecznej historii. Czy nie jest zadziwiający upór, z jakim wszyscy piszą o tym pięknym rzekomo stuleciu? Dlaczegoż to nie chcecie pisać eseistyki o latach międzywojennych, Panowie? Dlaczego ten okres zdominowała jedynie biografistyka wielkich: Piłsudskiego i Dmowskiego? Można by o to zapytać inaczej: dlaczego ci naprawdę nieliczni młodzi ludzie, którzy dziś angażują się w politykę, z takim uporem recytują formuły zaczerpnięte ze słownictwa stronnictw politycznych z przełomu wieków? Dlaczego dziś rozbrzmiewa stary spór między prawicą i lewicą, dlaczego jedni narzekają na kompromisowość opozycji wyrosłej z nurtu lewicowego, wielu innych zaś straszy dzieci

6. Jan Zieliński, „Płaszcz wygnania”, *Zeszyty Literackie* nr 18, 1987.

wskrzeszeniem endecji? Obawiam się, że można na to odpowiedzieć poprzez sugestię zawartą w pytaniach wcześniejszych; ponieważ polska refleksja polityczna zatrzymała się na roku 1920. Skądinąd przeraża mnie fakt, że ostatnie dziesięć lat istnienia zorganizowanej opozycji w Polsce nie zrodziło żadnego dziecka politycznego, że organizująca się młodzież sięga do wzorców bardzo odległych w czasie, a współczesnych nie tylko nie zauważa, ale wręcz wyraźnie nie chce, o czym najlepiej może świadczyć błyskawiczny rozłam między starymi i młodymi w nowo powstałej PPS. Zdaje się, że jedną z nieostatnich przyczyn tej sytuacji jest owo intelektualne rozumienie charakteru opozycji w krajach bloku sowieckiego, w tym i w Polsce. Stąd niedaleko już do rzeczywiście zgubnego namaszczenia, z jakim naczelne Piny nauczyły wsłuchiwać się we własne słowa, wracające do nich z zachodnich środków przekazu; miast uprawiania czynnej polityki, miast czynienia ze zmiennych i bogatych form zaangażowania społecznego prawdziwej broni politycznej, usiłowano i wciąż usiłuje się zachować władzę przy pomocy słów. Ale dość o tym, albowiem zbliża się era krytycyzmu, nawet w warszawskiej *Krytyce* zwrócono ostatnio ostrze przeciwko sobie<sup>7</sup>. Nadchodzi więc chyba nowa Pinowa moda — krytyczna swoboda; wszystkich będą już nie długo krytykować wszyscy, autorzy peanów zamienią się w Kasandry, a nielicznym dotychczas trzeźwym pozostanie jedynie pójść się wypowiedzieć z grzechu pychy, iż sądzili, że Pinowi nie w smak myślenie, gdy tu, proszę, wręcz na odlew, i w lewo i w prawo, i to jeszcze jak — m y ś l i.

### OBCIĘTE UCHO MALCHUSA

Żadna ucieczka z Bizancjum nie jest możliwa. Tak jak drzewo nie może opuścić miejsca, w którym rośnie, tak i człowiek, a Pin być może nawet w szczególności, nie może odzegnać się od tradycji, z której wyrasta. Szczegółność sytuacji Piną, podobna w tym sytuacji intelektualistów w ogóle, niezależnie od miejsca ich pochodzenia, wynika ze szczególnego właśnie charakteru jego związków z tradycją, przeszłością i zmiennymi losami kultury, z której wyrasta jego myślenie, sposób odczuwania świata, typ religijności i wiele innych, bardzo zagmatwanych najczęściej, czynników.

Żadna istotniejsza zmiana w myśleniu Pinów nie nastąpi dopóty, dopóki nie uświadomimy sobie jego podstawowych ograniczeń. Nie można uciec z Bizancjum dopóty, dopóki nie przestanie się myśleć źle o Turkach czy muzułmanach, dopóki myśl nie wyzwoli się z — niepostrzeżonych często na pierwszy rzut oka —

7. Porównaj: Jerzy Surdykowski, „Kształty oporu” i Krzysztof Wolicki, „Gadanie” (w:) *Krytyka*, nr 25, 1987.

*klisz niechęci* i równie dobrze skrywanych *formuł usprawiedliwień*. Jest to rzecz o tyle trudna, że wiele owych klisz czy też formuł nie występuje bezpośrednio w dyskursie, są one często wręcz przez samych dyskutantów niezauważane, gdyż zostały sformułowane na przykład o wiele wcześniej i przy zupełnie innej okazji lub uwarunkowane zostały przez odmienny czas polityczny i stosunki społeczne a, mimo to, w niezmienionej postaci odciskają się na później powstałej myśli.

Klisze i formuły tu wspomniane mają często charakter nieuchronnej presupozycji. Polska odmiana tej choroby nosi eufemistyczną nazwę: *ostrożność* a w istocie zbudowana jest z alfabetu strachu przed jakąkolwiek formą wyraźniejszego wypowiedzienia własnych przekonań. Kto wystąpi z bardziej zdecydowanym programem, ten zostanie okrzyknięty zdrajcą i nic mu nie pomoże wskazywanie na przykład Afganistanu. Będzie on niebezpiecznym maniakiem, szykującym zamach na substancję narodu i narod cały. Z drugiej strony wszelkie próby wyzyskania ustępstw władzy, rzekomo wywalczonych przez reprezentującą niezależne kręgi społeczne opozycję, mogą zostać uznane za kolaborację. Jednym słowem, ani knuć, ani oficjalnie działać nie wypada; według naczelnych Pinów wypada tylko jedno: trwać na bezkompromisowym stanowisku obrońców podstawowych wartości umiejętnie zagarniętych pod siebie.

*Klisz niechęci* jest stokrotnie więcej, niż zasygnalizowanych tutaj marginalnie *formuł usprawiedliwień*. Strach nie tylko przed radykalizacją myślenia, lecz przed jakąkolwiek jego zmianą prowadzić musi prędzej czy później do nietolerancji. Nietolerancja wobec osób bądź organizacji niezależnych, o nieco bardziej radykalnych poglądach od warszawsko-gdańskiego centrum, jest obecnie najpoważniejszą z chorób, toczących zarówno ciało, jak i ducha opozycji demokratycznej w Polsce.

Skierowanie na chwilę uwagi w stronę praktyki życia politycznego Pinów bynajmniej nie oddala nas od ich sposobu myślenia. Jest nam ono potrzebne, aby wskazać, że myślenie to, wówczas gdy jest skierowane nie do zmarłego myśliciela, lecz do współczesnego, przeciętnego rozmówcy, nacechowane jest zarówno niechęcią jak i potrzebą jego pozyskania. Dzieje Polaków pod rządami komunistycznymi można byłoby ująć najkrócej następującym zwrotem: między służalczością a pogardą. Tak było z każdym Pinem, nie wyłączając autora tego tekstu. Tak niewola dotyka każdego ze zniewolonych — w urzędach i życiu prywatnym zniewalani i upokarzani, jako urzędnicy i reprezentanci władzy w pracy zniewalający i upokarzający innych, sobie podobnych. Jaka więc może być myśl zrodzona w takim piekle, któremu z bezmyślną wyrozumiałością przygląda się, w znacznym stopniu nim zata-



zony, Kościół? Polska na pewno nie jest Chrystusem narodów. Polska może być, co najwyżej, nazwana Piotrem, który w obronie Prawdy obciął ucho Malchusowi, by następnie trzykrotnie się Jej zaprzeć ze strachu o własną skórę. Nawet wielkość szkód pierwotnie wyrządzonych przeciwnikowi dziwnie w tym porównaniu wydaje się być adekwatna w stosunku do tego, czego udało się dokonać. Nieszczęściem bowiem współczesnej Polski jest jej, jak mawia pewien Pin, inteligencja klamkowa, ze szlachetnymi Pinami na czele, która w pełni przejęła tradycje dawnej klamkowej szlachty — wściekłą dumę i mizdrzenie się do najsilniejszych. I, nie łudźmy się, nic się nie zmieni w kondycji polskiej myśli niezależnej dopóty, dopóki nie stanie się ona rzeczywiście niezależna, albowiem nic się nie zmieni, dopóki Polska nie stanie się wolnym krajem. Oto jedna z prostych tajemnic obecnej, nienaturalnej sytuacji. Pin, nawet jeśli dopuszcza do siebie myśl o tym, że coś w kwestii wolności narodowej jest nie tak, jak być powinno, to zawsze będzie widział przed sobą zniewolone miliony, nad których świadomością trzeba organicznie popracować, sam o sobie zaś będzie z całą naiwnością pisał jako o niezależnym duchu. Tymczasem — na co wskazywać miał przykład Brodskiego — niełatwo jest pozbyć się skażonego dziedzictwa Niniwy temu, kto dawno już jej mury opuścił, a cóż dopiero pozostać czystymi tym, którzy wciąż są jej mieszkańcami i więźniami zarazem.

*Rafał GRUPIŃSKI*

## LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

**T A Z A B LTD.**

Tazab House, 273 Old Brompton Road,  
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

**Madame C. Piquard-Zabłocki,**  
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

## Wakacje

Wszyscy gonią w piętke. Tak zwani zwykli ludzie, tak zwana władza i tak zwana opozycja. Choć oczywiście każdy z innych powodów. Zwykli ludzie udręczeni ponad miarę brakiem pieniędzy, brakiem czasu, a co najważniejsze totalnym brakiem sensu we wszystkim, co się w kraju dzieje. Brak sensu i brak nadziei doskwierają najbardziej. Trudno się doprawdy dziwić, że kto tylko może, chce stąd uciekać nie zważając na moralne oceny takiego uczynku. Starość czy choroba, normalne w końcu składniki naszej ziemskiej egzystencji, stają się stanem kłębki. Niemowląt nie ma czym karmić, chorych nie ma jak leczyć, starymi ludźmi nie ma się jak opiekować, a zdrowi stają się rychło chorzy. Właściwy nam poziom humoru utrzymuje już tylko Pomarańczowa Alternatywa. Poza nią rozciąga się ocean ponurości i zaciętej walki o przetrwanie. Tu już nie ma doprawdy z czego się śmiać.

Naprawdę śmieszna jest już tylko opozycja ze swoimi rachubami na jakąś polityczną zagrywkę z czerwonym. Użyłam tutaj słowa „opozycja” tylko w odniesieniu do części przeciwników komunizmu. Tej mianowicie części, która uznaje PRL za jakiegoś partnera do rozmów, porozumień czy pertraktacji. Do zawierania układów czy też dzielenia się władzą. Jest to część najbardziej widoczna i najlepiej słyszalna. W jej olbrzymim cieniu pozostają ci wszyscy, wcale liczni, jak się wydaje, którzy w definicji opozycji się nie mieszczą, choć z braku lepszego określenia tak są nazywani. Jak określiła to w swoim programie Polska Partia Niepodległościowa, nie można jednocześnie być opozycyjną częścią systemu i porządku prawnego i odrzucać tenże system i porządek w całości, dążąc do jego likwidacji. Niby wszyscy wiedzą, że czerwony rozumie tylko jeden argument — siłę, że ustępuje tylko przed zaciśniętą pięścią. Tymczasem zamiast zaciśniętego kuliaka

podsuwa się im łapki w służalczym geście. Nader łatwo deklaruje się władzy gotowość do zaufania. Ot, choćby pisarze, występując o reaktywowanie Pen-Clubu, piszą w liście do Jaruzelskiego, że to „pozwoли odzyskać zaufanie”. Czyżby już kiedyś ta władza cieszyła się zaufaniem i je utraciła? A jeśli tak, to rzeczą władzy jest starać się o to zaufanie. Ale po co ona ma się starać, skoro gotowość do zaufania otrzymuje, zanim jeszcze wykona jakikolwiek gest?

Salony opozycyjne, zapatrzone w salony władzy, tracą niemal zupełnie z pola widzenia tych, w imieniu których rzekomo występują. Jednym półgębkiem mówią o strukturalnym kryzysie formacji ustrojowej, ale już drugą stroną bredzą o pakcie antykryzysowym. To co, mamy zawierać pakt — z kim? — aby ratować tę formację, która, jak dowiedziono nader przekonywująco, reformowalną nie jest? Jedni twierdzą, że do naprawy systemu wystarczy dopuścić pluralizm, szczególnie związkowy, inni, że reformę gospodarczą można przeprowadzić przez likwidację nomenklatury, a wspólną troską jest niedopuszczenie do eksplozji niezadowolenia, jak się ładnie nazywa wybuch nagromadzonej w ludziach wściekłości.

Istnieje zasadnicza różnica między filozofią walki, a filozofią wymoszczenia sobie trochę lepszego legowiska w tym łągrze. Walka zakłada konsolidację wysiłków, szukanie sojuszników, odrzucanie nieistotnych różnic wobec nadrzędnego celu. Tymczasem wewnątrz środowisk opozycyjnych najmniej można dostrzec woli współdziałania. Wprost przeciwnie. Opozycyjny *establishment* okopał się na zdobytych pozycjach, gotów postrzegać raczej konkurentów w walce o wpływy na salonach, niż sojuszników w walce z czerwonym. Opozycję toczy rak niewyżytych ambicji, po goń za tym, aby być znanym, zapraszany, aby kształtować opinie. A tymczasem strajkującym robotnikom opozycyjna wierchuszka mogła zaferować tylko słowa zachęty, nie wiadomo zresztą do czego. Proces degeneracji przywództwa musiał chyba nastąpić w tych warunkach, jakie istnieją u nas. Przywódca, którego pozycja nie zależy ani od woli wyborców, ani od osiągniętych sukcesów, poza bardzo nielicznymi wyjątkami traci swoją moc przywództwa. Zostają mity, zapatrzenie w przeszłość, trwanie w złudzeniach, aż kolejna fala wyłoni nowych ludzi. Sądzę, że są to nieuchronne zjawiska wobec braku normalnego życia politycznego, wobec prób godzenia jawności, jakiej wymaga polityka z konspiracją, jakiej wymaga walka.

Nie mam jeszcze świadomości, jak zostało przyjęte w kręgach przemówienie Kornela Morawieckiego, ogłoszone w Radzie Narodowej w Londynie. Zapewne zostanie przemilczane. Władza oczywiście z właściwym sobie doborem słów opluła Kornela za jego jednoznaczne postawienie sprawy pieniędzy. Po stokroć rację

ma Morawiecki, kiedy twierdzi, że darowanym miłosierdziem. Polski się nie uratuje, a przynajmniej nie tylko miłosierdziem. Charakterystyczna pomoc to jest dawanie ryby, wspieranie walki z komunizmem jest dawaniem wędki. Dobrze się stało, że zostało to wyraźnie powiedziane.

Władza potrzebowała prawie trzech dni, aby zsumować liczbę osób, które wzięły udział w wyborach. Wiadomo było od początku, że frekwencja musi być powyżej 50 %. Jak się okazało, nie tak szybko z 20 % robi się 51 %. Według bardzo wrywkowych informacji — nikt przecież nie liczył frekwencji w sposób zorganizowany — w bardzo wielu okręgach frekwencja wynosiła 10, 12, 15 %. Tego rzędu wielkości podawane są też z przecieków od komisji wyborczych. Tak przynajmniej było w miastach. Na wsiach, tam, gdzie wybierano osoby znane, frekwencja bywała powyżej 70 %. Ale bywała też poniżej 10 %. Nie jest to zresztą istotne, jak dalece tym razem posunęli się w fałszerstwie. Istotne jest, że już nawet nie wspominają o zdecydowanym poparciu, o niedawaniu posłuchu, o świadomym w swej masie społeczeństwie. Znaczy, że istnieją granice, poza którymi manipulacja staje się mało możliwa. Ciekawe, kto z tego wyciągnie wnioski?

Władza ciągle usiłuje wmówić nam, a raczej nie nam, a zachodniej opinii, że bardzo, pracowicie naprawia to, co wcześniej napsuła. Naprawiać zaś usiłuje to, czego w ogóle nie powinno być. Na ostatniej (21 czerwca 1988) konferencji prasowej rzecznik Urban usiłował przekonać, jak znakomite uchwały podjęło VII plenum rządzącej partii. Plenum powołało, uchwaliło, zaleciło, dopuściło, zakazało, skorygowało, wyselekcjonowało, wzbogaciło i zapowiedziało. A tu, ku rozpaczy rzecznika, prasa zachodnia w ogóle się tym nie przejęła. Plenum powołało mianowicie komisję, w myśl starej jak komunizm zasady, że jak nie wiadomo, co zrobić, to trzeba powołać komisję. Ustaliło też listę towarów, które mają być w sklepach. Wiadomo bowiem, że towary mnożą się w wyniku uchwały. Skorygowało plan inwestycyjny — po raz który już w PRL? Zakazało budowania murów fabrycznych — tego jeszcze nie było. Zapowiedziało samodzielność administracji — a czy kiedykolwiek nie była samodzielna w deklaracjach? Mamy łaskawie otrzymać dalszą demokratyzację ordynacji wyborczej. Po czterdziestu latach najlepszej demokracji mamy mieć dalszą demokratyzację. Czyżby zamiast dwóch kandydatów miało dojść do tego, że będzie aż trzech? Będzie się tworzyć reprezentację samorządów. Naiwni sądzili, że reprezentację się wybiera. Środowiska niezależne mają „wejść w orbitę polityki kadrowej państwa”. Ciekawe, jaki stołek zaproponują Wałęsie? Zapowiedziano też „możliwość rozszerzenia udziału niezależnych posłów w przyszłym sejmie”. O, to już szczerokość

zasługująca na uwagę. Tak jawnie jeszcze nie mówiono o zależności posłów. Władza rozszerzy też różnorodność poglądów w prasie, poszerzy ruch zawodowy, poszerzy reprezentację związków twórczych i dokooptuje do ich władz „osoby stojące dotychczas na uboczu”. A co będzie, jeśli związek zechce sobie władze związkowe wybierać? Kto w takim wypadku dokona kooptacji? Nomenklatura ma być oficjalnie, zniesiona, choć oczywiście nie tak znów całkiem, bo zamiast nomenklatury będzie teraz akceptacja. Powszechnie mają być konkursy na stanowiska i dążyć się będzie nawet do tego, żeby było dwóch kandydatów. W głowie się nie mieści, jaka ta władzuchna łaskawa. Tutaj zezwoli, tutaj dokooptuje, tutaj dopuści, tutaj powoła niezależność, może nawet coś tam zarejestruje. Nie pozostaje nam nic innego, jak zacząć się szturmem wypychać w te poszerzenia, w te otwarcia, dać się dokooptowywać, powoływać, reprezentować. I to jeszcze z entuzjazmem, panowie!

Według informacji tegoż rzecznika na tej samej konferencji nie tylko zachód zachwycił się Gorbaczowem, ale Polacy też. Według rzekomych badań CBOS, rzekomo 76,2 % Polaków kocha Gorbaczowa zaraz po Papieżu, przy czym najwięcej Polaków uważa Gorbaczowa za najwybitniejszego przywódcę na świecie, daleko bardziej wybitnego, niż Papież. Jak to łatwo zostaje się wybitnym przywódcą. Wystarczy parę razy odmienić słowo „pokój” i „rozbrojenie”, przestać wsadzać do łagrów za to, co nigdy nie było zabronione... Cytat z pełnej zachwyty relacji z moskiewskich obchodów tysiąclecia chrztu Rusi: „Teraz już wolno uprawiać praktyki religijne!”. A czy kiedyś nie było wolno? Tam przecież zawsze było wszystko wolno. Cała *pieriestrojka* i *glasnost'* polega po prostu na tym, że teraz nie karze się, a przynajmniej znacznie rzadziej karze za to, że się komuś chciało z wolności robić praktyczny użytek.

Bałam się, że zostanę jak samotny biały żagiel na morzu powszechnej aprobaty dla *pieriestrajania* się, że zostanę sama jedna nieczuła na otwarcie. Ale na szczęście bywam jeszcze w sklepach, stoję w kolejkach, słucham, co ludzie gadają i wiem, że nie jestem sama, wszystko, co tu zapisalam to jest właśnie odbicie kolejkowych rozmów. Lud na szczęście zachował zdrowy rozsądek i oiej w głowie, czego o elitach powiedzieć nie mogę.

Elżbieta MIKA

## Jedźmy, wracajmy... (I)

Dzień był październikowy, ciepły, pogodny, nasycający się powoli mocnym blaskiem i przedziwnej urody; przypadała rocznica świętej Jadwigi, imieniny żony, poprzedniego roku obchodzili je we trójkę jeszcze. Więc wydawało mu się: wybrał ten dzień na ten krótki wypad z miasta ze względu na syna, o sobie nie myśląc wcale. Choć przecież mógł być się bez trudu spostrzec, że sam siebie okłamuje. Mógł przeczuć, a nawet był powinien. Już wtedy, kilka dni wcześniej, kiedy z uporem poszukiwał kogoś, kto by ich tam obu zawiózł, co łatwe nie było, bo zezwolenie mieli tylko na podróż do Lwowa, dalej nie (i wiedział, że o nowe tu na miejscu starać się nie ma co), kiedy poszukiwał z uporem, z gniewem, a w końcu z rozpaczą, że nie znajdzie. Aż dotarł do tego niemłodego taksówkarza, Daniły P., syna Ukrainca i Polki, albo odwrotnie, Polaka i Ukrainki, którego starzy lwowscy znajomi rekomendowali mu jako człowieka pewnego i który rzeczywiście nie odmówił, mimo że ryzykował sporo; popatrzył tylko dziwnie i zapytał, czy on stamtąd, a gdy odpowiedział, że tak, twarz tamtego na okamgnienie ściągnęła się jakimś grymasem dezaprobaty, lecz zaraz jeszcze raz powiedział, że dobrze, że ich tam zawiezie. Jednakże nie spostrzegł się był wcale, nie przeczuł nic. Ani wtedy jeszcze, ani następnego dnia, ani tego dnia wreszcie, kiedy wcześniej rano wyszedł z synem z hotelu i w bocznej uliczce, tak jak się był z Daniłą umówił, wsiedli do czekającej tam na nich jego taksówki. Nie spostrzegł się, nie przeczuł, jak gdyby był ślepy i nieczuły.

A teraz od samego początku jechali trasą, którą znał doskonale sprzed wojny i z czterdziestego czwartego i piętego roku jeszcze. Nie musiał wcale odczytywać drogowskazów. Więc w pierw przez Winniki, Gaje, Kurawice, Przemyślany ku dolinie

Złotej Lipy, zrazu przez jary i dolinki z bystrymi potokami na dnie, przez mieniące się w świetle poranka wszelkimi pastelami jesieni zagajniki i podmiejskie lasy, wśród wzgórz i garbów grabiny, brzoź, buków i klonów, które z dala wyglądały jak wyłaniające się z mgły wielopalczaste plamy pleśni, pozbawione konturów i rozkładały się w powietrzu, jak na ścianie ze srebra, a gdy się zbliżali, od razu łagodnie przechodziły z siności w światło i były na wyciągnięcie ręki dotykalne, ale mimo to dalej zupełnie nierzeczywiste. Potem krajobraz rozpląszczył się jak gdyby i wyrównał, stając się nieogarniony w swej rozległości, wciąż jednak we mgle, tyle że zwolna rzednącej, unoszącej się postrzępionymi kłębkami w górę, i wydało mu się, że poczuł nieśpieszny, znajomy oddech tej ziemi, aż raptem siedzący na tylnym siedzeniu „wołgi” syn wyrwał go z zamyślenia pytaniem, czy to step. Więc to wtedy się zaczęło.

Bo Daniłło na chwilę odwrócił się od kierownicy i, szczerząc białe jak ser zęby, roześmiał się szeroko. — Step? Kto widział go w tych stronach!? Ale to prawda, niektóre okolice tak tu zapuszczono, że przypominają step — mówił, a właściwie śpiewał tą swoją polszczyzną lwowską, jaką niekiedy słyszy się jeszcze w okolicach Wrocławia. Syn zaś zapytał po namyśle, gdzie zaczynają się stepy. A Daniłło odpowiedział, że tak naprawdę, to dopiero za Zbruczem, albo jeszcze dalej, w okolicach Dniepru, i chłopak mruknął coś pod nosem zawiedziony, nawet trochę jakby oszukany i urażony też.

A wtedy on spróbował syna pocieszyć:

— Przed wojną była tu taka resztówka. Step prawdziwy. Nasz wielki geograf, Eugeniusz Romer, walczył o przyznanie mu statusu rezerwatu, żeby nie zaorywano więcej; nie wiem czy wywalczył. Będąc w twoim wieku, miałem jego atlas. W tym atlasie nasz ostatni step został zaznaczony. Nazywał się Pantalicha.

— Nie słyszałem — wtrącił się Daniłło. — Ale nie jestem stąd. Z gór.

— Dziwna nazwa — zauważył syn. — Co to znaczy?

— Wiesz... dla mnie nigdy nie była dziwna — powiedział.

— Była naturalna. Nigdy nie przyszło mi do głowy zastanawiać się, czy coś znaczy. Do dzisiaj nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem.

Więc zaraz potem on, bo syn milczał, z nieco nieufną ciekawością spoglądając przez okno na uciekający krajobraz, przypomniał sobie: przyjechały do Warszawy młodziutkie i śliczne dwie kuzynki z Włoch. Matka Włoszka. Ich ojciec szlakiem z Rosji przez Kazachstan, Persję i Palestynę dotarł z armią do Brindisi; tam gdzieś ranny pozostał. Urodziły się w kraju matki. Miały czarne oczy matki, jasne włosy i mocne kości policzkowe ojca.

Mówiły poprawnie po polsku, ale wielu słów, których się w rozmowie z nimi używało, nie rozumiały. Były całe przepełnione śródziemnomorską radością, ciekawością życia, zachłystujące się jego zewnętrżnością. Przeglądały zachłannie stare albumy rodzinne, pytały, czy tam w tych stronach ich ojca naprawdę był step. Powiedział, że tak i że ostatni. Gdy był chłopcem to z ich ojcem jeździł przez ten step konno, a jeszcze wcześniej na kucu; pokazał na mapie. Chciały, żeby opowiedział, opowiadał jak umiał, czuł, że ich nie zadowolili, może wyobrażały sobie wszystko nieco inaczej?

A przecież wystarczyło mu tylko intensywnie pomyśleć, a widział zaraz ten cień lasu, przez który trzeba się było, jeżeli jechało się z domu, przedrzeć, przesłaniający im twarz, czuł zapach kory, grzybów, pobuchtowanej nocą przez dziki darni, nasączonego jak gąbka wilgocią mchu, słyszał kucie dzieciola, wabiący, cichy szczebiot pięzgi. I natychmiast przypomniał sobie tę chwilę, kiedy las urywał się ostrym cięciem, otwierając widok na Pantalichę: to było tak, jakby raptem wyrosła ściana ze światła. Jak poprzez świeżość zalegającej jeszcze ziemię rosy, przez poranne wysychanie, wionął im w twarz, wraz z wiatrem, ciepły oddech otwartej przestrzeni, to przeczcucie żaru i omdlenia, które dopiero miały nadejść.

Lecz zrazu trzymali się traktu między topolami, prowadzącego do osady Wiśniowczyk, dopiero po kilometrze albo półtora, kiedy droga zbaczała na zachód, zjeżdżali wprost w step naprawdę. Wtedy też tak było. I potem, to widział tylko bodiaki i miętę, i szalwię, gdzieś tam macierzankę, a na wzniesieniach tymian i skrzyp; tylko tu i ówdzie wiechcie czarnobylnika, miotłki żółtej i białej kaszki; tu i tam rozkrzewione osty i rutę, albo niegęsty szuwar, obrastający okniny i bezdnie pulsujące bagiennymi źródłami. Wszystko w rozfałowanych aż po widnokrąg trawach. Jeszcze zaś potem topole oblepiające nasiennym puchem ich twarz i spoconą sierść koni, zostały daleko, a tylko skowronek niezmordowanie zanosił się im ponad głowami śpiewem, zapewne dziesiąty, może setny po drodze, chociaż wciąż ten sam jak gdyby. I konie pociły się coraz mocniej i już nie prychały, nie parskały więcej, nadlatujący zaś w lekkich podmuchach wiatr niósł kurzem w twarz i paski wodzy w dłoniach robiły się miękkie i mokre od potu. Wtedy właśnie stryj, ukazując szary tuman na widnokręgu, powiedział do dziadka, że za dużo byłła pędzą na jutrzejszy jarmark, a dziadek że tak, od samego świtu, więc ceny nie będą wysokie. I porównywali ceny lat wcześniejszych, zastanawiając się, jakie mogą być za rok, a także mówili o opłacalności transportu drzewna z Besarabii i podniesieniu procentów w Banku Kredytowym, choć przecież już za kilka lat nie miało być ani tego handlu zbożem, ani transportów



drewna, ani Banku Kredytowego, zresztą w ogóle żadnych banków. A gdy wreszcie umilkli, słychać było zwielokrotnione ciszą dzwonienie wędzideł i trzęsli, i skrzypienie trybinek przy siodłach. Jeszcze spod kopyt koni, z jakiejś niecki podrywał się czasem z krzykiem dudek i przepadał szybko. Jeszcze samotny jastrząb zakołował wolno nad ich głowami, nad drżącą liśćmi osiką, nad kępą kosmatych ostów z zeszłego i zaprzeszłego roku, wokół której rozcapierały się nowe kępy popielatych, siwych i zielonych też, o zieleni wszakże mocno zgaszonej, z upału wyblakłej, a nad tym wszystkim, nad nimi, jadącymi przez tę pustkę, jak zjawy wywołane snem lub gorączką, nad ostami, burzanami, bodiakami, nad połyniem i miętą, osiką samotną i samotnym jastrzębiem, stało wysokie, przezroczyste jak gdyby i nieskończenie rozległe niebo, po którym wędrowało słońce. I to właśnie był step w początku lata w południe, który przemierzał konno z ich ojcem. Lecz widać nie potrafił go kuzynkom właściwie opisać, może jego opowieść nie była zbyt plastyczna, nie wiedział, tyle lat...

— To było daleko od waszego domu, tato?

— Nie, wcale nie — powiedział odwracając się do tyłu do syna. — Z trzy czwarte godziny, jeżeli szło się pieszo. Na koniu zaś z kwadrans, może nawet i tyle nie. Pewnie gdzieś tam po drodze o skraj tego terenu zahaczymy.

Daniłło oderwał wzrok od szosy i kiwnął głową:

— Dopiero co przejechaliśmy Brzeżany, zaraz jednak skręcimy ku Podhajcom. To dobry skrót. A potem, nie dojeżdżając do Podhajec, przedostaniemy się przez Koropiec na drugą stronę i zostawimy po prawej stronie Buczacz... Zahaczmy niechybnie. Romer byłby niezłe zadowolony: nie ma teraz kto podorywać...

Więc syn jeszcze przez chwilę poprzypatrywał się kierowcy, jakby zastanawiał się nad stopniem zadowolenia geografa Romera, potem zwrócił się do niego z pytaniem, czy chodził w step i jak tam jest?

— Idąc w step spotyka się tylko trawy i wiatr — powiedział, patrząc wprost przed siebie na szosę. — I ptaki... — dodał po namyśle, czując coś niepokojącego, szum w uszach, jakby zanurzał się w tamten czas, niby w zbyt głęboką wodę i raptem ciśnienie stało się nie do zniesienia. Gdy dotknął twarzy dłońmi, była rozpalona. Właśnie zatrzymali się przy kolejowym przejeździe, szlaban był już opuszczony, mimo że pociągu, jak daleko okiem wzdłuż toru sięgnąć, nie było nawet śladu. Zapytał wtedy kierowcy, czy można wysiąść, a tamten kiwnął głową. Wysiadł, włożył na siebie płaszcz, ale zostawił niezapięty, słońce bowiem, choć wciąż zaciągnięte, jak parą, bielmem rozrzedzonych chmur, przygrzewało, i przespacerował się wzdłuż samochodu i z powrotem, jakby chciał rozprostować nogi, a potem zbliżył się do prze-

jazdu, oparł o szlaban i zapalił papierosa. Szum w uszach wreszcie ustał, a twarz, gdy jej ponownie dotknął dłonią, wydała mu się znowu chłodna. Ale pierwszy raz wtedy właśnie, myśląc o tej wyprawie, zaniepokoił się. Odrzucił niedopalonego papierosa, gdy zbliżył się syn.

— Tak rzadko coś mówisz na ten temat, tato...

— Niby o czym mówię rzadko?

— Jak jeździłeś przez step. Wspomniałeś kiedyś tylko, że na kucu.

— W twoim wieku, to na kucu. Nigdy wszakże nie zauważyłem, żeby cię to interesowało. Zresztą nie ma o czym mówić...

Syn wzruszył ramionami, widać nie wierzył, ale godził się z nim nie sprzeczać, i przeskoczył płytki rów. Odprowadzał jego chudą, ponad wiek wyrośniętą sylwetkę wzrokiem, a gdy syn nachylił się nad jakimś rozgrzebanym przez psy kretowiskiem, z dziwnym uczuciem hamowanej rozpaczyny patrzył na jego plecy zgarbione i wystające przez pulower łopatki. Z łoskotem, niezbyt wysoko, przeciął powietrze sowiecki wojskowy MIG. Spoglądał za nim tak długo aż przepadł w chmurach. Syn spoglądał też.

Przed torem i za torem ciągnęło się rozległe wydmuchowisko, tylko w jednym miejscu czerniejące kilkuskibowym cięciem dość świeżego jeszcze basztanu na dwa albo trzy sprężnięte z trakto-rem pługi, ginącego za nieboskłonem. Z boku wyłaniała się, jak wyspa, ruina wypalanej cerkiewki i trzy wybielone starannie chaty, otoczone splechotkami uprawionych przyzagrodowych poletek. Jak okiem sięgnąć było pusto. Zaszuchany w tę pustkę, nie posłyszał nawet ani nie spostrzegł, jak z tyłu za „wołgą” zatrzymało się kilka furmanek, potem nadjechała i ustawiła się w kolejce ciężarówka. Dopiero, gdy za plecami posłyszał ukraińską rozmowę, odwrócił głowę. To czterech mężczyzn, chłopów pewnie, którzy zsiadli z furmanek, przystanęło, tak jak on, przed szlabanem i sprzeczało się, ile pociąg ma spóźnienia; ich twarze były zmęczone, zaniedbane (może zresztą wyglądały tak tylko przez niezgolony zarost), na pewno zaś nie wesołe. Ale na krótko zobaczył błysk ciekawości w ich oczach. Ich wzrok, jakby go fotografował, błądził szybko po jego płaszczu, ubraniu w rozpięciu płaszcza i po butach, a gdy ponownie zbliżył się syn i zapytał o coś po polsku (pytania nie zrozumiał, może nie dosłyszał, tak był wewnętrznie spięty ich wzrokiem), ich oczy puściły go, odwróciły się od niego nagle, znów obojętniejąc. Nie podejmowali przerwanej rozmowy, stali obok, patrząc nie na niego, lecz w stronę skąd miał nadejść pociąg i w tej ciszy, w której tylko szeleściła trawa przy drodze i dawało się słyszeć dalekie rozdzwonienie kosów, dolatujące od resztek wsi przy wypalanej cerkiewce, było coś takiego, że syn swego pytania już nie powtórzył. Wreszcie ukazał się czarny punkt na horyzoncie, wy-

dłużając się szybko i rosnąc, dudniąc coraz głośniejsze, i wtedy oni dopiero tamtą rozmowę podjęli na nowo.

Kiedy pociąg mijał zamknięty szlabanem przejazd, ten stojący najbliżej niego mężczyzna zwrócił ku niemu twarz (a ta twarz była uważna, lecz życzliwa) i odezwał się nagle po polsku. Powiedział, że im, Polakom, zawsze się udaje (coś mniej więcej takiego), może nie użył słowa „zawsze”, ale „znowu” i zdanie mogło brzmieć „Wam, Polakom znowu się udało”; w każdym razie chodziło o to, że oni, Polacy, zawsze, czy też znowu mają szczęście. Już po sekundzie nie pamiętał konkretnych słów, tak był poruszony wzrokiem tamtego, w oczach tamtego bowiem nie było żadnej niechęci ani pretensji, trochę nieokreślonego żalu tylko, żalu i smutku, jeżeli żal i smutek nie były w tych oczach tym samym. Potem ten Ukrainiec odwrócił się od niego cicho, bez żadnego gestu. A potem szlaban powędrował w górę i oni wszyscy cofnęli się do swych furmanek, Daniłło zaś dał sygnał klaksonem i on z synem też cofnęli się od szlabanu, wsiedli do taksówki, ale dopiero, kiedy znaleźli się po drugiej stronie toru i „wołga” nabrała rozpędu, zapytał syna, o co wtedy przy szlabanie mu chodziło.

— Och, o nic ważnego. Pytałem, czy widziałeś te biegnące przez step zające.

— Nie, żadnych zajęcy nie widziałem — powiedział ostro, choć wcale nie zamierzał. — Zamyśliłem się. Poza tym już ci mówiłem, że to nie step. Tu żadnych stepów nie ma. Nigdy tu stepu nie było, przyjmij to wreszcie do wiadomości! — Potem wydawało mu się, że słyszy napięty oddech chłopca, ale nie odwracał się ku tylnemu siedzeniu, aż syn zapytał:

— Niedobrze, że się po polsku odezwałem? Narobiłem kłopotu?

— Sam powinieneś wiedzieć — powiedział. — Nie jesteś dzieckiem...

— Och, nie muszą zaraz donieść! — wtrącił się kierowca Daniłło. — Zresztą nie mogą wiedzieć, czy wiozę turystów za zezwoleniem, czy bez.

— Przepraszam — powiedział on na to. — Nie chciałbym, żeby pan z naszego powodu miał przykrości... — Lecz czuł, że słowo „przykreść” jest tu nie na miejscu i było mu autentycznie nieprzyjemnie.

— Nie ma o czym mówić — zbagatelizował Daniłło, mimo to w zaprzeczeniu tym zabrzmiało zniecierpliwienie. Po chwili powiedział już znowu normalnym głosem: — Myślę, że niebawem zrobimy postój na posiłek.

Znaleźli się teraz na drodze prowadzącej na Podhajce, nie ujechali jednak więcej nad kilka kilometrów, a Daniłło skręcił znowu; droga była węższa, klinkierowana, reperowana asfaltem,

wkrótce ukazała się dolina Strypy. Więc ujrzał wysoką, podkrojoną jak gdyby linię brzegu ze strony przeciwnej i wybrzuszącą się łachami porośniętymi łożą, dość płaską po tej stronie, wyżej zaś, ponad jednym i drugim brzegiem, wznoszące się dwuszeregiem wierzby, dawno nie obcinane. Pamiętał, że gdzieś na południu, może nieco bardziej w prawo, zostawią Buczacz wcale doń nie dojeżdżając, osłonięty wzgórzami (gdzie na stokach pięły się dawniej latem plantacje chmielu), ale osłonięty niezupełnie, bo są między nimi otwarte przestrzenie, wskroś których można dojrzeć miasto, jak gdyby rozłożone między wieżami Bazylianów, a ruiną mniejszego zamku i że zaraz będzie most. I rzeczywiście był most, może ten sam, co niegdyś, tyle że miejscami z nową nawierzchnią i poręczami nie z belek, lecz z metalowych prętów zżartych, gdzie złuszczyła się farba, rdzą, tamtego miasta jednak nie zobaczył. W słonecznej mgłę unosiły się na tle widnokrepu jakieś ciemniejsze plamy, kreski, zgrubienia ziemi jak gdyby i przebarwienia nieba, nic więcej. Także metalowa konstrukcja mostu wyglądała jakby pochodziła z czasów pierwszej wojny światowej, a przecież przysiągłby, że pamiętał ją drewnianą. Gdy przetoczyli się na drugi brzeg, chciał synowi coś powiedzieć na temat sławnych niegdyś tutejszych kilimów, ale uprzedził go Daniłko, fachowo i ze znawstwem mówiąc chłopcu o tkackich warsztatach, których dzieła można dziś podziwiać w muzeach, że przed wojną próbowano to stare rzemiosło wskrzesić, nawet to się na małą skalę udało, no i że potem wszystko umarło. A on, przysłuchując się rozmowie, zaczął wspominać dziadka.

U dziadka w pokoju kilimek buczacki zdobił ścianę, przy której stała opasała, beczkowata komoda-fajczarnia, na kilimku zaś coś jeszcze wisiało, lecz nie ryngraf, nic z tych patriotyczno-religijnych akcesoriów, może jakaś plakietka rocznicowa, może na pamiątkę czegoś tam wybity w brązie medal; nie mógł sobie przypomnieć. Ale pamiętał, że komoda-fajczarnia była właściwie nieco z boku, bo po drugiej stronie kilimka stała jeszcze secesyjna witryna z Wiednia, w której starannie ułożone leżały na szklanych półkach różne dziadkowe znaleziska z okolicznych pól i lasów: grotty tatarskich strzał, średniowieczna ostroga, scytyjskie zapinki od końskiej uprzęży, stare monety, części żelazne kuszy, całe mnóstwo miedzianych i cynowych naczyń, a także kolekcja noży leżnińskich, którymi lubił się, gdy dziadek nie widział, bawić, o czarnych, dtewnianych oprawach nabijanych masą perłową, noży które, jak dziadek twierdził, nie służyły ich właścicielom jako broń, ale za rożny do przypiekania nad ogniskiem mięsa.

Ilećroć myślał o dziadku, przypominał sobie jego wewnętrzną pogodę, wyrozumiałość, emanującą od niego równowagę duchową, jego zbratanie z naturą. Także niewiarygodną wprost żywotność. Dziadek pojawiał się we wspomnieniach obok niego, gdy był

chory i majaczył, czuł wtedy dziadka dłoń na swoim czole, ta dłoń wsuwała mu pod pachę termometr, podnosiła do jego ust fajansowy kubek z dziwnymi miksturami, które smakowały zawsze gorzko, a nieraz paliły w gardle; albo w altanie, w wiklinowych fotelach, gdzie opowiadał mu historie o piratach, bezludnych wyspach, dalekich podróżach, o odkrywcach i badaczach nieznanymi łódw; i także na łąkach przy stawach albo przy grobli, kiedy podnosił stawidło i z jednego ze stawów spuszczał wodę; a potem, brnąc w gumniakach po mulistym dnie, doglądał sortowania do koszy karpi; albo na brzegu rzeki, spory kawał za miastem, w nadbrzeżnych bystrzynach, z nogawkami cągowych spodni podwiniętymi po pachwiny, jak sięgał pod korzenie drzew podmyte przez rwący wiosną nurt i z czarnych, podwodnych jam, z przepastnych czeluści, zamieszkałych przez straszne istoty nie posiadające duszy, wybierał gołą ręką raki, mówiąc: „No, bliżej z tym koszem, mój chłopcze! Nie masz się czego bać. Taki duży kawaler, a przyszłej zupy się boi”; i w czasie nocnego czekania u wrot końskiego boksu, w jednej z kawalerzyckich stajni na skraju miasta, cierpliwego, lękliwego czekania, aż oźrebi się któraś z pułkowych klaczy i aż zgromadzeni tam mężczyźni (a ich triumfujące, radośnie podniecone głosy cały czas, siedząc tam, słyszał) wyjdą z boksu — dziadek zawsze wychodził pierwszy, zdejmował idąc zakrawiony ceratowy fartuch, uśmiechał się do niego porozumiewawczo i pod pompą, którą on pompował dziadkowi wodę, mył po ramiona dokładnie ręce, a potem, odwijając rękawy kószuli, zaczynał opowiadać o zaletach urodzonego żrebaka; albo jeszcze, jak nauczył go naśladować głosy różnych ptaków i nazywania tych głosów. Minęło tyle lat, a nigdy nie zapomni, że wróble ćwierkają albo szczebioczą, że samiec kuropatwy cırıka, a samica ciągocze, że szpaki i gile świszczą, kos i wilga gwizdzą, słonka psyka i chrapie, kulik prześwistuje, jemioluszką skwierczy, sroka skrzczy albo szczegocze, żoła też skwierczy, a kawka płegocze; że kwiczoł piska, białożór, jastrząb i sokół kwilą; że żuraw dzwoni albo jęczy, słowik kląska albo lamentuje, że skowronek dziedzieleje albo przepióruje; że bekas gwizdzie i beczy, bekasik zaś warczy; że głuszec klapie, treluje, korkuje, szlifuje, klekce i gra; że samiec cietrzewia bełkoce, bulgoce i czuszyka, samica zaś kwokta; że samiec przepiórki bije, a samiczka pieli; że synogarlica gorli, derkacze grają, chruściel bije i strzyka; że czyż psyka, bąk huczy, puchacz i sowa hukają, albo pohukują, puszczyki skołą, a pawie wrzeszczą; mógłby tak wspominać długo.

Nieraz zastanawiał się, dlaczego na pierwszym miejscu był u niego zawsze dziadek, nie ojciec. Dziś myśli, że to nie tylko dlatego, że dziadka miał cały dzień na miejscu, ojciec zaś ze swej staniczki pogranicznej, gdzie pełnił służbę, przyjeżdżał zazwyczaj

raz na tydzień. Myśli, że chodziło zapewne o to, ile w życiu jednego i drugiego zajmowały sprawy ogólne, publiczne, te od wielkiego dzwonu, pisane z dużej litery, a ile te różne prywatne, małe, pozornie mało ważne. Albo inaczej: w jakich wymiarach uwaga każdego z nich skupiała się na sprawach jednych i na sprawach drugih. O proporcje tej uwagi; trudno było mu teraz to wyraźniej sprecyzować. Ale dziadek był dlań bardziej zrozumiałym niż ojciec, chodził po ziemi, nawet wówczas kiedy fantazjował, bujał w obłokach, w każdym razie chodził po ziemi, którą i on rozumiał, nie próbował nikogo naginać do swoich upodobań, był prywatny, prowincjonalny, a zarazem uosobieniem otwartości na świat i umiał swą radością życia innych зараżać. Pamięta, że on wtedy szczególnie nie znosił tych nierozłącznych od osoby ojca konieczności ustawicznego myślenia o ojczyźnie, tego świętego obowiązku czuwania i czujności, tej pełnej poświęcenia miłości ojczyzny i atmosfery placówki, która panowała w ich domu, gdy przyjeżdżał ojciec, atmosfery oblężenia, oblężonego miasta, Przedmurza; tych wszystkich Matek Boskich, którym trzeba było składać hołd, Poczajowskiej, Ostrobramskiej, Częstochowskiej, temu Przedmurzu patronujących; tej wiecznej gotowości do odpięcia barbarzyńców prących ze Wschodu, obojętnie jaką przybiorą współczesną postać, jaką przywdzieją na twarz maskę, wciąż tych samych, chciwych, okrutnych, żądnych władzy, tym samym celem opętanych: ujarznienia innych, rabunkiem i morderem; i przypomina sobie, jak ciążyła mu ta bezustanna konieczność pamiętania, jak padała Troja i Rzym, jak Ludy Morza rozbiły państwo Hettytów, jak koczownicy z głębi stepów Azji wdeptali kopytami swych koni w piach pustyni kwitnące miasta Chorezmu, albo o wielkiej Bitwie Narodów na Katalaunskich Polach, która przyhamowała zwycięski pochód Hunnów. Nie, żeby mu patriotyzm był obcy, nie, dał mu przecież później dostateczne świadectwo (nie znosił tylko tego napięcia, tego wzmożenia tych uczuć, które ojciec innym narzucał, napięcia, które nigdy nie łagodniało i które inne strefy uczuciowe przygniatało) i dziadek też był gorącym patriotą, co do tego nie miał cienia wątpliwości, ale kilimka buczackiego, wiszącego na ścianie w jego pokoju między komodą-fajczarnią a wiedeńską witryną, czyli jak gdyby na miejscu tam centralnym, nie mógł zdobić żaden ryngraf, to nie byłoby w dziadka stylu, a więc to, co na nim wisiało, musiało mieć jakieś tylko dla niego znaczenie i wagę.

— Wiesz, taki kilimek buczacki wisiał także w pokoju bibliotecznym dziadka — powiedział. — Na nim coś jeszcze wisiało, jednakże nie pamiętam co. Dużo dałbym, żeby sobie przypomnieć. U mojego dziadka, czyli twojego pradziadka — poprawił się po chwili.

— Może skrzyżowane szable — powiedział syn.

— Nie, szable nie. Nie pamiętam.

— Dwa pistolety do pojedynku?

— Co też ci przyszło do głowy, nie.

— Bo mówiłeś kiedyś, że pradziadek zbierał broń.

— Tak, miał świetną kolekcję. Niektóre egzemplarze pamiętam: rogatkę, biksflintę, skałkówkę, pistonówkę-odtylcówkę. Lubilem je oglądać i dotykać.

— Pewnie był namiętym myśliwym...?

— Nie, on nie. To twój dziadek, czyli mój ojciec lubił polować. Pradziadek nigdy. On był fizykiem. To znaczyło w tych stronach tyle, co weterynarz.

— Fizyk...? To on dlatego tak znał się na koniach?

— Nie, nie dlatego. W tamtych czasach wielu znało się na koniach. Znał się też doskonale na ptakach. Potrafił je godzinami podglądać. Umiał preparować i wypychać różne zwierzęta. Znał się również na ziołach, wiedział na jakie dolegliwości pomagają. Nie mam pojęcia, jak tę wiedzę zdobył, czy gdzie zgromadził. Gdy go pytałem, to śmiał się i mówił, że w kontaktach z wiejskimi babami, uprawiającymi czary. A leczył nie tylko zwierzęta, także ludzi, kiedy pytali go o radę.

— To może był kimś w rodzaju znachora...?

— Może... — roześmiał się i na chwilę odwrócił do syna. Wydało mu się przez ułamek sekundy, że w pociągłej, delikatnej twarzy chłopca zobaczył w pomniejszeniu ostrą, nieco kanciastą, o twardo zarysowanym podbródku twarz dziadka i poczuł coś jak wzruszenie. Powiedział: — Może w tamtych czasach do obowiązków takiego fizyka należała także znajomość medycyny ludowej. Czy ja wiem? W tych stronach wszystko było możliwe. Ta kuracja czosnkowa, którą musiałeś już kilka razy przecierpieć, gdy byłeś zaziębiony, to według jego recepty. Sam przyznasz, że zawsze pomagała. — Kierowca oderwał wzrok od szosy i przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Więc powiedział do niego ze śmiechem:

— Jak pan wie, wiara też pomaga w leczeniu.

Zaraz potem przypomniał sobie, że na schorzenia przewodu pokarmowego i wątroby dziadek zalecał chłopom odwar z huby modrzewiowej, a kiedy trzeba było uśmierzyć dodatkowo ból, do huby mieszał siemię lniane, nalewkę na łupinach i liściach orzecha włoskiego, odwar z owoców jałowca i napar z kwiatów rumianku, wszystko to w odpowiednio wymieszanych proporcjach, znanych tylko jemu i spisanych przez niego pracowicie w kilku kajetach, oprawnych w czarną ceratę, które po śmierci dziadka on wzięął na przechowanie, ale zapomniał później zabrać w pośpiechu ewakuacji w czterdziestym piątym roku. Te zioła, zamawiane przez dziadka, przynosiły baby wiejskie nawet z dalekich stron; pamiętał jak dziadek kazał im pęczki wysuszonych

liści i badyli rozkładać na ławie w ogrodzie, gdzie było najwięcej słońca i rozplątywał je, i przeglądał długo. Ale przecież często sam również je zbierał po różnych otawiskach, mszarach, przełajach leśnych i debrach nadrzecznych, i on dziadkowi w tamtych wędrówkach towarzyszył. Pamięta doskonale nawet bez jego zapisów w którymś z jego kajetów, albo jakby te zapisy zrobione kanciastym, trochę gotyk przypominającym pismem dziadka, odczytywał oczyma wyobraźni, że na raka żołądka dobra jest mieszanka z jedenastu surowców: z kory wierzby, ziela jemioły, liści brzozy, ziela fiołka trójbarwnego, liści borówki czernicy, ziela dziurawca, liści pokrzywy, kłącza perzu, korzeni omanu i prawosłazu, pączków sosny i porostu islandzkiego. Albo, że na raka piersi kobiecej dziadek sporządzał zestaw z liści babki lancetowej, pokrzywy, ziela ostrożnia warzywnego, drapacza, rdestu ptasiego, dziurawca i kwiatu akacyjowej robinii.

W latach, kiedy go najprzenikliwiej zapamiętał, dziadek zbliżał się do osiemdziesiątki i był od dawna na emeryturze, choć jeszcze to tu, to tam wzywano go do co poważniejszego przypadku, zwłaszcza jeśli zdarzył się w stadninie należącej do miejscowego garnizonu, ale i chłopci z okolicznych wsi przysyłali po niego furmankę latem albo sanie zimą też dość często, co nie wpływało na dobre stosunki z urzędującym młodym weterynarzem. Dziadek wtedy tylko zimą mieszkał przy rodzinie w mieście w domu przy ulicy Karmelickiej, choć osobno, bo w pokojach w oficynie; było to już z dziesięć lat po śmierci babki, zmarłej od rażenia piorunem podczas podmiejskiego spaceru, gdy schroniła się przed burzą i deszczem pod drzewo. Na pozostałe trzy roku przenosił się pod miasto do chaty o wiejskim charakterze, którą nazywał letniakiem i którą zajmował z jedną miejscową kobietą imieniem Małanka, wdową po strzelcu z ojca jednostki pogranicznej, zabitym kulą przemytnika, a może przekradającego się przez granicę jakiegoś sowieckiego agitatora. Małanka chodziła wokół dziadka gospodarstwa i mu gotowała. Chata zaś była solidna, z pociemniających od słońca i jesiennych deszczy belek. Stała na niskiej podmurówce z cegły, złociła się świeżymi plecionkami ze słomy wbitymi między belki i miała dobrą strzechę, nietkniętą jeszcze przez mech i porosty. Należała do dzierżawy, którą dziadek wziął krótko po bolszewickiej wojnie i wtedy ją kazał odnowić. Do dzierżawy tej poza tym należał spory sad z warzywnikiem i za płotem łąki, gdzie były dwa rybne stawy oddzielone groblą. Łąki te podchodziły aż pod sam las, a drugą stroną dotykały sadów, ciągnących się na wysokim brzegu rzeki, będących własnością Żyda Cukiera (którego później, w połowie już wojny, Niemcy wywieźli, zanim zaś wywieźli, to prosił, żeby mu dziadek jego sadów przypilnował, ale wtedy jeszcze do wojny było daleko) i dziadek z Cukierem darli ze sobą koty o przejście przez sady



do rzeki, które dziadek uważał za publiczne, Cukier natomiast za należące do niego.

Wspominając chatę dziadka i sady, ten dziadka i sąsiada, Cukiera, musiał zaraz myśleć o skarpie niżej sadu Cukiera, z której schodziło się kamienistą ścieżką nad sam brzeg rzeki w szuwały: ulubione miejsce dziadka w cieniu konarów dwóch blisko siebie rosnących wierzb, wychylających się ku wodzie i nad nią się pochylających gąszczem cienkich witek, tam gdzie kładka z wytrawionych słońcem grubych bierwion wrzynała się w toń. Na tej kładce, kiedy popołudniami upał nieco przygasał, dziadek zwykł był nieraz siadać z nogami do połowy łydek zanurzonymi w chłodnym nurcie i w spokoju wypalać fajkę lub dwie, by — jak mawiał — pomedytować jednocześnie nad różnymi urządzeniami tego świata. Zapatrzonej w skrzący się na białokamiennym dnie drobiazg kleni i kielbi, zasłuchany w głosy łysek i kaczek, sięgał niekiedy, wcale za siebie nie patrząc, do przytroczonego do kołka podtrzymującego kładkę sznurka i wyciągał z wody uwiązaną na tym sznurku obłych kształtów butelkę zamykaną srebrną nakładką trochę większą od naparstka; nalewał potem ostrożnie do nakładki płynu o rubinowym najczęściej kolorze i wypijał go drobnymi łykami. Albo o wieczornym zmierzchu. Kiedy kolejno cichły wśród łąk nad wodą żalosne zawodzenia czajek, w trzcinach zaś pluszczy, potem flety szlamików, i jeszcze potem odzywać się przestawał brodziec, a w końcu i nienasycone rybitwy milkły, to wtedy dziadek siadał na kładce z czarnowłosą i czarnobrewą Małanką, i obejmując ją za szyję, słuchał jak mu opowiadała, co zdarzyło jej się ostatnio. I nawet jeśli były to tylko jakieś drobne sprawy, że przypaliła się pieczeń, wykipiła mleko, czy też, że mole dobrały się do dziadkowego kożucha, albo sny, których treść niewiele odbiegała od Małankowej rzeczywistości dziennej, to dziadek też słuchał bacznie, później zaś czynił uwagi, pocieszał czy pouczał, albo tym jej nieskomplikowanym snom próbował nadać inne, niż ona nadawała znaczenie.

Ciekawe, że z interpretacji dziadka nie pozostało w jego pamięci ani śladu, zapamiętał natomiast co mówiła siedząca przy dziadku na kładce Małanka. Że jeśli śnią się zmarli, to najpewniej będzie deszcz, jeśli woda, płynąca i czysta, to dobre wieści, przyjazne spotkanie, nawet miłość, a czasem i pieniądze, jeśli woda mętna, albo do tego stojąca jeszcze, to murowana choroba, że w ogóle zęby, to niedobrze, a ból zęba czy zęby, broń Boże, krwawiące; to śmierć w pobliżu, może w rodzinie nawet, albo jakieś inne wielkie nieszczęście.

Gdy mrok stężał, to wracali do letniaka kamienistą ścieżką przez sad Cukiera i śpiewali rusińskie piosenki, narażając się, jeżeli Cukier do miasta jeszcze nie wrócił, na jego wybuchy gniewu, bo Cukier, choć Żyd, był polskim nacionalistą. A później

Małanka zapalała u stropu naftową lampę i zaczynała krzątać się przy kuchni, przygotowując jedzenie, on zaś patrzył w czarne okna, na uderzające po drugiej stronie o szyby cmy i zastanawiał się nad różnymi skomplikowanymi sprawami, o które nie odważyłby się spytać dziadka przy kobiecie. Ale rzadko zostawał na kolacji, zęgnął się, siadał na rower i wracał do miasta; mama nie lubiła, kiedy zasiadywał się u dziadka, mówiła o swym ojcu: „sprowadzi cię na manowce”, a chociaż wiedział, że nie mówiła tego serio, wołał jej się nie tłumaczyć. Dziadek miał wtedy osiemdziesiąt albo nawet więcej lat i był człowiekiem szczęśliwym.

Ale skoro już wspominał dziadka, sad Cukiera, przez który szło się kamienistą ścieżką do nadbrzeżnej skarpy i nad wodę w szuwarach i tatarakach, oraz kładkę, to pomyślał zaraz także o tej ścieżce, prowadzącej wzdłuż Cukierowego sadu w górę rzeki do łąk należących do wojskowej stadniny. Te łąki ciągnęły się naprzeciw miejskiego kąpieliska, położonego na drugim brzegu rzeki. Na plaży kąpieliska spędził wiele przedpołudni w czasie szkolnych wakacji, ale to było kilka lat później, kiedy już chodził do liceum i kąpiele z okolicznymi chłopakami u dzikich brzegów rzeki przestały być dlań atrakcyjne. Tam, na oddzielonej od dzikiego brzegu drewnianymi parkanami, wysypanej starannie piaskiem działce, gdzie były przebieralnie, natryski, stoliki pod parasolami, przy których elegancko jadło się lody, piło kakao lub kefir, albo lemoniadę, udało mu się wreszcie zbliżyć do Lilith (w szkole to nazywano ją po prostu Litka, tak że brzmiało jak Lidka przez „d”, od Lidii, ale on wołał jej imię w jego prawdziwej, starożytnej formie), Lilith długo zachowywała się nieprzystępnie, bo była nie tylko trochę odeń starsza, ale i o klasę od niego w szkole wyżej.

Tą ścieżką prowadzącą zakolami wzdłuż skarpy ku pułkowym łąkom, chodził ostatniego lata przed wojną przypatrywać się koniom; Lilith też tam chodziła z tomikami poezji pod pachą, często (może był to czysty przypadek) w te same dni, nawet godzinny, co on. Choć przedtem jeszcze rok albo dwa, to całymi tygodniami musiał czatować na okazję, kiedy sama wracała ze szkoły, żeby mógł ją odprowadzić do jej domu, a i wtedy teczke rzadko pozwalala mu nieść, może nawet wcale, dziś w każdym razie nie pamiętał. Więc potem, mimo że było jeszcze kilka między nimi spotkań na koleżeńskich potańcówkach, gdy jesienią wyjechała na studia, to już nie tak często o niej myślał, a w końcu nawet by pewnie zapomniał te wszystkie męki, o jakie go jej obecność przyprawiała, gdyby nie raz na miesiąc przysyłana mu przez nią kartka z pięknym widokiem tamtego miasta i krótkimi, ale zawsze coś znaczącymi pozdrowieniami.

A więc, gdy nastalo to lato przed wojną ostatnie, i on też zdał maturę, a Lilith po pierwszym roku studiów przyjechała do

domu i spotykali się tam właśnie przy koniach w pierw przypadkowo, później zaś już nie przypadkowo, to stało się to jeszcze w pierwszej połowie lipca, jednego wieczoru przed ostatecznym zmrokiem (pamiętał, bo pora, bo każda minuta była ważna, tak niewiele czasu im zostało), ale resztki światła wciąż załamywały się w rozwianych grzywach biegających koni, spływały z ich naniętej na karkach i łękach skóry, a oni stali na łące rozdzieleni okrągłakiem obelkowania końskiego okólnika, on wewnątrz, ona od strony nadrzecznej skarpy, na zewnątrz, i mówił, jakby się obnażał. Choć tylko o tym, jak będzie wkrótce strzelać bekasy. Jak ciągną wieczorem wskroś mierzchnącego powietrza nisko, pod wiatr, na łokieć może, albo i na tyle nie, nad skrajem unoszącej się nad mokradłami mgły, i ze świstem, z furkoczącym świstem, z furkotem skrzydeł delikatnym, lecz już z daleka słyszalnym. Że trzeba stanąć i złożyć się do strzału jeszcze niżej, lub nawet przykłęknąć, i strzelać trzeba na słuch, na wyczucie właściwie, niemalże na oślep. A ona patrzyła na niego uporczywie spojrzaniem czarnych oczu niezgłębionym i śmiała się bezgłośnie. Ale potem schylił się i przesliznął się pod belką na jej stronę, spoglądając wszakże w bok, bo wiedział, że ona wciąż na niego patrzy i że w jej oczach pojawiło się teraz niejakie rozbawienie, może i drwina też. Wkrótce zaś nie miał już o czym mówić, temat był wyczerpany i rozpaczliwie szukał w pustej głowie innego, nie znajdując go. Aż ona bez słowa wyciągnęła ręce i takie sztywne, naprężone, sztywno położyła mu na ramionach, i nie pamiętał, jak długo tak naprzeciw siebie stali. Na wyciągnięcie jej rąk wyznaczających między nimi odległość, jak od brzegu do brzegu szerszej niż tam w dole rzeki, którą on przekroczy, jeżeli ona tego zechce. Wreszcie jednak na nią spojrzął i, choć w słabym świetle zmroku rysy jej twarzy rozplływały się, miał wrażenie, że przygląda mu się nie z drwiną, jak przypuszczał przedtem, lecz ze zdziwieniem, z zaskoczeniem, zdziwionym oczekiwaniem nawet. Więc sięgnął do jej dłoni i, gdy je od swych ramion oderwał, to jej ramiona rozluźniły się (a usta miała rozchylone, wysuszone na papier i zwilżała je szybkim ruchem koniuszka języka), i zaraz roześmiała się pierwszy raz głośno. A potem jej śmiech nie ustał nawet wówczas, kiedy już leżeli w trawie, on zaś trzęsącymi się palcami usiłował poradzić sobie z guzikami jej bluzki, i śmiejąc się mówiła, że nie przypuszczała, że on się odważy; razem z tym śmiechem słowa te brzmiały zaczepnie, prowokujące, krew ścinały w żyłach. Ale pod swoimi palcami czuł już miejsca jej ciała nie tylko te zupełnie chłodne, także inne, rozpalone jak w gorączce, i zapach jej skóry zamącił mu w głowie, więc było za późno, żeby ustalić, co mogły znaczyć naprawdę, zresztą by pewnie ustalać wcale nie chciał. I były bliskość i oddalenie jednocześnie, i znowu bliskość, i jeszcze bliżej, i tak bez końca,

i w nieskończoność, a jak się mu zdawało, na zawsze. Aż jej kolana i uda, ściskające jego biodra, niby w kleszczach, puściły. Potem ona leżała tam na tej wciąż jeszcze wygrzanej całodziennym upałem ziemi ze spokojną, zagadkową, niemal nieobecną twarzą. A później były jeszcze księżyc i gwiazdy, i jeszcze coś, co już nigdy nie wróci, żeby nie wiem jak długo i intensywnie rozpałmiętywał.

Tamtego lata Lilith zdominowała jego życie. Spotykali się na piaszczystych łąkach miejskiego kąpieliska, na boisku „Sokoła” przy siatkówce, na lodach w kawiarni w rynku, w „Studio Fotograficznym Brunona Schneelichta” przy oddawaniu do wywołania filmów, lub oglądaniu próbnych odbitek, i w kinie „Luna” na różnych amerykańskich wyciskaczach łez. Także w wielu innych miejscach i przy wielu innych okazjach. A przecież w jego pamięci dziś była już w oderwanych obrazach tylko, nie na to nie mógł poradzić, prawda: wciąż żywych jeszcze, nieraz sprawiających dotkliwy ból, ale najczęściej nie pasujących do niczego, trudnych do związania z jakimś „przedtem” i jakimś „po-tem”.

Nieraz, usiłując sobie przypomnieć tamto ostatnie przed wojną lato, udawało mu się wydobyć z pamięci jakieś gorące popołudnie niedzielne i Lilith z jej młodszą siostrą w głębi cienistego salonu ich rodziców nad apteką, obie demonstrujące, jak tańczy się shimi (tę płytę Lilith przywozła z tamtego, obcego miasta, wielokrotnie używaną i zdartą; z kim tańczyła przedtem?), a on tkwił przy żardinierze wśród asparagusów, zajmując się podtrzymywaniem działania patefonu i chyba tylko rozmyślał, jak wyciągnąć ją z jej domu; obraz był płynny, mało wyraźny, ale czuł gorączkową, niecierpliwą atmosferę tych chwil. Czasem widział ją w aptece jej ojca, gdzie zachodził pod najbardziej bezcelnymi pretekstami; zawsze to jakaś z ciotek prosiła go, aby jej kupił proszki od bólu głowy, olejek kamforowy, czy walerianowe krople, albo dziadek lub stryj wysyłali go po wodę borną, jodynę, czy bandaże, a niekiedy udawało mu się zastać tam za konrwarem Lilith samą. Albo widział ją idącą ulicą Zofii Chżranowskiej w stronę tenisowego kortu. Była w białej kusej spódniczce, w bluzce białej z niebieskimi przy szyi wypustkami, w tenisówkach na niebieskich skarpetkach na nogach, zapamiętał to dokładnie. I że w prawej ręce trzymała rakiętę w pokrowcu, w lewej zaś płócienną torbę wypchaną jakimiś fatalaszkami kobiecymi, z której wystawał ręcznik frotée, też niebieski. A on właśnie opuścił z kilkoma kolegami bibliotekę przy Kolegiacie. I wściekłe uczucie zazdrości: z kim się umówiła? z kim będzie grać? To zapamiętał również. Aż nagle któryś z nich powiedział: „Ale nóg to ona wcale nie ma żydowskich”. I jaka z tego wynikła okrutna awantura; nogi zresztą miała rzeczywiście szczupłe,

pięknie wytoczone, pewnie najpiękniejsze w całym mieście. Albo jeszcze Lilith przed lustrem w wzniesionymi ramionami (więc to musiało być w jej domu, w jej pokoju pewnie), poprawiającą włosy: w jednej ręce trzymała pulweryzator i rozpylała nim jakiś płyn i zapach, drugą zaś ręką przyglądała niesforne pukiel za uchem, z którego układał się okrągły cygański kolczyk. I zapamiętał też jej śmiech do jego twarzy wylaniającej się w lustrze z tyłu za jej głową, jej śmiech, ciągle coś nowego obiecujący, jednocześnie odpychający, od którego zasychało mu w gardle. Albo jeszcze Lilith przepływającą czałkiem rzekę w jej najszerzym miejscu. Jak podziwiał jej mocną, pewną, precyzyjną pracę rąk i nóg; ale mimo to znosił ją prąd. A potem, jak musiał spory kawałek podbiec do brzegu, gdzie wychodziła z wody. I gdy płaskimi ruchami dłoni zgarniała krople z ramion i twarzy, to mówiła coś do niego z tym swoim zagadkowym, wyzywającym śmiechem, chyba, że niepotrzebnie za nią się wszędzie włóczy i że będzie z tego wielki skandal w ich mieście. A jemu serce biło mocno i nie myślał, ani nie przejmował się tym, co może ktokolwiek sądzić i co może ktokolwiek komukolwiek na ich temat powiedzieć, i tak było najlepiej.

Nieważne, że w listopadzie, gdy z matką powrócił do miasta z niefortunnej ich w kierunku Rumunii ucieczki, to Lilith rej wodziła w miejscowym „Komsomole”. Ani, że jakiś czas nie chciała się z nim w ogóle spotykać, a później tylko dwa albo trzy razy ukradkiem, zupełnie przypadkowo (w każdym razie jej się zdawało, że „przypadkowo”), i jednego razu z przekonaniem, z tą charakterystyczną dla niej pewnością siebie, uparcie patrząc mu w oczy, powiedziała o innych już czasach, które nadeszły i które jeszcze nadejdą, i o tym, że on do tych czasów nie pasuje wcale. Jakby był nikim, pyłem, powietrzem, pustką. I jeszcze, że mu nigdy niczego nie obiecywała; to prawda, że załamującym się głosem, ale co zostało powiedziane, to zostało powiedziane, już nie mogłaby tego cofnąć, choćby nawet chciała. Ani nieważne było wiele innych rzeczy jeszcze, które od niej nagle usłyszał, albo których się o niej nagle gdzieś dowiedział, ani również, jak się to między nimi skończyło. W zimnej udręce, w upokorzeniu, podeptaniu. Kiedy się z nim umówiła, kiedy pozwoliła, jak dawniej, do siebie mu przyjść (a wciąż mieszkała z ojcem i siostrą w tym mieszkaniu nad apteką, choć do mieszkania wprowadziły się dwie inne jeszcze rodziny i apteka należała już do kooperatywy), on zaś wszedł nie dzwoniąc, bo drzwi z klatki schodowej były otwarte, przypuszczając, że to z myślą o nim zostawiła je otwarte, nie przez nieuwagę, i poszedł w kierunku jej pokoju, lecz nim się tam zbliżył, posłyszał jakiegoś głosu z salonu i zawrócił (tam drzwi otwarte były też) i te głosy się zaraz skoncentrowały, stężały, nabrały mocy, zdyszane i szybkie, nie-

wiele tam było słów, i stanął, jak rażony prądem. A potem przez tę szparę w uchyleniu drzwi zobaczył męskie obnażone plecy i zwisające na nie kobiece nogi, które kopały powierze i których nagość i biel, zdawało się, na chwilę poraziły mu wzrok. I jak ślepiec, cicho, na palcach się wycofał i uciekł, i już potem nigdy więcej Lilita nie widział.

Też jeszcze zimy zaczęły się deportacje na wschód. Wcześniej jednak udało się jego całej rodzinie opuścić miasto, przednieść w inne strony, do innego województwa nawet, potem ponad rok się ukrywali, zmieniając trzy razy miejsce zamieszkania i raz wszystkie papiery. Gdy zaś w kilka miesięcy po wybuchu nowej wojny powrócili, to się dowiedział, że wkrótce po wejściu do miasta Niemców aptekarz z córkami został wygarnięty do jednego z transportów odchodzących w kierunku Lwowa; po latach widział fotografie ludzi zaganianych przez Niemców do piaszczystych dołów i tam w głębi rozstrzeliwanych (pochodziły z miejsca kaźni w Janowskich Piaskach), czyż i Lilita spotkał ten los? Myślał nieraz o tym, wciąż z takim samym bólem. O tym zaś, co go spotkało od niej tej pierwszej wojennej zimy jeszcze, nie myślał wiele, później już nigdy, bo nigdy nie zapomniał, co mu wspaniałomyślnie dała, co przed nim najpiękniejszego odkryła.

— Rzadko mówisz mi o moim pradziadku, tato — posłyszał i drgnął, i zdawało mu się, że otworzył oczy, choć cały czas przedtem miał je otwarte, lecz było tak, jakby nie widział ani przelatających za szybą „wołgi” widoków, ani wnętrza samochodu, a nagle widział i to, co widział, wydało mu się przez chwilę nieważne, obojętne i blade w porównaniu z intensywnością wspomnienia. Ale oprzytomniał szybko.

— To prawda, rzadko o nim mówię, nie chcę... — usiłował odsunąć od siebie uwagę syna. — Ale był wspaniałym człowiekiem, możesz mi wierzyć, wspaniałym starym człowiekiem. Bo jak tylko daleko pamięcią sięgnę, to zawsze widzę go starym człowiekiem. Stracił życie w czterdziestym trzecim roku. Był wtedy koło dziewięćdziesiątki, a wprost tryskał energią...

— Jeśli mówisz, że stracił życie, to znaczy: nie zmarł naturalną śmiercią. Czy tak mam to rozumieć, tato?

— Tak, ale nie chciałbym o tym mówić: Pokażę ci jego grób, jeżeli jeszcze istnieje... — powiedział, zabrzmiało to nieszczerze, tym bardziej, że kierowca spojrział nań z ukosa z nagłą uwagą. Ale jakże miał to powiedzieć synowi właśnie teraz? Może kiedyś, pomyślał, później, lepiej w ogóle nie... I zrobiło mu się na całym ciele gorąco. Lecz wbrew temu co myślał, co odpychał w myśli, przypomniał sobie, jak dziadka był znalazł, a wspomnienie nabrało szybko wielkiej wyrazistości i przez chwilę czuł w gardle dławiący ucisk nienawiści, aż się zdumiał, bo wiele lat już czegoś takiego nie doświadczył, i musiał zamknąć oczy,

i zaczerpnął kilka razy otwartymi ustami głęboko w płuca powietrze, słysząc świst swoich przyspieszonych oddechów i zaraz ściszony głos kierowcy, czy może jest mu niedobrze. Ale wtedy to uczucie nienawiści ustąpiło i ucisk na gardle zelżał.

(Dokończenie nastąpi)

Włodzimierz ODOJEWSKI

**KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY VERITAS  
ORAZ KSIĘGARNIA VERITAS W LONDYNIE  
POLECAJĄ SWOJE NOWOŚCI:**

- Beata Obertyńska: GRUDKI KADZIDŁA.* Wiersze religijno-refleksyjne. Fascynująca poezja-modlitwa. Tomik uznany za jedno ze szczytowych osiągnięć autorki. Str. 98. Cena: £ 3.60.
- Ks. Z. Peszkowski: OJCIEC.* Wspomnienie o Stefanie Kardynale Wyszyńskim Prymasie Polski. Unikalne zdjęcia. Str. 224. Cena: £ 7.80.
- Ks. F. Paluszkiewicz SJ: W CIENIU HERMESA.* Bohaterzy Podlasia. Książka opisuje mało znaną historię prześladowań religijnych unitów na Podlasiu. Str. 140. Cena: £ 4.20.
- M. Kałuski: LITWA, 600-LECIE CHRZEŚCIJAŃSTWA.* Zwięzłe opisana historia katolickiej Litwy lat 1387-1987. Str. 100. Cena: £ 5.70.
- A. Wiciak-Suchnicka: DREWNIANE MOTYLE.* Wspomnienia z Homla, Wilna, Brodów, zesłania do Rosji, a następnie oswobodzenia i osiedlenia w Australii. Str. 224. Cena: £ 9.30.
- M. Długołęcki: OSTATNI RAPORT.* Wspomnienia b. oficera polskiego wywiadu we Wrocławiu. Przebieg ważniejszych wydarzeń od lipca do 1 września 1939. Ilustracje, oprawa płócienna. Str. 174. Cena: £ 6.90.
- St. Babiński, opr.: KAZIMIERZ SOSNKOWSKI.* Myśli — praca — walka. Przyczynek do monografii oraz uzupełnienia do Materiałów Historycznych Kazimierza Sosnkowskiego. Ilustracje. Str. 564. Cena: £ 22.00.

Wszystkie książki do nabycia w księgarniach polskich  
w świecie oraz w

**Księgarni KOW Veritas, 63, Jeddo Road,  
London W12 9EE, England  
Telefon: 01-749-4957**

Na żądanie posyłamy bezpłatnie nasz najnowszy katalog obejmujący  
40 lat naszego istnienia — 1947-1987.

## Wiersze

Maciej NIEMIEC

★ ★

*Tak bardzo nieokreślone:  
znów, na tym zakręcie  
ciemności, ulicy, myśli —  
nic z tego nie będzie.  
Ostatni przyjazny  
dom — daleko iskra ostra  
pomiędzy gałęzmi,  
światło, jasne okna.  
Z życia nic? Coraz mniej  
obcy szept niechcianej wieży:  
oślepnąć, by ujrzeć,  
wyrzec się życia, by przeżyć.  
Kończy się ślepo myśl,  
ten wiersz, ta noc, w każdą stronę  
otwarte nic — życie:  
tak bardzo nieokreślone.*

15/16 marca 1988

### ZNÓW PŁOMIEŃ TYLKO

*Znów płomień tylko  
bliski,  
nieoddzielny  
ze mną.*



Bieda i alkohol  
to dobre paliwo. Przed świtem  
biało, nieziemsko  
żarzy się papieros.  
Tylko po to tracić  
by zachować brak,  
albo odnajdywać  
by nakarmić nicość.  
Cóż z tego, że nie ma  
ani dokąd wrócić  
ani gdzie wyjechać;  
a zostać tu — po co?  
Inne, inaczej  
niepotrzebnej duszy  
oczy, co zawsze  
gubią się po chwili,  
i piękne ulice —  
nic do powiedzenia.

Znów płomień tylko  
śpiewa,  
zimny  
pożar nocy.  
Być winnym samemu.  
Nieszczęsna ojczyzna,  
zmyślenia, a nawet  
więzienia  
żywej sekundy  
przywrócić nie mogą. O świecie  
dzień nuci w duecie  
pogodzony z nocą.  
Rano miasto uderza  
w swój wszechstronny instrument,  
w którym struna radości  
głośna jak rozpacz.  
Jaką zakryć maską  
i zachwyty, i obojętność?  
Ogniu, ucieczko,  
która łączysz światy.  
Znów płomień tylko  
bliski,  
nieoddzielny  
ze mną

Luty 1988

Maciej NIEMIEC

Andrzej TITKOW

ZAPIS  
Z DWUDZIESTEGO PIĄTEGO MAJA  
1986 ROKU

*Dziesięć lat temu  
umarła moja Babcia.  
Urodziła się sto lat temu  
i przeżyła cztery wojny,  
w tym dwie światowe,  
a także trzy albo cztery rewolucje.*

*Nie wziąłem jej pod ramię  
i nie poszliśmy do odległego  
o kilkaset kroków od jej domu teatru,  
gdzie grali właśnie  
„Trzy siostry” Czechowa.*

*Ona — jedna z trzech siostr  
żałowała niezmiennie,  
że Tuzenbach zginie w idiotycznym pojedynku,  
że Wierszynin odjedzie ze swym garnizonem na zachód  
i że siostry nie pojedą do Moskwy,  
przez którą ponoć przecięgnięto sznur.*

*Gdy umierała,  
w nieistniejącym mieście Zgorzelcu  
robiłem kolejny niepotrzebny film  
i na ten film próbowałem poderwać  
młodą dziewczynę,  
której jedynym bogiem  
był kawałek papieru  
z podobizną amerykańskiego prezydenta.*

*Umierając  
chyba myślała o mnie  
i może nawet wiedziała,  
że wezmę ją jednak pod ramię  
i razem pójdziemy do tego teatru  
gdzie zawsze grają „Trzy siostry”.*

Andrzej TITKOW

## Archiwum polityczne

### Po odwiedzinach przyjaciela

Miała to być wizyta przełomowa. Obserwatorzy oczekiwali ważnych oświadczeń, przede wszystkim odkłamania przynajmniej części fałszerstw historycznych. Nic takiego nie nastąpiło. W porównaniu z wizytą Gorbaczowa w Jugosławii, gdzie zasada suwerenności została wyraźnie podkreślona, nastąpił regres. Brak potępienia dla stalinowskiej polityki w stosunku do Polski oznacza jej zatwierdzenie. Gorbaczow bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że Polska leży w granicach imperium, zaś Jaruzelski na posiedzeniu Układu Warszawskiego postawił kropkę nad „i”, mówiąc o internacjonalizmie, jedności celów i dążeń marksistowsko-leninowskich partii i fundamentalnej zbieżności interesów.

I właśnie Jaruzelski otrzymał od Gorbaczowa poparcie, jakiego w historii nie uzyskał żaden przywódca komunistyczny. Nie należy się temu specjalnie dziwić. I sekretarz KC KPZS przybył do kraju „Solidarności”, a więc do kraju, który stworzył ruch będący, do czasu wydarzeń w Armenii, największym zagrożeniem wewnętrznym dla całego systemu. „Solidarność” była i jest całkowitym zaprzeczeniem ideologii marksistowsko-leninowskiej. Dlatego przy wszystkich przeobrażeniach, które następują dziś w Związku Sowieckim — a są to przeobrażenia głębokie i daleko idące — stosunek do „Solidarności” pozostaje niezmienny. Zarówno dla reformatorów jak i dla konserwatystów na Kremlu „Solidarność” pozostaje czarną owcą obozu. Wizja Gorbaczowa jest identyczna z wizją Breżniewa i Jaruzelskiego.

Poparcie Jaruzelskiego pokazuje, że podstawowy kanon kremłowski w polityce z państwami bloku nie uległ zmianie. Od 1943 roku, od zerwania stosunków z legalnym rządem polskim z powodu „prowokacji katyńskiej”, żelazną zasadą przywódców sowieckich było przekonanie, że jedynym gwarantem realizacji sowieckich interesów w Polsce są komuniści. To tłumaczy, przynajmniej częściowo, dlaczego słowo Katyń nie zostało wypowiedziane przez sowieckiego przywódcę.

Jaruzelski przyjął z wdzięcznością poparcie z Moskwy. Może odetchnąć z ulgą. *Pieriestrojka* i *glasnost* przestają być dla niego bezpośrednim zagrożeniem. Do czasów Gorbaczowa władza w Polsce zawsze miała oparcie w postaci I sekretarza na Kremlu, patrzącego niechętnie na wszelkie ideologiczne czy ekonomiczne nowinki oraz w postaci czołgów sowieckich, pod osłoną których ekipa generalska wprowadziła stan wojenny. Obecnie popiera go przywódca reformatorów. Na dzisiaj oznacza to umocnienie pozycji obecnej ekipy.

Komuniści polscy jeszcze raz pokazali, że bliższy im jest ich własny interes niż żywotne sprawy narodu. Jedyne na co zdobył się Jaruzelski to wymienienie bez inwektyw nazwiska Józefa Piłsudskiego i delikatna krytyka polityki sowieckiej podczas wojny 1920 roku, połączona zresztą z tradycyjnym atakiem na politykę polską w tym samym czasie. Nie wspominał nawet o zmniejszeniu obciążenia Polski produkcją zbrojeniową, co w dobie odprężenia i rozbrojenia wydawałoby się rzeczą oczywistą. Strach przed samodzielnością jest dla władzy w Polsce dokładnym odbiciem jej strachu przed społeczeństwem.

Z pobytu Gorbaczowa w Polsce nie pozostanie ani jedno jego wystąpienie. Pozostanie natomiast wrażenie pustosławia, jak chociażby z przemówienia na Zamku, gdzie kilkadziesiąt zdań wypowiedzianych do intelektualistów było tak doskonale bez treści, że na żadnym z nich nie dało się zatrzymać uwagi.

Pozostaną też w pamięci żałosne umizgi komentatorów, szczególnie tych z TV. Ci, którzy wczoraj sławili Breżniewa, dziś nie są w stanie przeprowadzić żadnej analizy i ślinią się na sam dźwięk nazwiska nowego sowieckiego przywódcy. Jak najszybciej chciałoby się zapomnieć nieszczęsną farsę na Wawelu. Widowiskiem żałosnym było również, oczekiwane z dużym zainteresowaniem, spotkanie z polskimi intelektualistami. Gorbaczow tam właśnie zachował się jak hegemon naszego kraju i większość zebranych uznała to w pełni. Nieliczne nieco odważniejsze głosy, jak księdza Krąpca, Marcina Króla, czy — co należy zauważyć z pewnym zdziwieniem — Artura Sandauera, to zbyt mało, by zlikwidować wrażenie niesmaku jakie pozostawili Przymanowski, Rychlewski, Żukrowski i ich koledzy, by zapomnieć ten spektakl służalczości i lizusostwa. Nieprzypadkowo zresztą Gorbaczow w ogóle nie zauważył w swoim podsumowaniu kwestii poruszonej przez ks. Krąpca i Marcina Króla — istotnej dla Polski roli doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw bloku w dzisiejszym świecie, podobnie jak nie zauważył kąśliwej uwagi Sandauera o leninizmie jako ideologii współczesności. Polscy intelektualiści udowodnili, że na zawołanie potrafią dostosować swój styl do nowych czasów i mówić dokładnie tak, jak się od nich oczekuje, próbując przy okazji, jak Przymanowski, załatwić swój mały handlowy interes. Janusz Kuczyński zaś, odkrywając głęboką myśl filozoficzną w wystąpieniach I sekretarzy, przywołał, być może nieświadomie, czasy koryfeusza wszech czasów i nauk — Józefa Stalina.

Wszyscy oni, o ile w Moskwie nastąpi odwrót, niewątpliwie

potępiać będą Gorbaczowa z tą samą siłą, z jaką dziś go sławia. Tutaj nic nie drgnęło — ten sam nastrój, ta sama atmosfera, ci sami ludzie.

Zakończyła się carska wizyta w Kraju Priwisłańskim. Gorbaczow dowiódł, że jest władcą światłym i łagodnym, uśmiechnął się do swych podwładnych i obiecał im wiele swobód i szeroką autonomię. Nakreślił jednak wyraźnie granice samodzielności. I chyba dobrze się stało. Dziś już bez żadnych wątpliwości wiadomo, że na żadne dary ze Wschodu oczekiwać nie wolno. Będą mieli tylko to, co sami wezmą i wypracują. Niewątpliwie epoka Gorbaczowa, czas przemian w ZSSR i w całym obozie, stwarza tu wyjątkowo korzystną koniunkturę. Jest to jednak sprawa rzeczywistych wysiłków i konkretnych działań, a nie wiary w dobre chęci I sekretarza KC KPZS.

Jan LITYŃSKI

## Trzeba zmuszać komunistów do mówienia prawdy

Myślę że niepotrzebnie się oburzamy, gdy komuniści mówią prawdę. Gdy kilka lat temu Urban powiedział, że rząd się „zawsze wyżywi”, wywołało to falę oburzenia, że powiedział to tak cynicznie i nie obwijając w bawełnę. Oburzano się również, choć mniej, na Mieczysława Rakowskiego, gdy oświadczył, że czołgi sowieckie dały nam władzę nad Polską i „nigdy się jej nie wyrzeczemy”. Nie było to zupełnie ścisłe, bo przyjdzie chwila, że będą musieli się wynieść, ale też nie o to chodziło. Tylko że taki bezczelny i mówi na głos to, o czym wszyscy wiedzą. Otóż gdy komuniści mówią prawdę — co im się zresztą niezmiernie rzadko zdarza — powinniśmy ich za to pochwalić. A my ich ganimy, tak jak byśmy lubili być oszukiwani. A przecież kłamstwo to jeden z najskuteczniejszych, poza terrorem, instrumentów panowania komunizmu. Bez kłamstwa imperium sowieckie nie przetrwałoby pół roku. Zwłaszcza w początkach swego istnienia. Bo teraz jest trochę inaczej. Przyznają się powoli do tego, co i tak jest powszechnie znane, ale czynią to wybiórczo. O niektórych zbrodniach nie mówią wcale. O innych mówią półgębkiem. Śmieszne nazywać to „białymi plamami”, bo te białe plamy zajmują pewno 9/10 dziejów Sowietów.

Sowiety trzeba zmuszać do mówienia prawdy. Właśnie dlatego, że prawda rozsadza ich system. Tak samo jak trzeba było

domagać się wolnych związków, bo chociaż niektórym inicjatorom tych żądań mogło się wydawać, że wolne związki i komunizm mogą ze sobą współegzystować, wiemy że realia były inne. Komuniści będą starali się wykić ćwierćprawdami albo zastąpić jedne kłamstwa innymi. Mimo to należy domagać się — między wieloma innymi — prawdy o Katyniu. Powiedzenie całej prawdy wraz z genealogią zbrodni jest dla Sowieców niemożliwe. Ale nawet odciążenie od odpowiedzialności za ten mord hitlerowców byłoby dla Sowieców wysoce kłopotliwe. Gdyby do ujawnienia częściowej prawdy doszło teraz, wysunięto by tysiące pytań. Szukano by odpowiedzialnych i choć na pewno zwalono by odpowiedzialność na Berię i innych nieboszczyków, jeszcze by i paru żywych się znalazło. Bo poza tymi, którzy 48 lat temu wydali rozkaz egzekucji, znalazłoby się tysiące takich, którzy przez lata starali się ukryć odpowiedzialność Sowieców. Niektórzy z nich żyją i nawet są całkiem niestarzy. Komunistów należy zawsze atakować za mówienie okruczeństwa prawdy, bo o ile kłamstwo bywa najczęściej jednoznaczne, częśćka prawdy stwarza skuteczną zasłonę dymną. *Głasność* — to właśnie zmiana scenarii i wprowadzenie nowych rekwizytów, pozorujących prawdę. Przykładem pakt Mołotow - Ribbentrop, o którym jakiś ważny sowiecki generał napisał w *Czerwonej Gwieździe*, że nie posiadał się z oburzenia, gdy uświadomił sobie, że Stalin zawarł przymierze z Hitlerem, przy czym o tajnym protokole ferującym podział Polski ważny generał ani nie wspominał. Czas na oburzenie się podziałem Polski dokonany wspólnie z hitlerowcami jeszcze widocznie nie nadszedł. Ale przecież nie chodziło bynajmniej tylko o alians z Hitlerem i faszystami. Samo przymierze z nazistami, z pominięciem owego tajnego protokołu, nie było na pewno szczególnie ciemną plamą w historii Sowieców. W przymierzu z Hitlerem była również Finlandia, do której nikt na świecie nie ma żadnej szczególnej o to pretensji, a która nigdy nie była w stanie wojny z zachodnimi aliantami i której to na dobre wyszło, bo została tylko „sfinlandyzowana”, a nie zsovietyzowana jak reszta Europy Wschodniej. Lanie, które Finlandia w roku 1940 spuściła Sowiecom, wyszło jej na zdrowie i potwierdziło starą prawdę o tym, jaki argument trafia Sowiecom najbardziej do przekonania.

Katyni, który budzi wśród Polaków najcięższy gniew i jest niezagojoną raną, nie był prawdopodobnie w dziejach Sowieców najcięższą zbrodnią. Wymordowanie kulaków, śmiertelne żniwo na Ukrainie budzić może zapewne większą grozę. Ale Katyni w dziejach sowieckiego terroru był zbrodnią szczególną, bezprecedensową. W ciągu ostatniego stulecia nie było wypadku dokonanego na zimno masowego mordu na jeńcach wojennych. Świadome wygładzanie jeńców sowieckich przez Wehrmacht różniło się też od metodycznych egzekucji w Katyniu, Ostaszkowie i Ko-

zielsku. Wielu sowieckich jeńców przeżyło niemiecką niewolę i trafiło do gułagów po wojnie za karę za to, że byli jeńcami. Prawdy o sowieckim terrorze i sowieckich zbrodniach ani obecna, ani żadna inna władza działająca w tym systemie nie będzie w stanie nigdy ujawnić, ponieważ terror ten nie stanowił w istocie wypaczenia systemu. Był koniecznością pewnego okresu, po to by zbudować państwo sowieckie z jego przyszlą potęgą, które nie dałoby się stworzyć żadnymi innymi metodami. Żeby ujawnić źródło terroru, trzeba by ukazać światu immanentne zło systemu, a głównie jego całkowitą gospodarczą nieudolność, czego żadna sowiecka władza nie uczyni. I tu ważna jest rzecz, skądinąd powszechnie znana, że system sowiecki poczęty został w wyniku zastosowania doktryny. Choć jego 70-letni rozwój zdeterminowany był wieloma czynnikami najzupełniej pragmatycznymi, będącymi wedle prawowitnych marksistów wypaczeniem doktryny (był właśnie dlatego pragmatyczny, że doktryna nie była w swojej teoretycznej wersji stosowalna) nie złągodziło to zbrodniczości samego zjawiska. Odwrotnie. Zaostrzyło. Pierwszy raz w dziejach ludzkości rozwój gospodarczy postępował nie w wyniku bodźców samoczynnych, ale na skutek decyzji władzy administracyjnej zespolonej z ośrodkami politycznymi. Bodźce samoczynne — w przytłaczającej większości wypadków ekonomiczne — zastąpione zostały systemem presji politycznych, administracyjnych, dyscyplinarnych i policyjnych, które możemy roboczo określić mianem „bodźców socjalistycznych”. Oczywiście w periodycznie powracających okresach liberalizacji, a w szczególności obecnie, wpuszcza się regulowany strumień bodźców ekonomicznych i gospodarki wolnorynkowej. Ponieważ jednak władza ma charakter wszechobejmujący, zasada komunistycznego państwa i przewodniej roli partii pozostaje nienaruszona. Zasadę tę potwierdza Gorbaczow i choć ideologia komunistyczna stanowi coraz widoczniejszy dla komunistów u władzy ciężar, martwa doktryna i wytworzony w drodze wieloletniej ewolucji system pozostają nadal kluczem do władzy. Gdyby można było wskoczyć w inną doktrynę dla ratowania władzy, KPZS na pewno by to uczyniła. Ale kluczem do władzy jest tylko ten a nie inny system z masą jego upadłości. Nie można go wymienić na inny — ani partii na inny instrument władzy — bo właśnie ta a nie inna jest siłą kierowniczą państwa. Można ją tylko nazywać rozmaicie i kto wie czy to nie nastąpi, ale służyć będzie tylko temu samemu celowi.

Czy Gorbaczow jest w pełni świadomy wielkiego manewru, który ma ustawić Sowiety wobec kapitalistycznego świata w pozycji bez porównania dogodniejszej niż dotychczas? Czy też manewruje w granicach określonych interesami partii i biurokracji, by uczynić archaiczny system bardziej żywotnym? Ocena *periestrojki* nie należy do tematu. Tematem jest *glasnost'*, a w szcze-

gólności to, czego Gorbaczow i jego frakcja nie mogą ujawnić i nigdy nie ujawnią. Nie mogą ujawnić ważnej i konstruktywnej roli, jaką dla budowy państwa sowieckiego spełniał terror. Tu *glasnost* zamknięta jest na cztery spusty. A prawda jest taka, że terror spełniał podwójną rolę w budowie komunistycznego imperium. Pierwszy rodzaj terroru służył ogólnemu zastraszeniu społeczeństwa, po to by trwał w absolutnym posłuchu i służalczości, co manifestowało się w latach trzydziestych nie tylko powszechnymi aresztami i zsyłkami, ale i nagminnymi donosami. Drugim celem masowego terroru był rozwój socjalistycznej gospodarki. Terroryzowanie społeczeństwa a przez nie dostarczanie wielomilionowej siły roboczej całkowicie ze sobą harmonizowało. Jedno i drugie było nieodzownym warunkiem budowania gospodarki socjalistycznej w okresie pierwszych pięciolatek. Zesłani do obozów kułacy i ci mieszkańcy miast, których zsyłało NKWD, stanowili siłę roboczą eksploatowaną znacznie bezwzględniej od niewolników. Właściciel niewolnika starał się jak najdłużej zachować swą własność w stanie użytku. Sowiety ze swymi wielomilionowymi rezerwami mogły sobie pozwolić na fantazyjną rozrzutność. Redukowanie w tym wypadku racji żywnościowych przy niewykonywaniu norm było — z punktu widzenia sowieckiego — jedynie słuszną polityką kadrową. Człowiek był mierzwą, na której wznoszono wielkie budowy komunizmu i innej drogi do tego nie było. Jeśli by Gorbaczow potępił metody kolektywizacji jako haniebne i niehumanitarne — nie można by mu odmówić racji. Jeśli by jednak uznał je za błąd stalinowskich metod rządzenia — byłoby to kłamstwo, ponieważ poza wyzuciem chłopów rosyjskich i ukraińskich z ziemi i zesłaniem ich do obozów pracy, nie było innej drogi do budowania socjalizmu, ani na wsi, ani w mieście. Zaś kolektywizacji Gorbaczow nie potępi i nie przyzna, że kołchozowa gospodarka, tak jak nie mogła wyżywić sowieckiej ludności 60 lat temu, tak samo nie może i teraz. Gdyby to przyznał, nie pozostałoby mu nic innego jak rozwiązać kołchozy. To co było możliwe w Polsce po kilku latach bzdury i bezhołwia, gdzie chłopci nigdy nie byli „przypisani ziemi”, jest niemożliwe do przeprowadzenia w Sowietach, gdzie chłopom nie wolno opuszczać kołchozów, bo po ich rozwiązaniu rozjechałby się po całym kraju. Wprowadziłoby to eks-kołchoźników w nastrój do tego stopnia święteczny, że postawiłoby imperium w obliczu katastrofy i rozpadu. Dlatego prawda o budowie sowieckiego socjalizmu nigdy nie będzie dobrowolnie ujawniona. Można tylko obłudnie potępiać metody, wiedząc doskonale, że bez nich nie powstałoby wielkie i potężne państwo. Za system muszą ponosić winę jego wykonawcy, ale tylko niektórzy, zawsze tak wybrani, żeby uchronić od odpowiedzialności najwyższych zwierzchników.



Czyż nie jest niesamowitym paradoksem, że ogłoszony na XX Zjeździe „tajny raport” Chruszczowa, którego autor nazywał zbrodnie komunizmu „błędami” i „wypaczeniami”, a źródła ich dopatrywał się w „kulcie jednostki”, ogłoszony został w prasie partyjnej dopiero ostatnio, tj. po 32 latach? Chruszczow zasadniczo zliberalizował ustrój sowiecki. Usunął barbarzyński terror, który w późnych latach 50-tych byłby już tylko obciążeniem systemu, ale prawdy powiedzieć nie mógł. Musiał tłumaczyć sowiecki terror naiwnymi kłamstwami, które 30 lat temu zaakceptowała przyzwyczajona do posłuchu duża część ludności sowieckiego imperium.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 3 sierpnia 1988

## KULTURA I JEJ KRĄG

Les amis de Kultura, Paryż, 1988, str. 203.

Pierwsza historia Instytutu Literackiego  
i przedstawienie jego dorobku: katalog-album  
z okazji wystawy Czterdziestolecia

Zawiera:

- biogramy twórców Instytutu Literackiego, jego czołowych współpracowników i autorów;
- 10 szkiców o historii Instytutu Literackiego, jego działalności wydawniczej, wkładzie do literatury polskiej i światowej, stanowisku wobec najważniejszych problemów życia narodowego, związkach z krajem;
- 120 ilustracji, w tym wiele nieznanych fotografii i dokumentów;
- pełny spis autorów „KULTURY”.

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich oraz  
na zamówienie w Instytucie Literackim.

Nakład ograniczony.

Cena 380 F.

## Wywiady «Kultury»

### Nie tylko hasło

ROZMOWA Z MIROŚLAWEM JASIŃSKIM,  
PRZEDSTAWICIELEM  
SOLIDARNOSCI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ.

WIEŚLAW SZUKALSKI: — *Jesteś przedstawicielem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Co kryje się pod tą nazwą?*

MIROŚLAW JASIŃSKI: — Jest to grupa działania na rzecz porozumienia między ruchami opozycyjnymi w Polsce i Czechosłowacji. Nie reprezentujemy żadnego kierunku politycznego, tzn. nie jesteśmy związani z żadną partią, z żadną orientacją ideologiczną. Generalnie rzecz biorąc, naszym celem jest udzielanie pomocy przy nawiązywaniu kontaktów pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami opozycyjnymi w Polsce i CSRS. Chcemy w ten sposób stworzyć warunki, w których możliwy, a nawet łatwy byłby autentyczny, nieskrępowany kuratelą państwa dialog przedstawicieli naszych społeczeństw. W skład Solidarności Polsko-Czechosłowackiej wchodzi osoby z obu krajów — z Pragi, Brna, Wrocławia i Warszawy.

W.SZ.: — *Czy oznacza to, że ograniczacie się do pełnienia funkcji czysto technicznych? Jesteście czymś na kształt agencji oferującej pośrednictwo?*

M.J.: — To też, ale nie tylko. Przede wszystkim zależy nam na „przebicciu się” z tematyką czechosłowacką do szerszych grup społeczeństwa polskiego, głównie poprzez prasę niezależną. W tym celu zaczęliśmy wydawać *Biuletyn Informacyjny*, który ma być rodzajem serwisu, agencji prasowej, z której redakcje mogą czerpać informacje na temat sytuacji u naszych południowych sąsiadów. Nakład tego wydawnictwa jest stosunkowo niewielki (kilkaset egzemplarzy), jednakże w zupełności wystarcza na obsłużenie istniejących czasopism. Część dociera także do znanych

przedstawiciele polskiej polityki niezależnej, do środowisk opiniotwórczych. Oprócz wiadomości *Biuletyn* zawiera również omówienia czechosłowackich publikacji drugiego obiegu. Zainteresowanym redakcjom i wydawnictwom oferujemy polskie przekłady poszczególnych artykułów czy książek. Sami rozpoczęliśmy druk kolekcji czechosłowackiej literatury niezależnej. Pierwszą, opublikowaną już, pozycją jest powieść Hrabala „Obstugiwałem angielskiego króla” — bodajże najlepszy utwór tego pisarza. Mówię oczywiście tylko o tym, co robi nasza grupa w Polsce — Czesi i Słowacy prowadzą analogiczną działalność adresowaną do własnego społeczeństwa.

**W.SZ.:** — *Skąd w ogóle wziął się pomysł Solidarności Polsko-Czechosłowackiej? Kto rzucił hasło?*

**M.J.:** — Inicjatywa wyszła w 1981 roku ze strony czechosłowackiej. Do Polski przyjechali przedstawiciele Karty 77, którzy przynieśli ze sobą propozycje współpracy między „Solidarnością” a ruchem obrony praw człowieka w CSRS. Umowa taka została zawarta, ustalono, że w Polsce sprawy będzie pilotował region Dolny Śląsk, a imiennie — Aleksander Gleichgewicht. Wówczas mówiliśmy jeszcze o Solidarności Polsko-Czeskiej, Słowacy dołączyli do naszego grona stosunkowo niedawno.

Do praktycznej realizacji pomysłu niestety nie doszło. Wiadomo: 13 grudnia, internowania (zamknięto także Olka Gleichgewichta, który był równocześnie szefem naszego „Radia Solidarność”), kompletna rozsyпка struktur itd. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim wszystko to ponownie stanęło na nogi. Tu kończy się prehistoria Solidarności Polsko-Czechosłowackiej.

Historia zaś zaczyna się w marcu 1982 roku. Wtedy to zgłosił się do mnie kurier Karty. Wiedział, że jestem zaprzyjaźniony z Olkiem, wiedział, że interesuję się niezależną kulturą Czechosłowacji, więc skontaktował się ze mną po przyjeździe do Wrocławia. Ponownie nawiązaliśmy kontakty i wróciliśmy do pomysłu Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Początkowo nasza działalność była bardzo skromna. Ludzie w Polsce zajęci byli sprawami z własnego podwórka, w Czechosłowacji Karta przeżywała kryzys spowodowany niezwykle ostrymi represjami (m.in. procesem VONS-u), większość aktywnych jej członków siedziała w więzieniach. Działaliśmy wówczas w pełnej konspiracji, m.in. ze względu na bezpieczeństwo kuriera. W gruncie rzeczy cała nasza aktywność ograniczała się do przekazywania informacji o tym, co dzieje się w Polsce. Czesi rewanżowali się nam bardzo ciekawymi i ważnymi materiałami zawierającymi ich ocenę rozwoju wydarzeń w PRL. Otrzymywaliśmy analizy konfrontujące proces tzw. „normalizacji” w CSRS po 1968 roku z polskim — „odrodzeniem narodowym” po 13 grudnia 1981, przy czym — rzecz to niezwykle cenna — Czesi starannie i fachowo porównywali treść husakowskiego i WRON-owego ustawodawstwa. Sygnalizowali też grożące nam niebezpieczeństwa — na przykład w okresie, kiedy władze rozważały pomysł wywiezienia z kraju części internowa-

nych (chwalić Boga, nie doszło do tego), Czesi przesłali nam informację o obozie pracy położonym w CSRS, który mógłby wchodzić w rachubę. Nazwy miejscowości nie pamiętam, leży gdzieś w północnych Czechach, na wzgórzach ponad kopalniami uranu. Popularnie nazywa się ją „czeski Alcatraz”. Dostaliśmy relację z przebiegu wizyty Jaruzelskiego w Czechosłowacji w roku 1982. Wtedy to — jak donieśli nasi przyjaciele z Karty 77 — zawarto umowę, iż pisarze czechosłowaccy zakazani w swej ojczyźnie, nie będą też publikowani w Polsce, a ich książki zostaną stopniowo wycofane z bibliotek. Dostaliśmy nawet pełną listę nazwisk — są wśród nich twórcy tak wybitni, jak Kundera, Klima czy Skvorecki. Wszystko to działo się w roku 1982.

Później pośredniczyliśmy m.in. w zbieraniu podpisów pod wspólnym oświadczeniem sygnatariuszy Karty 77 i członków dawnego KOR-u. Czeski tekst tego dokumentu wydrukowaliśmy w Polsce i cały nakład został przzerzucony przez granicę.

Wcześniej już myśleliśmy o regularnych przerzutach bibuły, lecz początkowo sprawa niezbyt się kleiła. Podstawową przeszkodą był brak pieniędzy — w końcu za coś musieliśmy kupować te stosy drogiej na ogół książek i czasopism, nie mówiąc już o kosztach samego transportu. Sytuacja poprawiła się nieco w 1986 roku, kiedy dostaliśmy od wrocławskiego RKS-u trochę pieniędzy na naszą działalność. Uruchomiliśmy więc sieć przerzutową na dużą skalę. W ciągu tych dwu lat 1986-1987 przekazaliśmy Czechom — bo ja wiem? — pół tony, tonę wydawnictw.

Okres ścisłej konspiracji skończył się na przełomie lat 1986-1987, kiedy w Czechosłowacji aresztowano współpracującego z nami Petra Pospichala. Dalsze konspirowanie nie miałoby sensu — władze i tak wiedziały, że istniejemy i działamy. Poza tym Petr siedział w więzieniu i należało pokazać, że Solidarność Polsko-Czechosłowacka to nie tylko nazwa, że słowo „solidarność” zobowiązuje. Wystąpiliśmy więc w obronie Petra, który początkowo oskarżony był z paragrafu grożącego dziesięcioma latami więzienia. W Podkowie Leśnej odprawiono mszę w jego intencji i podpisano petycję, a 16 kwietnia (dzień jego 27-ych urodzin) we Wrocławiu odbyła się demonstracja i zbieranie podpisów pod taką samą petycją (część podpisów przepadła, bowiem zatrzymano kilka osób z listami). Tuż potem Pospichalowi złagodiono oskarżenie, a następnie zwolniono go, co — zwłaszcza dla Czechów — było ogromnym zaskoczeniem.

Na szczęście w naszej dotychczasowej działalności stosunkowo niewiele było takich groźnych, czy groźnie się zapowiadających momentów. Znacznie częściej zdarzały się sytuacje wręcz humorystyczne. Na przykład w 1987 roku wydaliśmy znaczek z okazji dziesięciolecia Karty 77, stanowiący imitację oficjalnych znaczków pocztowych „Pošta Československo”. Rzecz niby drobna, ale władze CSRS, skutecznie kontynuujące tradycje urzędów c-k monarchii, postarały się o godną oprawę propagandową. Urzędem pocztowym nakazano wyłapywać listy opatrzone takim znaczkiem. Rozesłano okólnik ministra łączności zawierający fotokopię naszego produktu, tak więc wszyscy, nawet ludzie zupeł-

nie nieorientowani, mogli się dowiedzieć, że taki druk istnieje, ba, mogli go obejrzyć.

*W.SZ.: — A jakie są wasze plany na przyszłość?*

*M.J.: — Oczywiście chcemy kontynuować to, co robiliśmy do tej pory. Przede wszystkim pragniemy podtrzymać wymianę informacji i materiałów. Mamy też kilka pomysłów większego kalibru, ale za wcześnie jest, by je ujawniać. (Być może zresztą część z nich „wypali”, zanim ta rozmowa zostanie opublikowana). Natomiast inicjatywą, którą już teraz mogę zdradzić, jest akcja patronatu nad więźniami sumienia w CSRS. W kolejnym numerze *Biuletynu Informacyjnego* opublikujemy otrzymaną z Pragi pełną listę uwięzionych. Instytucje niezależne, redakcje oraz osoby prywatne będą mogły zgłaszać się do nas z informacją, którego więźnia otaczają swą opieką. Uznaliśmy, że z przyczyn praktycznych potrzebna jest tu jakaś forma koordynacji. Mogłoby się bowiem zdarzyć tak, że osobami z początku listy (układ będzie alfabetyczny) zajęłoby się po kilku patronów, zaś innymi nikt. Chcielibyśmy, by każdy z czechosłowackich więźniów sumienia znalazł się pod opieką.*

*W.SZ.: — Na czym ma ona polegać?*

*M.J.: — Przede wszystkim chodzi o wsparcie moralne, o okazanie uwięzionym (a także tym, którzy ich więżą) naszej solidarności, np. poprzez występowanie w ich obronie do władz CSRS i PRL, do polskiej, a nawet światowej opinii publicznej. Natomiast rodzinom represjonowanych należy pomóc materialnie. Pragniemy, by żony, dzieci czy też rodzice więźniów sumienia objętych patronatem otrzymywali z Polski paczki z najpotrzebniejszymi im artykułami. Sądzę, że tego typu przedsięwzięcie udowodni, iż solidarność społeczeństw bloku sowieckiego to nie tylko pięknie brzmiące hasło pojawiające się w wydawanych od wielkiego dzwonu deklaracjach. Możliwa jest konkretna działalność, w której my i nasi sąsiedzi wystąpimy wspólnie pomimo bariery, jaką stanowią granice państwowe.*

*W.SZ.: — Jak na razie, bariera ta okazała się nadzwyczaj skuteczna w jednej przynajmniej dziedzinie — w sferze przepływu informacji. Funkcjonuje o wiele sprawniej niż zlikwidowane niedawno zagłuszarki. W gruncie rzeczy wiedza o tym, co dzieje się za linią Tatr, Beskidów i Sudetów jest w Polsce minimalna. Stanowicie pod tym względem wyjątek czy wręcz swego rodzaju elitę: otrzymujecie wiadomości z pierwszej ręki. I choć staracie się wiadomości te upowszechniać, to jednak do opinii publicznej dociera jedynie skromna ich część. Prasa niezależna publikuje news'y — tu kogoś zamknęli, tam kogoś pobili, ktoś coś podpisał itp. Brak ogólnego obrazu sytuacji, brak opracowań przeglądowych i analitycznych. Skorzystajmy więc z okazji: powiedz, jak przedstawia się sytuacja w Czechosłowacji w roku 1988?*

M.J.: — Po dwóch-trzech latach kryzysu Karta 77 nabrała nowej dynamiki. Ludzie odsiedzieli wyroki i w latach 1983-1984 wyszli na wolność. Obecnie widać znaczną aktywizację opozycji oraz wzrost jej sprawności organizacyjnej i technicznej — postępy widać z miesiąca na miesiąc.

Ogólnie rzecz biorąc, w Czechosłowacji występują trzy nurty niezależnej aktywności społeczeństwa: opozycja demokratyczna o bardzo różnych orientacjach politycznych, skupiona w Karcie 77 i wokół Karty. Po drugie wielki nurt *underground'u*. Jest to ruch posthippisowski, który w Czechosłowacji zachował świeżość. W porównaniu z polską kontrkulturą jest on o wiele bardziej upolityczniony, co zresztą jest wynikiem działania władz, tępiących wszelkie przejawy odmienności. I wreszcie, po trzecie, niezależny ruch religijny, najsilniejszy oczywiście w Słowacji, lecz znaczący także na Morawach. Tu warto wspomnieć, że jednym z pierwszych inicjatorów Solidarności Polsko-Czechosłowackiej po tamtej stronie był przedstawiciel właśnie tego trzeciego nurtu — ks. Vaclav Malý. Oczywiście podział ten jest umowny, trudno o jednoznaczne rozgraniczenie, gdyż w wielu wypadkach przedstawiciele jednego z nurtów są jednocześnie działaczami czy sympatykami innych (np. ks. Malý jest sygnatariuszem Karty 77).

W.SZ.: — *Wspomniałeś o postępach w niezależnej aktywności społeczeństwa CSRS. Co to oznacza?*

M.J.: — Namacalnym przejawem tego zjawiska jest gwałtowny rozkwit niezależnego ruchu wydawniczego. W roku 1982 regularnie wychodziło tylko jedno czasopismo, *Infoch* („*Informace o Charte 77*”) przepisywany na maszynie w ok. dwudziestu egzemplarzach, a następnie spontanicznie kopiowany przez czytelników. (Wydawcy szacują, że liczba osób powielających w ten sposób *Infoch* sięgała tysiąca). Obecnie pism niezależnych jest w Czechosłowacji bardzo dużo — samych literackich ok. dziesięciu. I nie są to już klasyczne samizdaty, lecz publikacje drukowane — na offsetach, na sitach, na powielaczach biątkowych. Tak więc widać zarówno postęp ilościowy, jak i jakościowy.

Innym — kto wie, czy nie bardziej znamionym — przejawem przemian jest stopniowe odradzanie się więzi społecznych. Rzecznicy Karty 77 otrzymują coraz więcej listów i informacji nadsyłanych przez obywateli. Ludzie niezaangażowani dotychczas w jakąkolwiek działalność opozycyjną zaczęli najwyraźniej dostrzegać w Karcie 77 instancję, która może jakieś sprawy załatwić, może udzielić pomocy, wsparcia. Sam widziałem listy, w których nie tylko pojedynczy obywatele, ale wręcz całe środowiska zwracały się do Karty 77 o zajęcie stanowiska w jakiejś sprawie. Rzecznikom Karty przekazuje się materiały, opracowania, analizy z prośbą o wykorzystanie ich. Nadawcy zastrzegają sobie anonimowość, ale ważne jest to, że takie kontakty zostały nawiązane.

Czechów z początku roku 1988 różni od tych samych Czechów z początku roku 1977 brak złudzeń co do wpływu *pieriestrojki* na władze praskie. Początkowo, do wizyty Gorbaczowa w Czecho-

słowacji, Czesi wiązali olbrzymie nadzieje ze zmianami u Wielkiego Brata. Liczyli, że Gorbaczow wpłynie na kierownictwo czechosłowackie. Po wżycie sowieckiego przywódcy w Pradze nadzieje te runęły i — co ważniejsze — radykalnie zmieniły się opinie obywateli CSRS na temat reżimu husakowskiego. Husak pod koniec swego panowania nie mógł już puszcząć do społeczeństwa oka, że „wicie, rozumiecie, ja to bym chciał dobrze, ale Rosjanie nie pozwolą”. Gorbaczow, odcinając się niejako od polityki władz CSRS, zrzucił na nie pełną odpowiedzialność za to, co dzieje się w kraju.

A dzieje się niedobrze. Oczywiście porównując gospodarczą sytuację Czechosłowacji z peerelowskim kataklizmem można by odnieść wrażenie, że jeszcze nie jest najgorzej, że jeszcze jakoś się to kręci. Tyle że Czesi i Słowacy porównują się nie z Polską, a raczej szukają punktu odniesienia w Czechosłowacji okresu przedwojennego. U nas tego typu konfrontacji z upodobaniem dokonuje oficjalna propaganda — proszę, ile to osiągnęliśmy, odbudowaliśmy Warszawę, mamy Nową Hutę, produkujemy traktory itd. W Czechosłowacji jest to temat drażliwy, bo przecież kraj ten znajdował się w okresie międzywojennym w czołówce europejskiej. Teraz zaś — no cóż, wiadomo...

Rzecz jasna, owa negatywna legitymacja systemu (oparta na tezie, że nie ma dlań żadnej sensownej alternatywy, że może być tylko gorzej) nigdy nie stała się przedmiotem otwartych wystąpień, nigdy nie mówiono tego wprost. Niemniej jednak starano się zaszczepić, zasugerować społeczeństwu taki sposób rozumowania. Teraz to się skończyło.

W.S.Z.: — *Pojawienie się Solidarności Polsko-Czechosłowackiej dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem. Od paru już lat coraz wyraźniej zarysowuje się w polskiej opozycji nurt opowiadający się za współdziałaniem społeczeństw bloku wschodniego. Pisma poświęcone tematyce „obozowej” mnożą się jak grzyby po deszczu, nie mówiąc już o zalewie książek oraz artykułów i informacji w prasie o profilu ogólnym czy związkowym. Sprawa wisiła w powietrzu. Dojrzała. Nie pomylę się chyba, jeśli stwierdzę, iż powstanie waszego ugrupowania było odpowiedzią na swego rodzaju zapotrzebowanie społeczne, i to zapotrzebowanie zgłaszane nie tylko przez działaczy opozycji i podziemia. Wszak i w obiegu oficjalnym pojawiło się ostatnio sporo książek i artykułów poświęconych np. problematyce ukraińskiej czy litewskiej. Różne to były publikacje — od całkiem uczciwych i rzetelnych (niektóre z tego właśnie powodu nie ujrzały światła dziennego, a trafiły do szuflad cenzorów) aż po żenujące brednie w rodzaju „rozpraw” osławionego Edwarda Prusa (np. „Herosi tryzuba”). Być może nawet te ostatnie są bardziej znamienne — dowodzą bowiem, że władze na serio zaniepokoiły się wzrostem społecznego zainteresowania sąsiadami i postanowiły „dać odpór”.*

*Tu jednak pojawia się pewien istotny, jak sądzę, problem. Nie tylko władze są zaniepokojone tym nurtem, nazwijmy go umownie „środkowoeuropejskim”, w polskiej myśli politycznej.*

Z równym zapalem, choć z całkiem innych przyczyn i przy użyciu uczciwych metod, przeciwstawiają mu się pewne (mówię „pewne”, bo nie wiem, jak liczne) środowiska w samej opozycji. Neoendecka Polityka Polska, piórem badajże Wiernego, stwierdziła wprost: jeśli chcemy uzyskać od Moskwy koncesje polityczne, jeśli chcemy wybić się w ramach imperium na jaką-taką autonomię, to nie możemy podważać podstaw panowania Sowietów. W tym ujęciu — sądzę, że charakterystycznym dla całej prawicy narodowo-katolickiej — współpraca z sąsiadami jest po prostu szkodliwa z punktu widzenia interesów narodu polskiego. Podejrzewam, że pogląd ten podzielają przedstawiciele wszystkich orientacji „realistycznych” (rzecz jasna, i ten termin jest umowny), sądzący, iż „konfrontacyjny mesjanizm” zmniejsza szanse na dialog opozycji z władzą.

Ponure brednie oficjalnych propagandystów i teksty typu „Herosów tryzuba” można zbyć machnięciem ręki. Dyskusji nie wyimagają też chyba tezy wypowiedziane przez fanatyków z nacjonalistycznego ciemnogrodu w rodzaju ideologów grupy skupionej w warszawskim kościele na Zagórnej. Owszem, tu niebezpieczeństwo wydaje się większe, lecz polemika z autorami wydawanych tam broszur jest o tyle bezcelowa, że i tak nie zmienią oni swych poglądów. Jednakże zarzuty, powiedzmy, Polityki Polskiej czy „realistycznie myślących” doradców Wałęsy mają inny ciężar gatunkowy. Trzeba podjąć z nimi merytoryczną dyskusję. Czy próbowaliście to robić, zakładając Solidarność Polsko-Czeskosłowacką?

M.J.: — Szczerze mówiąc, nie. Powodem braku takiej dyskusji nie był jednak brak argumentów czy wręcz brak jakiegokolwiek refleksji o charakterze programowym.

Wszyscy uczestnicy Solidarność Polsko-Czeskosłowackiej reprezentują nurt środkowoeuropejski, otwarty na kraje ościenne. To oczywiście wynik naturalnej selekcji, a nie przypadku. Ci, którzy byli przeciwni naszym koncepcjom, po prostu nie przyłączyli się do nas. W łonie naszej grupy dyskusja na temat podstawowych wartości była zbędna. Różnimy się w poglądach na temat poszczególnych kwestii technicznych, na temat pomysłów działania, lecz w sferze programowej nie ma żadnych rozbieżności. Wyczuwa się to intuicyjnie. Zresztą nie tylko intuicyjnie — my się po prostu dobrze znamy. Nie ma więc potrzeby mówienia o tym, co dla każdego z nas jest oczywiste. Ale, rzecz jasna, jest to tylko połowa problemu. Druga, istotniejsza połowa to kwestia dyskusji z tymi, którzy sprzeciwiają się naszym koncepcjom. Ich rozumowanie jest mniej więcej takie: nie dogadujemy się z sąsiadami, bo to rozżłości Moskwę. Przywódcy Kremla poczują się zagrożeni i nie tylko nie zgodzą się na żadne koncesje, ale wręcz „przykręcą nam śrubę”. Sądzę, że z punktu widzenia logiki wywód ten jest wewnętrznie sprzeczny. Przecież wszystkie dotychczasowe ustępstwa, jakie w tym czy innym kraju bloku sowieckiego udało się wywalczyć, są właśnie wynikiem presji społeczeństw. Społeczeństwa potulne, baczące, by przypadkiem



nie naruszyć interesów Moskwy i miejscowych partii komunistycznych, nie potrzebują żadnych ustępstw. Wszak godzą się z własnym losem. Same sobie nakładają knebel i same sobie są strażnikami. Po cóż więc cokolwiek zmieniać, skoro wszystko gra?

Poza tym współpraca i utrzymywanie kontaktów z sąsiadami są naszym prawem ludzkim, którego nikt nie może nas pozbawić. Właściwie w tym miejscu kończy się wszelka dyskusja. Niewątpliwe prawo każdego człowieka i każdego społeczeństwa do swobodnego wyboru partnerów i sojuszników przeciwstawione jest dość wątpliwemu interesowi politycznemu. Sądzę, że przy takiej alternatywie wybór może być tylko jeden i my go dokonaliśmy.

*Rozmowę przeprowadził w styczniu 1988*

*Wiesław SZUKALSKI*

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.  
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •  
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA  
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE  
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ  
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili  
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej  
Wyspie Świętego Ludwika.

### Młody Wrocław

Wrocław jest inny. Wrocławowi przypisywane są cechy niemal metafizyczne. Starsi mieszkańcy miasta twierdzą, że to dlatego, iż każdy z nich przyjechał tu niegdyś z innego krańca Rzeczypospolitej, że to efekt piorunującej mieszanki lwowsko-wileńskowarszawskiej.

Choć na prowincji, nigdy prowincją nie był; Wrocław miał zawsze dobry teatr, niezłe gazety i lokalne czasopisma o ogólnokrajowej sławie. Teraz to wszystko jakby przygasło, lecz miasto dorobiło się nowej jakości — stało się, obok Gdańska, symbolem niezależnego społeczeństwa. Symbolem bardzo żywym, bowiem we Wrocławiu istnieje niesformalizowany, lecz autentyczny ruch młodzieżowy, wyjęty spod państwowego patronatu. Niejednolity, nie zawsze zgodny, lecz większy, liczniejszy niż w innych miastach Polski.

*Zuzanna (uczestniczka WiP-u, członkini PPS):* „Myślę, że polska młodzież jest bardziej europejska, niż kiedykolwiek wcześniej. Być może wynika to z szerokiego zasięgu subkultur, ze swoistej przynależności do międzynarodowej wspólnoty rówieśników. Dzięki temu następuje emancypacja młodzieży względem starszych generacji. U nas tak się złożyło, że emancypacja poszła jakby kroczek dalej — Wrocławiem mniej więcej od dwóch lat władają młodziki. Do głosu doszło nowe pokolenie, które nie uczestniczyło w sierpniowych przemianach. Lecz prawdopodobnie nigdy by się tak nie stało, gdyby nie rozsądek liderów wrocławskiej „Solidarności”. Zwyczajnie dostrzegli, że prócz nich ktoś jeszcze chce coś zrobić i ma coś do powiedzenia”.

Wrocławska ulica różni się od innych polskich ulic. Dewastacja wielu staromiejskich zaułków jest wielokrotnie większa, niż po-

ziom zrujnowania śpiących się kamieniczek krakowskich, w obrotach których podniósł się słuszny krzyk na cały kraj. Chyba dba się tylko o te domy, które sportretowano na pocztówkach — już następny budynek przeżarty jest pleśnią i zgnilizną. Gdy idziesz uliczkami wrocławskiej Starówki, nie boisz się spadających dachówek, lecz bardziej przeraża cię wizja utonięcia w brudnej, błotno-ceglanej mazi.

A jednak wrocławska ulica jest barwna. Może dlatego, że młodzież lubi przemawiać na murach. Więc obok drzwi pustawego sklepu wymalowany rysunek z hasłem: „Uwaga sklep — grozi konformizmem!”. Przy następnym to samo. Przy kolejnym również. Rysunki i napisy są tego samego kroju; ścienni pacykarze-artyści posługiwali się szablonem.

Albo inny obrazek. Angielskie słowo *free*, znak dodawania, a za nim rysunek sympatycznego domku z kominem, znak równości i rozwiązanie działania — słowo *freedom*. Czy kolejny szablon: długonoga panienka spleciona w erotycznym uścisku z równie długonogim ptakiem. I obowiązkowy dopisek: „Wschód uczy spokojnej kontemplacji absurdu”. Zobaczyć też można wieloręką postać, dzierżącą sierp i młot, pokazującą „zajaczkę”, ścisnącą krzyż obok butelki z wódką. Tak wygląda obrazek zatytułowany *Red culture*. Inne rysunki są nie mniej pomysłowe, narzucają przechodniom różne skojarzenia, zmuszają do głębszej refleksji.

We Wrocławiu są takie miejsca, gdzie pochodzące od szablonów rysunki tworzą całe galerie. Uliczna plastyka żyje bardzo długo: Po co zamalowywać szablony, kiedy wiadomo, że na łatach szarej farby natychmiast pojawią się nowe, albo odręczny rysunek Krasnoludka czy zakreślona kółkiem litera „A” z kwiatkiem — znaki Pomarańczowej Alternatywy. Zaś z Pomarańczową Alternatywą do tej pory nikt nie wygrał, choć również nikt nie przegrał. Ruch jest dla wszystkich, podobnie jak organizowane przezeń uliczne *happening*’i — kolejny wrocławski fenomen. Zwykle są po to, by w ponurym mieście można się było bawić.

*Robert (Pomarańczowa Alternatywa, komisarz PPR):* „Pomysł z szablonami jest dlatego tak barwny i różnorodny, iż realizuje go kilka znajdujących się, lecz niezależnych od siebie grup. Podobnie z *happening*’ami. W działaniach ulicznych skupia się aktywność Ruchu Nowej Kultury, Pomarańczowej Alternatywy, PPR-u i wszystkich innych, którzy mają na to ochotę”.

Pomarańczowa Alternatywa była pierwotnie tytułem pisma, wydawanego przez studencki Ruch Nowej Kultury, powstały w 1981 roku. Wtedy też Major — najbardziej znana postać Alternatywy, do niedawna główny twórca, reżyser i scenograf ulicznych zabaw — zaczął propagować surrealizm socjalistyczny, nowy kie-

runek w sztuce i działaniach paraartystycznych, swoiste antidotum na śmiertelną powagę polskich opinii o realnym socjalizmie. Bo czyż nie jest surrealizmem zniknięcie milicjantów zamalowywujących strajkowe plakaty późną jesienią 1981 roku, kiedy stojący wokół nich studenci śpiewają „Sto lat” i „Międzynarodówkę”?

A później wybuchł stan wojenny i wraz z nim powstała Wojskowa Akademia Artystyczna — twór, rzecz jasna, konspiracyjny, objęty militarną dyscypliną, z rozkazami i meldunkami, o socjalistyczno-surrealistycznej strukturze. Z tego też czasu datują się pierwsze krasnoludki malowane na murach, w miejscach, gdzie wcześniej widniały symbole „Solidarności”. Krasnoludki szybko stały się znakiem rozpoznawczym Wrocławia, a niekiedy lubiły powędrować do innych miast. Wówczas również na wrocławskich ulicach można było dostrzec nieśmiałe próby *happening’ów*, działań jednoosobowych, zamierzonych na niewielką skalę. Szok stanu wojennego i potencjalne choćby represje, związane z uczestnictwem w niezależnej zabawie, były zbyt wielkie, by do Pomarańczowej Alternatywy przyciągnąć przechodniów.

We wrześniu 1986 roku władze zadekretowały szeroką amnestię, poprzedzoną akcją „ujawniania” nielegalnych struktur. Wojskowa Akademia Artystyczna oparła się „humanitarnym” działaniom SB, lecz jej działacze — podobnie jak aktywiści innych niezależnych związków — stanęli przed koniecznością zmiany formuły; od pełnej konspiracji (nawet w żartobliwej konwencji) do przebijania się ku jawności. Jednak struktura Akademii po dzień dzisiejszy nie została ujawniona — skoro cała rzecz obracała się wokół *happening’owej* kpiny, styl trzeba zachować do końca. W miejsce Akademii weszły uliczne zabawy.

*Krzysiek (Pomarańczowa Alternatywa, komisarz PPR do spraw propagandy):* „Zasięg i powodzenie *happening’ów* nie zależy wyłącznie od nas. Zabawa musi wciągnąć przechodniów, przechodzić w zwyczajnych ludzi. Tak było, dla przykładu, z Miłkołajami; jeżeli liczyć czas trwania *happening’u* do momentu, aż zgarnięto ostatniego z aktorów, to było tego ze 20 minut. A przechodnie przeciągnęli zabawę o ponad godzinę. Gdy w 1986 roku zrobiliśmy *happening* z tubami, praktycznie nikt z widzów nie zareagował. Pełne powodzenie przyniosły dopiero krasnoludki. W tym *happening’u* uczestniczyło około 3 tysiące osób”.

Nic dziwnego. Pierwszego czerwca 1987 roku, w Dzień Dziecka, najobojetniejsi z obojętnych przechodniów musieli zareagować, gdy na główną ulicę Wrocławia, Świdnicką, wyległo kilkadziesiąt krasnoludków. Skrzaty nosiły czerwone czapeczki, śpiewały: „My jesteśmy krasnoludki”, skandowały: „Nie ma

wolności bez krasnoludków”, co dziwnie pokrywało się z intencją okrzyków „So-li-dar-ność, So-li-dar-ność”. Całe zdarzenie przypadło do gustu wielu przechodniom, siłą rzeczy uczestniczącym w *happening*’u, zaś zdecydowanie mniej milicji, która zaczęła krasnoludki wsadzać do radiowozów. Reakcja zebranych była bardzo jednoznaczna. Nikt nie uciekał, nie wytworzyła się panika. Ludzie bronili krasnoludków, matki tłumaczyły spłakanim dzieciom, że w socjalizmie skrzaty żyć nie mogą, a gdy w milicyjnej nysce zniknął ogromny, pluszowy miś w czarnych okularach, tłum zaczął skandować: „Zamknąć Misia Puchatka”.

Wrocław polubił *happening*’i, a Świdnicka stała się — zdaniem Majora — miejscem, gdzie ludzie noszą czerwone czapeczki, bo chcą być wolni, lub niebieskie czapeczki, w zamian za ucieczkę od wolności ku wątpliwej jakości przywilejom.

Po „Krasnoludkach w PRL” *happening*’i posypały się jak z rozwiązanego worka. Zaprotestowano „przeciwko letnim u-paom”, a gdy pogoda zeszała na psy, zażądano gorącego słońca. W Dzień Milicjanta młodzież rozdawała funkcjonariuszom kwiaty i z kwiatów układała na Świdnickiej napisy „MO”. Przy święcie Wojska Polskiego zorganizowano manewry „Melon w majonezie”, strzelano z plastikowych karabinków, fingowano atak na zomowski kordon. Dwa razy rozdawano przechodniom papier toaletowy. W rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej Pomarańczowa Alternatywa odstąpiła od *happening*’owej formuły, organizując całkowicie poważną demonstrację antywojenną i antyfaszystowską. Choć niesione transparenty treścią nie odbiegały od oficjalnie głoszonych haseł, uczestnicy manifestacji, równie szybko jak przy poprzednich okazjach, powędrowali do radiowozów.

Właściwie wszystkie wymienione *happening*’i — wyłączając może „Melon w majonezie” — były jednoosobowym dziełem Majora, realizacją jego pomysłów na pełne urzeczywistnienie surrealizmu socjalistycznego. Gdy jednak zbliżała się rocznica Rewolucji Październikowej, okazało się, iż data jest zbyt poważna, by jej obchody mógł wymyślić tylko jeden umysł. Scenariusz *happening*’u został wypracowany kolektywnie przez grupę, która przyjęła nazwę Rady Komisarzy Ludowych.

*Kadafi (uczestnik szczecińskiego WiP-u, członek PPS):* „Ludzi należy hamować. Sam się przekonasz, kiedy zaczniesz myśleć nad scenariuszami *happening*’ów, że innego wyjścia nie ma. Co chwila rodzi się nowy pomysł, bardziej zwariowany, z większą dozą surrealizmu od poprzednich. Sama zabawa w wymyślanie tak wciąga, że nie można się od niej oderwać. I bardzo dobrze, że w pewnym momencie ludzie muszą iść do domów — inaczej, kto wie, co by się urodziło. Taka sytuacja zaistniała przy planowaniu obchodów Rewolucji Październikowej. Ktoś wymyślił, że

jeśli Rewolucja, to koniecznie musi być obecny jej zwiastun, pancernik 'Potiomkin'. Inny dodał krążownik 'Aurorę', jeszcze inny marynarzy z Kronsztadu. Jeśli jest reprezentacja rewolucyjnej floty, to musi być i konnica Budionnego i oddziały piechoty, złożone z miejskiego proletariatu i biedoty wiejskiej. Rocznicę rewolucji postanowiliśmy świętować w przeddzień oficjalnych obchodów, więc jeżeli uznajemy wigilię, to przecież nie może obyć się bez kolędników, gwiazdy — tym razem czerwonej — i anioła; oczywiście Anioła Rewolucji. Finałem *happening*'u miała być wspólna kolacja w pobliskim do Świdnickiej barze 'Barbara', przemianowanym na Pałac Zimowy, przy czerwonym barszczu, bo i potrawa i kolor jak najbardziej stosowne do wigilii takiego święta".

O obchodach ku czci rewolucji poinformowały wrocławian ulotki, zachęcające przechodniów do eksponowania w ubiorze czerwonych akcentów. Planowano zorganizowanie wystawy psów rasowych i nierasowych, odznaczonych obowiązkową czerwoną kokardą przy obroży, pod hasłem „Psy na rzecz Rewolucji”.

W 1987 roku Świdnicka oglądała jeszcze *happening* z okazji referendum i grudniową zabawę, czyli „Święty Mikołaj nadzieją reformy”. Wszystkie w znakomitej atmosferze, przy pełnej współpracy z widzami-przechodniami, a także „współpracy” z milicją, bowiem powołana przez Radę Komisarzy Ludowych Mikołajowa Służba Wewnętrzna pomagała łądować Mikołajów i Śnieżynki do radiowozów.

*Kadafi:* „Najpiękniejsze *happening*'i robi milicja, szczególnie wtedy, gdy „morduje” Mikołajów, Śnieżynki, czerwonoarmistów. Bez nich byłaby tylko połowa zabawy”.

Czym jest uliczna zabawa? Są tacy, którzy twierdzą, iż *happening*'i to niepoważne, szczeniackie wygłupy, ujmujące powagi prawdziwej niezależnej działalności. Inni znów podkreślają polityczny charakter zabawy, kładąc główny nacisk na uczestnictwo w *happening*'ach czołówki wrocławskiej „Solidarności”. Z pierwszą opinią w ogóle nie warto dyskutować; w jednej z publicznych wypowiedzi Major stwierdził, iż podobny sposób myślenia, to nic innego, jak myślenie komunistyczne. Druga wersja również mija się z prawdą, gdyż uliczna zabawa jest po prostu uliczną zabawą, zaś polityczny kontekst, udział Frasyniuka czy Piniora, to sprawy o drugorzędnym, marginesowym znaczeniu. *Happening* ma przełamywać obowiązujące normy. Są to normy narzucane przez państwo, ale też narzucane przez opozycję.

*Zuzanna:* „Bez śmiechu i dystansu do samego siebie nic się nie robi. Zadymy Pomarańczowej Alternatywy dają luz, komfort psychiczny, odprężenie. Pozwalają ludziom uniknąć opozy-

cyjnego kanału i tej śmiertelnej powagi, która prowadzi wprost do utraty kontaktu z rzeczywistością i samouwielbienia. Nagle świętujemy rocznicę Rewolucji Październikowej. Jest czerwono, przechodnie skandują 'Re-wo-lu-cja, re-wo-lu-cja', pływa 'Auro-ra'. Okazuje się, że można się z takich rzeczy śmiać. Bez płaczu, biadolenia, że straszne nieszczęście, że okrucieństwo. Zróbmy sobie jaja z Jałty. Pośmiejmy się, a nie — tak jak zwykle — na poważnie, czyli jakieś analizy, syntezy, rozważania, co by było gdyby, drętwe oświadczenia. Zwyczajnie olejmy, wykpijmy, uwolnijmy się z kompleksu. Pokażmy, że Jałta jest właśnie tego warta, że nie czujemy się upokorzeni, upodleni”.

Znacznie ważniejsze jest pytanie o cel działań Pomarańczowej Alternatywy.

*Major (za Tygodnikiem Mazowsze):* „Zadaniem, jakie sam sobie postawiłem, jest przewycięzanie różnych własnych słabości i pomoc w przewycięzaniu ich u innych. Szczególnie lęku przed milicją — żeby tego koszmaru, tego snu, jaki wywołał stan wojenny, pozbywało się coraz więcej ludzi. Nie chodzi o zmiany polityczne, ale o zmiany w psychice — one mogą później wywołać jakieś skutki”.

*Ruda (członkini PPS):* „Happening'i integrują. Jeszcze na początku popularności Pomarańczowej Alternatywy widziało się ciągle te same twarze. Teraz starzy zostali i ciągle przybywają nowi — na bankietach, po zakończeniu każdej zadamy, nie znam połowy ludzi. Zapewne dla wielu młodych jest to sposób na wejście w opozycję, złapanie kontaktu z niezależną działalnością. Bo schemat wygląda tak: wspólnie opracowujemy *happening*, wspólnie kombinujemy potrzebne akcesoria, wspólnie się bawimy, a z ulicy dołączają się widzowie. Później wspólna, kilkugodzinna odsiadka, wspólny bankiet w akademiku, gdzie już wykluwają się nowe pomysły i kółko się zamyka”.

*Kadafi:* „Dziewczyny z akademika pomagały nam przygotowywać 'Aurorę'. W wigilię Rewolucji policja biła, więc moja załoga wymyśliła, że dziewczyny będą tylko pomagać w szyciu kostiumów. Uszyły nam stroje Mikołajów, a za chwilę wyciągają przebranie Śnieżynek, bo one też chcą iść. I nie było sposobu, by je zatrzymać, choć przed paroma miesiącami niektóre bały się samego słowa 'opozycja'”.

*Zuzanna:* „Happening'i pomagają ulicy, zwykłym ludziom. Przecież w tłumie przechodniów każdy czuje się anonimowy, czasem się boi, nie wie, czy inni myślą, chcą tak samo, jak on. Aż nagle okazuje się, że można się razem bawić, śmiać, więc

można również robić coś innego. Przechodnie przyzwyczajają się do atmosfery wrocławskich ulic. Trudno teraz nawet wyobrazić sobie, że zadyma WiP-u czy innej opozycyjnej firmy spotka się z obojętnością, chłodnym przyjęciem. To również w jakimś stopniu zasługa Pomarańczowej Alternatywy. Siedziałam raz na komendzie ze starszą panią; zgarniętą z ulicy podczas *happening'u* 'Wrocław miastem stu(dwustu)procentowej frekwencji' w dzień referendum. Panią tę zamknięto, gdyż broniła jakiegoś uczestnika zabawy. Przeszła na Świdnicką, bo zobaczyła w kościele ulotkę, informującą o *happening'u*, a wcześniej coś niecoś słyszała. Myślałam, że starsi ludzie nie rozumieją Pomarańczowej Alternatywy. Okazuje się jednak, że nie istnieje barieta w rozumieniu, bardziej zaś bariera możliwości uczestnictwa. Trudno wymagać by ktoś w słusznym wieku biegał po ulicy przebrany za urnę".

Pomarańczowa Alternatywa wyznaje kpinę konsekwentną, również kpinę ze środowisk opozycyjnych. Kiedy w listopadzie '87 reaktywowano w Warszawie Polską Partię Socjalistyczną, wystarczyło kilka dni, by Wrocław odpowiedział PPR-em, sugerując konieczność rychłego zjazdu zjednoczeniowego. Na murach wykwitły napisy: „PPR atrakcja, PPS reakcja”. Co symptomatyczne — wrocławscy sympatycy i członkowie PPS-u nie mają zła Majorowi i spółce żartu z PPR-em.

*Zuzanna:* „PPR nie dyskredytuje PPS-u, nie wyśmiewa jego założycieli, członków, deklaracji programowej. Zresztą cenna, potrzebna inicjatywa obroni się sama. O odrobina ironicznych przyczeków z pewnością jej nie zaszkodzi, może nawet doda nieco rejdamy. Ja również mogę malować prześmiewcze hasła o wyższości PPR-u nad PPS-em. Choćby po to, by ludzie mieli dobrą zabawę, oglądając stróżów porządku zamalowujących napisy 'PPR walczy'”.

Jeżeli kpina ma być prawdziwie konsekwentna, wówczas nie może oszczędzać również swoich twórców. Pomarańczowa Alternatywa bawi się autoironią, czym jest nie tylko uliczny *happening*, ale również *happening* wewnątrz ruchu: Trybunał Rewolucyjny.

*Kadafi:* „Kiedy postanowiliśmy uczcić rewolucję, zostałem mianowany komisarzem 'Aurory'. Rozbieżności w łonie dowództwa krążownika — chcieliśmy realizować w tym samym momencie różne wersje dotyczące kierunku żeglugi — spowodowały, że szybko zostaliśmy „zatopieni” przez milicję. Za nieprecyzyjne wykonywanie rozkazów na polu bitwy idzie się pod sąd. Stałem się więc pierwszym oskarżonym w rewolucyjnym procesie. Ale udało mi się „zwalić” odpowiedzialność za niepowodzenie naszych manewrów na innych. Bo nawałiła nie tylko 'Aurora', ale na przykład facet z konnicy Budionnego porzucił broń i konia pod-



czas odwrotu, co na wojnie jest straszliwym przestępstwem. I w końcu nikt nie wiedział, kto jest winny całemu zamieszaniu. Może ja, może Major, może dezertor od Budionnego, może biorący udział w *happening*'u i obecny na rozprawie Józef Pinior, a może dzielnicowy Golicz — najślynniejszy dzielnicowy w całym Wrocławiu — czy wreszcie podziemna organizacja, działająca wśród milicjantów z komisariatu na Łąkowej, gdzie lądujemy po każdej zabawie. Najśmieszniejsze, że SB ma to wszystko nagrane, gdyż Trybunał obradował w mieszkaniu Piniora, a tam wszystkie ściany mają uszy. Dla nich również to musiał być niezły bal”.

Milicja ma swój osobny udział w każdym *happening*'u. Gdyby nie interwencje, akcje Pomarańczowej Alternatywy nie nabrałyby takiego rozgłosu. Zresztą — zdaniem działaczy ruchu — milicji należą się również ciepłe słowa. Ganiają po ulicy, czego wcale nie chcą (fragment zasłyszanej rozmowy: „W Legnicy miałem spokój, a tu codziennie na Świdnicką”), czasem biją, ale z reguły nie wiedzą, jak się zachować w stosunku do młodych ludzi wręczających im kwiaty, czy zbierający krasniali, ubranych w czerwone czapeczki.

*Krzysiek:* „Policja jest już prawie nasza. Jeżeli policjant wychodzący z komendy mówi do swojego kolegi, że idzie uprawiać sztukę dialektyczną, to go nasze pomysły też w jakimś sensie musiały ruszyć”.

*Ruda:* „Gdy nas zamykają, to jeszcze nie znaczy, że skończył się *happening*. Na komendzie ludzie śmieją się, żartują, raz prosili milicjantów do tańca. Zniknął strach. Milicja nie dziwi się naszemu zachowaniu. Nie dziwi się, że przestaliśmy się bać. Bo i sankcje są właściwie żadne. Kilka godzin w komisariacie i do domu”.

*Zuzanna:* „Od rewolucji władze zaczęły dostrzegać Pomarańczową Alternatywę jako organizację opozycyjną. Wiedzą, że coś jest inaczej, śmieszniej, ale *happening*'i są 'społecznie niebezpieczne', więc trzeba je tępić. Jeżdżą za aktywistami Pomarańczowej Alternatywy, nowych ludzi straszą, pewnie kiedyś posypią się kolegia. Ale na pograniczu między nami a policją coś się zaczyna dziać. Nie zamierzam tego przeceniać, lecz muszę zauważyć, choćby dla własnego komfortu. Takie rozmiękczenie nie jest możliwe w przypadku innych firm, na przykład WiP-u. Kiedyś przestuchuje mnie SB-ek, a do pokoju wchodzi jego kolega. Co, znów papier rozdawali? — mówi. — Nie, tym razem chodziło o wojsko. — Cholera, 30 osób zatrzymali, myślałem, że chociaż rolę sobie uskładam. Pewnie, że jak mu każą, to mnie uderzy. Ale z włas-

nej woli chyba nie. Przynajmniej do tej pory coś takiego się nie zdarzyło”.

Dlaczego Pomarańczowa Alternatywa jest tak ważna w mozaice wrocławskich ugrupowań niezależnych? Bo jest to jedyna grupa, która jednocy; otwarta na wszystko i dostępna dla wszystkich. W ruchu nie liczy się przynależność organizacyjna i światopogląd, lecz pomysł i chęć jego realizacji. Od niedawna trafiają się tam nawet członkowie PZPR.

*Zuzanna:* „Przed zadymą wszyscy studenci wychodzą z mojego instytutu. Nie dlatego, że są w opozycji. A może właśnie są? Sama nie wiem”.

Pomarańczowa Alternatywa omija różnice między poszczególnymi strukturami. W Radzie Komisarzy Ludowych — „najbardziej demokratycznym ciele w PRL” — siedzą obok siebie i łagodnie współpracują członkowie „Solidarności Walczącej”, RKW, PPS, Międzyszkolnego Komitetu Oporu, uczestnicy WiP-u, „bezparyjni”. Nikt nikomu nie przypina etykiet — co zresztą jest bardzo trudne z racji na wielość powiązań organizacyjnych — nie wypływają na wierzch polityczne animozje czy wzajemne niechęci. Dopiero poza Pomarańczową Alternatywą ruch młodzieżowy ulega podziałom.

*Robert:* „Choć pomysły *happening*’ów są nasze, to przy ich organizowaniu spotykają się ludzie ze wszystkich wrocławskich struktur, a także ci, których polityka mało obchodzi, bo wolą żart albo sztukę. Fajnie jest, że większość uczestników doskonale rozumie, iż Alternatywa to zabawa, zaś politykę można robić sobie gdzie indziej”.

*Zuzanna:* „We Wrocławiu silny jest WiP — duża grupa ludzi, połączonych jakby wspólnotowymi więzami. To chyba jeden z najlepszych ośrodków w Polsce. Jest sympatycznie, bez podjazdowych wojen, wygrywania nazwisk, traktowania ruchu jako odskoczni do większej, politycznej kariery”.

Bardzo dobrze funkcjonuje środowisko skupione wokół tak zwanej „Dwunastki”, grupy dawnych działaczy samorządów uczelnianych. „Dwunastka” też robi *happening*’i — publicznie wystartowała wcześniej niż Pomarańczowa Alternatywa. Zorganizowali w 1987 roku rajd na Słężę w rocznicę Marca '68, a także zadymę w *prima aprilis*, na Placu Uniwersyteckim. Zajęto wtedy rektorat Uniwersytetu, mianowano własnych szefów uczelni, których portrety wywieszono na budynku, zarządzono czyn społeczny — czyszczenie murów szczoteczkami do zębów. Zabawę zepsuła milicja.

Znakomite są duszpasterstwa akademickie, silne typowo orga-

nicznikowską pracą i potencjałem intelektualnym. W konspiracji żyją NZS-y, sprawne w drukowaniu i sypaniu ulotek. Komitety założycielskie NSZZ „Solidarność” też w gruncie rzeczy robi młodzież. A przecież na uczelniach i w zakładach pracy ludzi trudniej zmobilizować do codziennej niemal aktywności, bo prawie każdy ma na głowie własne problemy — dom, rodzina, zakupy, dzieci.

*Kadafi:* „Chciałbym, żeby powstało coś w guście szerokiego ruchu młodych, firmy otwartej dla punków, socjalistów, anarchistów, wipowców, wszystkich chętnych. W końcu chodzi nam w zasadzie o to samo, więc na jakiejś płaszczyźnie można i warto się spotkać. I żeby nikogo nie wciągano za uszy do polityki; niech każdy robi, co chce. Może trzeba zacząć od Wrocławia, gdzie prawie każde młodzieżowe środowisko może popisać się własną aktywnością?”

We wrocławskim ruchu młodzieżowym kolejnym fenomenem jest Międzyszkolny Komitet Oporu, organizacja działająca w większości szkół średnich wszystkich typów. MKO nie ma odpowiednika w innych regionach kraju. Wprawdzie w większych miastach istnieją w szkołach średnich koła samokształceniowe, kolportuje się niekiedy prasę niezależną, tworzy międzyszkolne unie w rodzaju Federacji Młodzieży Walczącej, niemniej nigdzie podobne działania nie nabrały takiego rozmachu. Inicjatywy MKO spotykają się z pozytywnym odzewem wśród znakomitej większości uczniów. Dość przypomnieć, iż przed laty Komitet wezwał młodzież do bojkotu zajęć szkolnych w „pracujące” soboty i bojkot ten powiódł się niemal w stu procentach — w soboty sale szkolne świeciły pustkami.

*Zuzanna:* „Gdy MKO jest silne w jakiejś szkole, wówczas mają „własny” samorząd, tajną komisję, ludzi, którzy kolportują bibułę. Potrafią dojść do porozumienia, kiedy planują akcję w skali całego miasta. Drukują własną gazetę. I jest to następny dowód, że powodzenie każdej działalności zależy tylko i wyłącznie od chęci jej inicjatorów i ich operatywności. We Wrocławiu jest łatwiej, gdyż ci, których głos w początkach stanu wojennego był dla mieszkańców miasta decydujący, którzy utrzymali swój aurytet do dziś w pokoleniu wyrosłym na Sierpniu, zrozumieli, że czasy się zmieniają”.

Wycucie inności czasów decyduje również o inności Wrocławia. Fakt — gdyby w okresie 16 miesięcy „Solidarności” we Wrocławiu nie powstały załączki dzisiejszego stosunku do młodzieżowych inicjatyw, zapewne nie byłoby ani MKO, ani Pomarańczowej Alternatywy, działającej na dużą skalę, zaś wszyscy młodzi, którzy chcieliby coś zrobić, ponowaliby w charakte-

rze piątego koła u opozycyjnego wózka. Liderzy dolnośląskiej opozycji na całe szczęście zrozumieli, że któregoś dnia najbardziej aktywne stanie się to pokolenie, dla którego czas „Solidarności” będą tylko historią, zaś niezależna ekspresja własnych postaw i żądań naturalną potrzebą. Tak więc po kilku latach pracy, w warunkach ekstremalnie trudnych w porównaniu do tych z początku obecnej dekady, młodzież i jej organizacje stały się samodzielną siłą. Gdyby ją zlekceważono, olano, napiętnowano zewnętrzne przejawy inności młodej generacji — wrocławski ruch młodzieżowy byłby zjawiskiem pobocznym, jak w tylu innych miastach.

*Zuzanna:* „Tylko młodzież może być autorytetem dla młodzieży. Jesteśmy nowym pokoleniem, innym od pokolenia „Solidarności”, które dopiero szuka swojego miejsca, więc samo sobie buduje również autorytety. Frasiński i Pinior nie tylko nie obrażali się na nas, lecz wchodzili w nasze przedsięwzięcia. Kiedy pierwsze *happening*’i Pomarańczowej Alternatywy zaczęły udawać się na dużą skalę, Major trafił i do MKO i na opozycyjne salony, gdyż sprawa była równie ważna dla obu środowisk. Władek i Józef są niepowtarzalni. To dla mnie jedyne autorytety związkowe. Ustrzegli się od wchodzenia w spory, może dlatego, że jesteśmy trochę na uboczu, bez maszyn drukarskich, domów wydawniczych, wielkich pieniędzy i dyplomatycznych rautów. Jeżeli między nimi istnieją jakieś waśnie, to, jak dotychczas, nigdy nie zaszkodziły robotcie. W Gdańsku spotkałam młodego chłopaka, współpracownika jednego z opozycyjnych tuzów. Brakowało mu tylko oficerek i raportówki, gdyż praktycznie był adiutantem na posyłki, choć mógł zrobić o wiele więcej, bo głupi nie był. Lecz solidarnościowy oficer wolał rządzić sam. U nas panuje zupełnie inna atmosfera, inny styl. Władek i Józef zauważyli, że są młodzi, którzy mają dobrze w głowie i całkiem sporo doświadczenia, a przez szesć ostatnich lat wykonali spory kawał czarnej roboty. Liderzy związkowi nigdy nie chcieli dominować, rozkazywać, zawsze służyli pomocą. Oczywiście, nie w taki sposób, by popierali każdy, nawet najbardziej lewy projekt, lecz w kontaktach z nimi nigdy nie dostrzegłam lekceważenia i wyższości”.

*Robert:* „Wiele publikacji w prasie niezależnej przyniosło Pomarańczowej Alternatywie więcej szkody niż pożytku. My robiliśmy *happening*, a nagle okazywało się, że to sprawa polityczna, bo policja wsadziła Piniora czy biegła za Frasińskim. Główny cel *happening*’u był odrzucony. Więc na mikołajowej zabawie Pinior się nie pojawił. Z własnej woli, gdyż po prostu wyczuł — o czym również nam powiedział — że na Świdnicką ludzie przychodzą dla zabawy, zaś jego kilkugodzinna odsiadka, w oczach szukających w każdym ruchu polityki, zabawą być przestaje. I ma

od początku do końca rację. Przy czym był z nami od krasnali, a teraz dobrowolnie się wycofał. Po prostu zrozumiał, o co chodzi”.

A więc Wrocław jest inny. Inny na tle polskiej szarżyzny, właściwego dla naszych czasów zagubienia młodzieży. Nie dlatego, żeby tam było łatwiej. Lecz szarość może niekiedy przybierać nieco cieplejszy odcień. Można powiedzieć, że Pomarańczowa Alternatywa, MKO, „Dwunastka” nie trafia do wszystkich i z pewnością będzie to najprawdziwsza prawda. Jednak trudno szermować także pojęciem elity, gdyż są to grupy zbyt szerokie i zbyt otwarte i nawet w socjologicznych rozważaniach termin „elita” ustąpi określeniu znacznie obszerniejszemu — „wrocławska młodzież”. Można powiedzieć również, iż młodzi wrocławianie nie zawsze działają ręką w rękę, że NZS nie lubi „Dwunastki”, a „Dwunastka” ma za złe NZS-owi — i też nie będzie w tym fałszu. Lecz podobne wypominanie mija się z celem.

„Kreuj życie tak jak sztukę” — głosi jeden ze staromiejskich, wrocławskich szablonów. Tworzenie nie może obyć się bez sporów, dyskusji, ale każda dyskusja zakłada poszanowanie partnera, uznanie jego pomysłów i dorobku. I pewnie o to tu chodzi.

*Tomasz JERZ*

Grudzień 1987

© Copyright by „M”.

## **Dziennik zewnętrzny**

Małe mazowieckie miasteczko. Rynek z kościołem, który jak wielowiekowy dąb góruje nad domami i wydaje się, że swoimi korzeniami podtrzymuje rozpadające się mury. Ze ścian budynków złazi skóra, jaka to choroba, pewnie świerzb, a i same domy dziwnie powykrzywiane, jakby cierpiały na gościec. Bieda, która tak pracowicie oplótła miasteczko, jest podobno dla przybyszy z Europy Zachodniej kolorowa, dla nas jest już od dawna wyblakła i szara. Ta bieda ma jeszcze jedną niezwykłą cechę, nie jest ubóstwem. Nawet najbiedniejszych stać na kupienie tego co tu niezbędne do życia, a więc chleba i wódki. I wszędzie wznoszone są ceglane domy, tak solidne i obszerne, jakby budowane nie tylko dla siebie, ale i dla przodków co niegdyś gnieździł się w jednej ciemnej izbie, a teraz już po śmierci mogą się przenieść do kilku pokoi, których żywi nie używają.

Zachodzę do piekarni by nabyć pieczywo, wiejski chleb nadal lepszy od miejskiego. Piekarnia też obłazi ze skóry, wystaje z niej ogon luźny i szeroki. Kolejki wiejskie i małomiasteczkowe, co widać gołym okiem, posiadają inny stopień skupienia niż wielkomiejskie, są bardziej luźne, szerokie w biodrach i nie przestępują niecierpliwie z nogi na nogę. Ekspedientka ma twarz starego królika, co od lat gryzie ten sam liść sałaty. Stają na palcach by przez głowy ludzi jak przez sztachety płotu zobaczyć puste półki. Pytam kiedy dowiozą pieczywo? Królik nie odpowiada, tylko wzrusza ramionami nie przestając jeść swojego liścia. Kolejka też milczy, aż w końcu jakaś babina w chuście ulitowała się nad obcym i rzekła prawdę dla wszystkich aż nadto oczywistą — „a kto ich tam panie kochany wi”. Moszczę się na końcu kolejki. Ludzie co stoją przede mną mają szerokie stopy, jakby rozplaszczone od stania i orania. Ich twarze często przypominają oblicza wilków, borsuków, rysi, nie mówiąc już o zwierzyńce domowej.

Mija nie wiadomo kiedy godzina i nagle ogarnia mnie wściekłość i mam ochotę krzyknąć — „ludzie, Polacy, toż my tak stoimy w środku Europy, w samym jej środku”. Ale słowa uwięzły mi w gardle, bo nagle zobaczyłem czas. Płynął przez miasteczko ze wschodu rzeką gęstą jak zupa jarzynowa.

Służba Bezpieczeństwa upolowała kilka samochodów należących do niezależnych wydawnictw. Myśliwi czekają nieraz po wiele godzin o chłodzie i głodzie uzbrojeni w środki łączności, w kamerę filmową a nawet w reflektory na wypadek gdyby zapadł zmrok. Denerwują się przy tym, jakby polowali na tygrysy.

Kiedy M. otworzył bagażnik swojego samochodu, gdzie leżały starannie ułożone książki drugiego obiegu, ujrzał obok siebie osobnika pći męskiej, który dla niepoznaki trzymał w ręku butelkę oleju samochodowego. Ten olej zwrócił uwagę M. gdyż olej samochodowy należy ostatnio do licznej grupy towarów trudno dostępnych.

— Służba Bezpieczeństwa — oświadczył osobnik próbując ujawnić wnętrze swojej służbowej legitymacji, co nie było łatwe z powodu butelki oleju i stanu wzburzenia, w którym znajdował się jego organizm. Zapadła chwila niezręcznego milczenia, po czym funkcjonariusz zapytał.

— Co pan trzyma w tym bagażniku?

— Przecież pan widzi — odparł M.

— Co pan trzyma w tym bagażniku? — upierał się przy swoim idiotycznym pytaniu funkcjonariusz.

— A właściwie dlaczego pan się tak denerwuje — zapytał niespodziewanie M., który zobaczył, że ręka właściciela oleju i legitymacji trzęsie się jak liść osiki. Ten również dostrzegł stan swojej dłoni i schował ją do kieszeni, gdzie jednak nie zrezygnowała z trzepotu, co zdradzało cienkie przepięrzenie kieszeni.

Znerwicowany funkcjonariusz uzyskał na szczęście wsparcie od reszty ekipy, która przywlokła się z kamerą i reflektorem. Rozpoczęły się pertraktacje, gdyż ekipie zależało, by sfilmować M. na tle wnętrza bagażnika z książkami. Było to zadanie technicznie trudne i negocjacje nie dały efektu, szczególnie, że M. upierał się przy dolarowym wynagrodzeniu za zdjęcia. Przeniesiono się więc do mieszkania M., gdzie funkcjonariusze musieli przeciskać się przez sterty książek drugiego obiegu, nie mówiąc już o szeleszczących pod nogami blachach offsetowych.

— Jak pan może to wszystko trzymać w domu, czy pan wie ile przez pański brak ostrożności będziemy mieli teraz roboty — gderali funkcjonariusze oglądając ze wzrastającą rozpaczą mieszkanie, które ujawniało coraz to nowe dowody nieroztropności M. Jeden funkcjonariusz usiadł zrezygnowany przy stole i zaczął wpi-sywać tytuły książek do protokołu, zaś drugi znosił mu książki oburącz kląc pod nosem. Czoło piszącego pokryło się potem.

— Ja mam już tego dosyć — powiedział nagle — teraz ty pisz kolego.

— A ja mam to gdzieś — odparł kolega.

Skończyło się na tym, że protokół został podarty. Zabrano tylko kilka książek, które osobiście interesowały ekipę, a jeden funkcjonariusz, zapewne bibliofil, ukraść po prostu książkę z półki, tak by nie widział tego gospodarz mieszkania — i jego własni koledzy.

Można jednak mówić o sukcesie MSW, gdyż cała akcja miała za cel zabranie samochodu, co stało się przy pomocy kolegium, które wkrótce wydało wyrok. Było to bolesne uderzenie w firmę, gdyż M. zapomniał ubezpieczyć pojazd od kradzieży przez milicję. Ten podziemny fundusz ubezpieczeniowy istnieje od jakiegoś czasu i niezależni wydawcy bardzo go sobie chwala.

Przychodzi do mnie chłopak z niezależnego wydawnictwa. Jest młody, wydawnictwo jest młode, jego oczy są głodne. Już wiem, że będzie mnie męczył.

— Przykro mi, ale nie mam nic i nie słyszałem o żadnej wolnej książce do druku.

Zatkało go. Nie mógł wiedzieć, że kilku mu podobnych szykowało się do zadania identycznego pytania z taką samą miną.

Niezależne wydawnictwa po licznych wypadkach ostatnich miesięcy mają obecnie spokój. Najwyraźniej MSW wykonało już swój roczny plan w tej dziedzinie. Powiązano więc zerwane nici, zamiast dużych eleganckich samochodów ukradzionych przez MSW, kupiono małe, tanie a kiedy ruszyły maszyny okazało się nagle, że brakuje nowych tytułów.

— Zamiast publikować na siłę nowe pozycje, często na żalonym poziomie, lepiej wznawiać te stare, które najcenniejsze —

zaczynam swój wykład, który mam już nagrany na wewnętrzną taśmę. Młody wydawca patrzy na mnie boleśnie i drapie się w głowę. Wie, że mam rację, już nie raz dostał od czytelników po nosie za bzdury, które drukował, ale przecież tak imponująco wygląda na ostatniej stronie spis książek, długi jak ogon lisa. Ja osobiście uważam, że lepiej aby był krótki, a miał za to lśniące futro. I nic nie poradzimy na to, że nasi pisarze i dziennikarze nie nadążają za parową ciuchcią, która coraz ospalej ciągnie nasze czasy w kierunku coraz bardziej niewiadomym, za oknami uciekają tematy, jak chmury i drzewa o niezwykłych kształtach.

Majowa fala strajkowa? Próba generalna przed falą jesienną, pogrzeb „Solidarności”, odrodzenie się „Solidarności”, prowokacja władzy, świadectwo zaniku woli walki Polaków, dowód, że nikt się niczego w tym kraju nie nauczył, znak, że władza jest sprytna jak nigdy, społeczeństwo też niezwykle zmadrzało, inicjacja polityczna młodego pokolenia, spaliła się ostatnia gałąź w narodowym ognisku...

To tylko mały odprysk sprzecznych opinii, które zalały nas po majowej fali. A ja byłem na przyjęciu, gdy nagle otwarły się drzwi i do mieszkania wkroczyło kilkunastu chłopów po dwa metry. Dobrze ubrani, w niegorszych humorach. Był to komitet strajkowy huty im. Lenina, niemal w komplecie. Już przyjęci na powrót do pracy, oprócz tych co się przyjąć nie dali. Podobni byli do grupy alpinistów, którzy z powodu złych warunków klimatycznych musieli odwlec zdobycie szczytu do następnego wiosny.

Strajk w Stoczni Gdańskiej był strajkiem mniejszości z biernym poparciem większości. Większość w Polsce nie jest milcząca, ale narzekająca i utyskująca. Większość pojękuje — to przecież i tak nic nie da, jesteśmy załatwieni, wszystko prędzej czy później szlag trafi, w naszym wieku nie ma się co tak szarpać — ale najbardziej chyba popularne jest westchnienie, głębokie aż do kości wydarzeń ostatnich lat — to przecież i tak nic nie da.

A jednak dotknęły nas znowu wielkie emocje, które wydało się, że już na zawsze przeszły do muzeum narodowych wzruszeń. I chociaż znowu powszechnie oczekiwano na lawinę, która jak w Sierpniu ogarnie cały kraj, tym razem mało kto chciał być jednym z kamyczków.

Zawiedli przywódcy „Solidarności”; o wydarzeniach dowiadywali się zwykle z Wolnej Europy, często od kolegów i znajomych, którzy tłumnie zaczęli udzielać wywiadów. Doprawdy, nie ruszając się z domu można było spotkać się z całym polskim salonek opozycyjnym nagle poszerzonym o robotników ze strajkujących zakładów. Znamienna w tym czasie wydaje się przysłowia dwóch ursuskich Zbyszaków. Janas przechodząc przez płot Ursusa



zwichnął sobie nogę, natomiast Bujak udał się w niedzielę by obejrzyć miejsce, w którym zamierzał pokonać płot w niedzielę. W czasie tej próby generalnej schwytali go czujni funkcjonariusze. Janas i Bujak zajęli się w ostatnim czasie prywatną przedsiębiorczością, o co my, zwolennicy niezależnej od państwa gospodarki, nie możemy mieć do nich pretensji, ale jak widać płoty w garniturach pokonywać jest trudniej.

Film o strajku w Stoczni Gdańskiej, wyświetlany już kilka dni po wydarzeniach na jakiejś części naszych 800 tysięcy aparatów video. Film trwa aż 8 godzin i przypomina, że nadeszły czasy, kiedy nie tylko spisane będą czyny i rozmowy, ale również nagrane minuta po minucie. Odbiera to miejsce wyobraźni i kto wie czy nie zabije dramatu w historii. Film ten już z pewnością przeciekł na Zachód nie ma więc sensu go tu omawiać, zresztą cechą materiału tak obszernego jest to, że każdy może sobie tam znaleźć co potrzebuje. Ja chciałbym zwrócić uwagę na scenę, gdy do Stoczni zajeżdża Lech Wałęsa swym eleganckim mikrobusem, a zaraz potem ksiądz Jankowski z piskiem opon zatrzymuje najnowszy model Mercedesa na tle skromnych drelichów stoczników. Kordony milicyjne rozstępowały się uprzejmie wpuszczając opozycyjnych dygnitarzy do Stoczni, a kiedy wyjeżdżali ruszał za nimi sznur SB-ekkich samochodów, jak honorowa eskorta. Lech Wałęsa gruby, w garniturze, pewny siebie jak przystało na męża stanu, który już wymościł sobie miejsce w podręcznikach historii. W czasie tego strajku sprawdził się znakomicie, o czym przekonać się mogą widzowie filmu.

Władza chciała uczynić go mieszkańcem pałacu w opozycyjnym skansenie i oto okazało się, że skansen ma zbyt niskie ogrodzenie i wąsy Wałęsy niespodziewanie włązą generałowi do talerza z zupą.

Fala strajkowa pozwoliła wielu działaczom opozycji na odnowienie już mocno zardzewiałych kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa. Piszący te słowa nie zasłużył sobie na bliskie spotkanie trzeciego stopnia, a szkoda. Ciekawie byłoby po latach spotkać znajome twarze aniołów stróżów, na których czas naniósł nowe ślady, radość awansów i gorycz kolejnych amnestii. Ci co mieli takie spotkania wspominają je teraz z rozrzewnieniem.

Oto L. dowiedział się od swego opiekuna, że ten przez ostatni rok zupełnie stracił motywację do pracy i ma już wszystko gdzieś, on pracuje tylko do godziny 16-tej, a potem już nic go nie obchodzi.

C., który posiada dobre maniere i wymaga tego samego od innych, stoczył na swoim dołku zwycięską potyczkę z milicjantem, który zwracając się do niego nie chciał używać formy pan. Gdy wychodził na wolność druga zmiana milicjantów przeproszała go

narzekając na swoich poprzedników — niech pan zrozumie, u nas też różni ludzie pracują.

G. kiedy był prowadzony więziennym korytarzem dowiedział się od uprzejmych funkcjonariuszy, gdzie są słabe punkty budynku, żartowali, że w przyszłości może się to przydać przy zdobywaniu obiektu.

O. przechodził obok ambasady zachodniego mocarstwa gdy został zaczepiony przez milicjanta budkowego. (Są to dobrze odżywieni milicjanci, którzy siedzą w plastikowych klatkach obok ambasad jak żywe okna wystawowe naszych milicyjnych zasobów). Budkowy milicjant poznał O. i zagadał do niego.

— No popatrz pan, tak mało brakowało, ale się nie udało, jaka szkoda...

O. początkowo nie pojął o czym mówi, ale pojętni czytelnicy już wiedzą, że to było o strajkach, na które budkowy milicjant jak widać liczył. Tym budkowym łatwiej marzyć o rewolucjach, gdyż mogą mieć nadzieję, że w razie czego schronią się w pobliskiej ambasadzie.

Relacji takich uzyskałem wiele, ale szczerze mówiąc uważałem, że są one nieco przesadzone, nie żeby działacze kłamali, ale pewnie nieco przesadzają, myślałem, takie czasy, że trudno być działaczem bez pewnej przesady. I oto sam zostałem dotknięty zdarzeniem, które kazało mi zredukować sceptycyzm wobec opowieści.

Okradziono piwnicę sąsiadów i musiałem stawić się na świadka na milicyjnej komendzie. Przekraczałem kolejne kraty dosyć lekko, nie kryjąc przed sobą uczucia zadowolenia, że idę tam z własnej woli, a nie jestem prowadzony co się niegdyś zdarzało. Na mój widok młody kapral popadł w szczerą rozpacz — znów pisać protokół, ja już nie mam siły, trzeba by się z tej pracy wypisać, tylko jak to zrobić? Nie miałem na to pomysłu, więc biedak wziął się do pracy. W pokoju był drugi kapral, też młody i sympatyczny, wkrótce pojawili się kapral trzeci i gruby sierżant. Kapral pierwszy męczył się pisać protokół ja zaś dzieliłem swoją uwagę między własnymi zeznaniami, a kapralem drugim i trzecim, którzy poczęli ze mną rozmawiać. Takie rozmowy prowadzą w Polsce nieuchronnie do naszego Rzymu, czyli jak dennie jest, jak ciężko i jak beznadziejnie.

— My chyba już nie dożyjemy dnia, że ten system szlag trafi — westchnął kapral trzeci. Sierżant spojrzął znacząco na sufit i chrząknął.

— Myślisz, że tu jest podsłuch? — zaniepokoił się kapral.

Sierżant wznuszył ramionami i chrząknął, co chyba miało oznaczać, że wszystko jest możliwe.

— Głowę daję, że tu nie ma podsłuchu — rzekłem niepożebnie ryzykując własną głową, a były to te same słowa, które

rytualnie wypowiadam do znajomych, gdy ściszą głos w moim mieszkaniu. Nic więc dziwnego, że poczułem się na tej komendzie jak w domu.

Jako, że sytuację krajową zgodnie oceniliśmy jako beznadziejną, temat przeniósł się na Zachód.

— Pan to ma dobrze, pan dużo wyjeżdża, my to możemy sobie na świat popatrzeć tylko na filmach — westchnął boleśnie kapral drugi.

Pocieszyłem więźniów PRL-u, że wszędzie na świecie są problemy, bo raju na ziemi nie ma. I nawet zacząłem narzekać na Zachód. Po co mają się męczyć biedacy.

— Raju wiadomo nigdzie nie ma — oderwał się od pisania protokołu kapral — ale są przecież na świecie miejsca, gdzie trudno wytrzymać, pan to pewnie miał nie raz ochotę żeby tam zostać...

Powiedziałem, że nigdy nie miałem takiej ochoty. Zbyt stanowczo to powiedziałem. Spojrzeli na mnie podejrzliwie i rozmowa od tej chwili już się nie kleiła. Owszem, ponarzekali trochę na bezsens swojej pracy, bo przecież w tym kraju tylko braki, brak na braku, więc jak ma nie być spekulacji i kradzieży, kradną wszyscy. Zresztą u nich na komendzie też same braki, nawet ludzi brakuje.

— Ludzi brakuje! — aż uniosłem się w krzesło — toż MSW podlega 250 tysięcy ludzi, zaś w Polsce przedwojennej w policji było bodajże 25 tysięcy. i jakoś sobie dawali radę.

— W Polsce przedwojennej to nawet podobno wszystko było w sklepach, a u nas na komendzie to już nawet nie ma dostatecznej ilości notatników służbowych, do tego już doszło — rozczulił się nad swym losem gruby sierżant.

Grupa dialogowa Consensus (są to owi poczciwi Pickwickowcy, o których niegdyś pisałem nie bez życzliwej ironii) zorganizowała spotkanie pisarzy z nowego ZLP (potocznie ZLep), z pisarzami ze związku dawnego. Wszystko po to, abyśmy się jakoś porozumieli dla dobra naszej Ojczyzny. Było sporo ludzi, zagał J. J. Szczepański, który jako nierozwiązany prezes rozwiązanego Związku Literatów Polskich, mówił ładnie i słusznie. Potem zgodnie z planem przemówił Marian Stępień, profesor, jako reprezentant tamtej strony. Oświadczył na wstępie, że co prawda nie został przyjęty niegdyś do dawnego ZLP, chociaż przyjmowano wtedy innych, ale on nie ma żadnych uprzedzeń do Związku starego, chociaż do nowego przyjęto go z otwartymi ramionami. Dalszy ciąg przemówienia był godzien tego początku, profesor chciał zapalić Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, ale świeczka myliła mu się z ogarkiem, a Bóg z diabłem, i chwilami odnosiło się wrażenie, że profesor nie jest przy zdrowych zmys-

łach. Spotkanie zapachniało brakiem powagi i ten zapach już przez cały czas unosił się w sali obrad. Pisarze partyjni mieli kilka odważnych wystąpień, bili się w piersi krzycząc, że polska kultura dogorywa i że w tej dramatycznej sytuacji musimy wszyscy razem się zebrać i ją dźwignąć, partyjni i bez, a nawet ci co są przeciw. Pisarze partyjni tak daleko posunęli swój kompromis, że publicznie wyrzekli się kierowniczej roli partii, a gdyby ich przycisnąć to pewnie i samej partii by się wyrzekli. Pachniało coraz bardziej niepoważnie, aż do głosu doszedł Ryszard Matuszewski. Oświadczył partyjnym, że jak się zrobi kupę, to trzeba ją posprzątać. Ten niezwykle konkretny na chwilę osadził spotkanie w ramach realności, a co było dalej nie wiem, bo musiałem wyjść. Jakoś tak dziwnie się ostatnio dzieje, że na żadnym zebraniu nie wysiaduję do końca, więc nawet nie wiem czy te zebrania w ogóle mają swój koniec.

Jestem na warszawskim uniwersytecie, obwachuuję stare kąty. Prawie nic się tu nie zmieniło przez te lata, może więc i ja się nie zmieniłem. Ale gdy czytam oświadczenia, petycje i listy wiążące na wydziałowych tablicach, a potem za szkłem gabloty na dziedzińcu, czuję przenikliwe dotknięcie czasu. Gdybym nie znał całej jego ręki, mógłbym się dać nabrać i uwierzyć, że oto mamy już w Polsce system parlamentarny.

W pobliżu bramy głównej gabloty, gdzie widnieje napis „Solidarność” i są liczne zdjęcia ilustrujące manifestację „Pomarańczowej Alternatywy”, która miała miejsce w samym sercu Warszawy w dniu dziecka. Pochód szedł ulicami śródmieścia niosąc portrety Lenina i Dzierżyńskiego, w błazeńskiej czapeczce na głowie.

Transparenty ze słowami „Feliks dzieciom”, „Milicja w krainie czarów” sterczały nad głowami kilku milicjantów, którzy z niewyraźnymi minami asystowali manifestacji.

Wznoszone były hasła „Partia z nami”, „Orbis z nami”, „Niech żyje czerwony kapturek”, „Dosyć straszenia wilkiem”, „Niech żyje babcia”.

Na wydziałowych tablicach czytam oświadczenie uniwersyteckiej „Solidarności”, jest również pismo organizacji partyjnej wydziału. Partyjni śpiewają chórem, cieniutko i niezbyt zgodnie, że są za pluralizmem.

Natomiast w holu biblioteki obszerna wystawa fotograficzna ilustrująca strajk na uniwersytecie. Błyszczy na zdjęciu łysa głowa mojego przyjaciela, który z ramienia „Solidarności” nakłaniał studentów do umiaru i szybkiego zakończenia strajku. Patrząc na twarze tych młodych, co już nie pamiętają „Solidarności” i stanu wojennego. Teraz dotknęli opuszkami palców historii i nie sparzyli się. Może więc warto było wcześniej zakończyć strajk?

Znowu wychodzę na dziedziniec. Wyniesiono stoliki, na których leżą książki i pisma drugiego obiegu, otacza je tłum studentów, jak również licznie przybyli na zakupy mieszkańcy Warszawy. Klienci oglądają, cmokają, narzekają na ceny. Ja też oglądam, cmokam, narzekam na ceny. Spotykam znajomego i wspólnie uzgadniamy, że dla inteligencji powinny być niższe, inteligencja w Polsce zarabia poniżej minimum socjalnego i jak dalej tak pójdzie zamiast kupować książki będzie je zjadać. Ktoś bierze do ręki numer tygodnika PWA i narzeka, że jest stary.

— Stary — oburza się młoda sprzedawczyni — to powąchaj, jeszcze pachnie farbą drukarską, jest świeży jak bułeczki prosto z piekarni. Kilka osób wacha i stwierdzają, że rzeczywiście jest świeży. Tłum zgęstniał i ledwie się z niego wyciskam, potrącając niechcący stolik KPN-u.

— Czemu Robert dzisiaj nie sprzedaje? — ktoś z kupujących rzuca pytanie w kierunku stolików.

— Stoi w kolejce po paszport — odpowiada jeden ze sprzedawców.

Z biura paszportów wysnuwają się na ulicę trzy kolejki, dwie bardzo długie, jedna krótka. Długie są do składania wniosków o wyjazd i po odbiór paszportów, krótka do oddania paszportu po przyjeździe. Ludzie jak na ludzi kolejkowych są jakoś dziwnie cierpliwi, grzeczni, czysti i zrozumiałem, że to jest po prostu nasz czyściec, gdzie oczekuje się godnie, chociaż z lekkim niepokojem na wpuszczenie do zachodniego raju. Gruby, rumiany obywatel, jak Archanioł Gabriel stoi na ławce dzierżąc w ręku listę społeczną i wyczytuje nazwiska. Mnie to nie dotyczy, to dla tych co przysli między 5-tą a 7-mą rano, i zajęli sobie miejsce wpisując się na listę. (Podobno to nic wobec list społecznych po wizę do ambasady niemieckiej, jest takich list 800 a na każdej pakiet oczekujących). Staję na końcu ogona, otwieram skwapliwie książkę próbując jak najszybciej uciec od realności w iluzję powieści. Jak zwykle w takiej sytuacji przypominam sobie o stojaku, który od lat planuję sobie sprawić, ot taki składany stojak na książkę i na zeszyt by pisać stojąc i nie tracić czasu. Uważam, że Polacy opanowali tylko fizyczną stronę stania w kolejkach, a zupełnie zaniedbali stronę duchową. Tak więc zabrałem się skwapliwie do lektury, ale diabli wzięli fikcję, bo w kolejce ujawniło się zaraz kilku znajomych i zaczęły się pogaduchy. Nagle pojawił się od strony miasta dr J. od lat związany z opozycją, przywitał się ze znajomymi i jakby powołując się również na nich, krzyknął do kolejkowego zgromadzenia — ta kolejka to wielki skandal! — kolejka przytaknęła w milczeniu. Doktorowi J. nie wystarczyła jednak ta publiczność. Przeciskał się więc aż do okienka, gdzie krzyknął do tych co po drugiej stronie.

— W całej Europie...

— Co pan nam będzie o Europie opowiadał — przerwał mu gwałtownie paszportowy funkcjonariusz — tu jest urząd.

Kolejka milczała. Dobrze mu powiedział, temu doktorowi, pomyślałem, czując jak wzbiera we mnie złość na znajomego. Tylko skąd ten gniew? Przecież ja się z dr. J. głęboko zgadzam. I wtedy pojąłem, że ja przecież ujrzałem w nim siebie, samego siebie z małomiasteczkowej kolejki po pieczywo, całą swoją śmieszność i ślamazarną bezradność wobec codziennej materii, która zagęstnia się i płynie przez nasze domy i ulice niosąc nas gdzieś, nie wiadomo gdzie.

Witold CHARŁAMP

## Nomenklatura i bezpartyjni (I)

Motto: *Czym jest Stan Trzeci? Wszystkim!  
Czym był dotąd w życiu publicznym? Niczym!  
Czego żąda? Stać się kimś!*

(Emmanuel Sieyes — *Czym jest Trzeci Stan?*, 1789 r.).

Szkic ten miał dotyczyć nomenklatury, a pobudziły mnie do pracy nad nim liczby podane przez partyjnego profesora Edwarda Erazmusa. Wynikało z nich, że partyjni niemal całkowicie opanowali kierownicze stanowiska w kraju „oficjalnym”, to znaczy w tej ogromnej części naszej rzeczywistości społecznej, którą kontrolują komuniści. Od tych liczb zacząłem, chcąc po pierwsze wyszczególnić zle skutki nomenklatury dla jakości działania wszystkich instytucji, której podlegają, a po drugie szukać okoliczności, procesów, sytuacji dopomagających przywracaniu normalnych zasad awansu społecznego w kraju.

W miarę pisania jednak zaczęło być oczywiste, że nie można snuć rozważań o nomenklaturze w oderwaniu od nienomenklatury, czyli od rzeszy bezpartyjnych. Miejsce bowiem, które nomenklatura im zostawia, jest miejscem jakie wyznacza narodowi. Nie usuwając nikogo poza polską społeczność — do czego brak mi prawa oraz woli — i zostawiając na boku statystyczną pedanterię, trzeba przecież powiedzieć, że bezpartyjni to naród. Stąd motto ściągnięte z zarania rewolucji francuskiej, które w języku tamtej epoki wyraża sytuację co do istoty taką samą, w jakiej znajdują się dzisiaj bezpartyjni, ów „stan trzeci” komunizmu.

Oczywiste stało się również, że nie można oddzielić tematu

nomenklatury od analizowania samego systemu i tego co się z nim dzieje. Im dalej więc postępowała praca nad tekstem, tym bardziej rozpatrywanie realiów pod jednym, wyodrębnionym kątem ustępowało analizie skupionej na próbie opisanego zjawiska, które występują wewnątrz systemu oraz wokół niego. Zjawiska te, widoczne we wszystkich — europejskich w każdym razie — krajach komunistycznych, a szczególnie widoczne w Polsce, wyglądają na składniki wielkiej przemiany, polegającej na wyzwaniu się od systemu coraz większej części tkanki społecznej. Przemiany polegającej na „linieniu” z komunizmu. To obrazowe i trafne określenie zapożyczyłem od Bernarda Guetty, warszawskiego korespondenta *Le Monde* w okresie „Solidarności”, który użył go w jednym ze swych artykułów na polskie tematy, pisząc o „przymusowym linieniu systemu w post-totalitarną postać o zarysach dziś jeszcze nieznanych”<sup>1</sup>.

### Zasięg

W jednym z marcowych numerów *Rady Narodowej*, pisma firmowanego przez Radę Państwa, wydrukowany został wywiad z Edwardem Erazmusem, profesorem Partyjnej Akademii Nauk Społecznych. Podał on w nim dane na temat obsady stanowisk kierowniczych w Polsce. Spośród „dwu milionów członków PZPR, blisko dziewięćset tysięcy sprawuje różne funkcje kierownicze, od premiera do brygadzysty; co drugi niemalże uwikłany jest w zarządzanie”. I jeszcze jedna informacja: na około milion dwieście tysięcy stanowisk kierowniczych w kraju, dziewięćset tysięcy zajmują pezetpeerowcy, a bezpartyjni tylko trzysta tysięcy. Można by oczywiście pokazać, w jakim stopniu partyjni obsiedli stanowiska kierownicze w różnych dziedzinach życia, robiąc coś w rodzaju geografii nomenklatury, ale nie o to mi chodzi, więc poprzestaniemy na podanych liczbach. Są one wymowne i bez dalszych obróbek, a przecież nie uwydatniają najważniejszego. W Polsce jest jakieś dwadzieścia trzy miliony ludzi w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu pięciu lat, czyli w tej zbiorowości, spośród której pochodzą osoby na stanowiskach kierowniczych. Jeżeli odejmiemy partyjnych emerytów, to z tej grupy do pezetpeeru należy co najwyżej jakieś milion osiemset tysięcy, czyli niecałe osiem procent. Bardzo łatwo obliczyć, że będąc członkiem partii ma się jedną szansę na dwie, by zdobyć stanowisko kierownicze, a więc zrobić mniejszą lub większą karierę i jedną szansę na dwie, że się jej nie zrobi. Jeśli natomiast do pezetpeeru się nie zapisze, to pozostanie już niespełna półtorej szansy na stanowisko i ponad

1. B. Guetta, „Da Pologne saisie par le gorbatchévisme”, *Le Monde* z 30 października 1987 r.

dziewięćdziesiąt osiem szans, że będzie się tkwiło do końca życia w grupie podwładnych u podnóża drabiny awansu społecznego. Pezetpeerowiec więc ma jakieś trzydzieści pięć razy większe możliwości zostania kimś w Polsce oficjalnej niż bezpartyjny. To też łatwo obliczyć i ta liczba może być wskaźnikiem uprzywilejowania pod względem awansu niespełna ośmiu procent ludności i uposzczenia ponad dziewięćdziesięciu dwu procent. Są to skutki nomenklatury, czyli systemu, w którym wyłączność decydowania o obsadzaniu stanowisk — jak powiedział Erazmus — od premiera do brygadzysty, przynależy do szeroko pojętego aparatu partyjnego, przy szczególnie ważnej roli komitetów (instancji) partyjnych. To prawo wyraża w dziedzinie awansu kadrowego totalitarny — wszechobejmujący — charakter władzy ciągle istniejącej w Polsce. Nie lekceważę bynajmniej zmian, które zachodzą w kraju. Dlatego właśnie mówiąc o nomenklaturze nie przypisałem związanych z nią możliwości wyłącznie instancjom partyjnym, bo dzisiaj praktyka kadrowa jest bardziej skomplikowana i pogmatwana niż była kiedyś, gdy rzeczywistość o postawieniu kogoś na stanowisku decydowano wyłącznie w komitetach. Mimo tego, a także mimo innych korzystnych zmian, cyfry podane przez Erazmusa dowodzą, że fundamenty totalitaryzmu nadal są nad Wisłą silne, a dyskryminujące ogromną większość społeczeństwa reguły awansowania działają tak samo sprawnie, jak dawniej. Należą zaś one do naczelných przyczyn kryzysu Polski, polegającego na bardzo poważnym obniżeniu się zdolności kraju do samodzielnego trwania i rozwoju w świecie, który się szybko zmienia i w którym panuje ostra konkurencja.

## Pojęcie

Wróćmy do pojęcia nomenklatury. Jak powiedziałem, jest to cały system reguł i stosunków rządzących awansem w strukturach oficjalnych, u którego początku leży wyłączne prawo decydowania o obsadzie stanowisk kierowniczych przez instancje partyjne<sup>2</sup>. Tego prawa nikt oczywiście partii nie dał. Wzięła je ona

2. Formalną podstawą nomenklatury są trzy dokumenty: a) statut PZPR stwierdzający, że: „rekomendacji na stanowiska kierownicze udzielają komitety partyjne i ich egzekutywy po uzyskaniu opinii o kandydacie z macierzystej POP” (podstawowej organizacji partyjnej — W.K.); b) „Główne założenia polityki kadrowej PZPR” (przyjęte na XIII Plenum w październiku 1983 roku) ustanawiające regułę, że: „kandydaci na *wszystkie* (podkr. W.K.) stanowiska kierownicze muszą uzyskać pozytywną opinię swej macierzystej POP”; c) Uchwała Biura Politycznego KC PZPR z 6 maja 1986 roku w sprawie polityki kadrowej w partii i państwie, nakazująca: „by organizacje i instancje partyjne wydawały kandydatom na kierownicze stanowiska opinie i rekomendacje... w tym również zasięgając opinii osób bezpartyjnych oraz członków stronnictw sojusznicznych”.



sobie kiedyś sama, korzystając z siły własnej i swych sowieckich mocodawców. Nomenklatura jest więc uzurpacją, o czym warto pamiętać, a jej jedyna „legitymacja” to przemoc w stosunku do większości. Z tego powodu nie ma ona szansy pozbycia się tego ujemnego znaku, jakim opatruje ją opinia publiczna na równi z innymi elementami ustrojowej budowli, także skażonymi grzechem uzurpacji. Nie pomoże — częste ostatnio — odwoływanie się do praktyki innych partii politycznych, które zdobywszy władzę postępują rzekomo tak samo. Jest to nieprawda. Nikt, poza komunistami nie zagarnia wszystkich lub prawie wszystkich stanowisk kierowniczych w państwie i społeczeństwie i to na przeciąg połowy stulecia czy dłużej. Nie wybiela nomenklatury także zmiany technik funkcjonowania. Fakt, że w ramach nomenklatury decyzje kadrowe polegają czasami na zatwierdzaniu kandydatury przedłożonej przez jakiś organ niepartyjny lub na partyjnym poleceniu określonej osoby na stanowisko kierownicze poza partią, w niczym tego określenia nie podważa. Wiadomo bowiem z praktyki, że zatwierdzanie i polecanie to formy zamaskowanego decydowania partyjnego. Mamy tu jeden z wielu przejawów — jeśli tak można powiedzieć — „hipokryzji” całej ustrojowej konstrukcji. Chcąc przylegać do głoszonego wyznania wiary, wytwarza ona stosowną fasadę, za którą ukrywają się stosunki realne, nie mające z ideologią niczego wspólnego. Fakt, że wśród stanowisk kierowniczych mogą znajdować się takie, których nie trzeba uzgadniać z właściwą instancją partyjną nie oznacza jeszcze, że w odniesieniu do nich nomenklatura nie działa. Po pierwsze dlatego, że o zakresie stanowisk uzgadnianych formalnie w instancjach rozstrzyga się w kręgach szeroko pojętego aparatu partyjnego. Należą do tego aparatu funkcjonariusze samej partii, pełniący w niej kierownicze role, jak i członkowie partii rozmieszczeni na stanowiskach kierowniczych poza partią. Zatem rezygnacja instancji z wypowiedzania swej opinii w stosunku do niektórych stanowisk nie oznacza, że są one wyjęte z systemu nomenklatury. Oznacza to jedynie, że w danym momencie nie uważa się, by miały one szczególne znaczenie dla wykonywania roli kierowniczej przez PZPR. Można powiedzieć, że stanowiska te znajdują się czasowo poza „polem zainteresowania” komitetów. Zmiana sytuacji a często nawet egzekutywy czy sekretarza wystarcza, by stanowisko jeszcze wczoraj nie wymagające zatwierdzenia, zostało przesunięte do rzędu funkcji uzgadnianych. Po drugie nawet posady nie mieszczące się w polu zainteresowania władz partyjnych znajdują się ciągle w sferze nomenklatury, bo o ich obsadzie decydują osoby już zajmujące stanowiska, a są to na ogół członkowie partii. Od zdefiniowanego wyżej pojęcia nomenklatury trzeba odróżnić jej najbardziej widoczne następstwo — „pezetpeeryzację” kadr kierowniczych, której objawem są liczby po-

dane przez Erazmusa. Formalnie nomenklatura nie musi prowadzić do pezetpeeryzacji, czyli do tak jaskrawej przewagi członków partii na stanowiskach, jak to widzieliśmy wyżej. Prowadzi jednak do tego faktycznie z paru powodów. Po pierwsze zależność decyzji kadrowych od szeroko pojętego aparatu partyjnego poddaje je oddziaływaniu wyodrębnionej sieci stosunków i znajomości, w której tkwią przede wszystkim partyjni. Siłą rzeczy więc to oni właśnie zyskują ów przywilej najlepszego startu, pierwszej prezentacji właśnie, wedle reguły „kto pierwszy ten lepszy”. Ich się zna, im się ufa bardziej niż osobom spoza partyjnego klanu. Po drugie: ewentualny błąd polegający na awansowaniu niewłaściwego towarzysza łatwiej usprawiedliwić wobec swych zwierzchników niż ten sam błąd w razie awansowania bezpartyjnego, co może być potraktowane jako brak partyjnej czujności. Po trzecie: aparat PZPR od góry do dołu miał zawsze poczucie, że działa wewnątrz społeczeństwa, które go nie uznaje i uważa za obcy element. Konflikty ostatniego dziesięciolecia potwierdziły, że to poczucie było trafne. W takim wypadku naturalna jest obawa przed awansowaniem niepewnych, którzy przy pierwszej okazji mogą okazać się zmurszałymi cegiełkami w murach obronnych. Aparat dla propagandy mówi ciągle o braku antagonistycznych sprzeczności w kraju, ale w praktyce kieruje się własnym wydaniem znanego podziału „my — oni”<sup>3</sup>. Okazja, oportunizm, osaczenie; wszystkie te powody więc — a można by podać dalsze — wspierając jeden drugi nadają praktyce awansu kadrowego autonomię systemową, objawiającą się między innymi silną tendencją do pezetpeeryzacji stanowisk kierowniczych w kraju. W rezultacie uwidocznia się jaskrawy przywilej mniejszości, bardzo źle widziany w społeczeństwie, wzmacniający w nim negatywne wyobrażenia o ustroju. Centralna elita władzy, mająca spojrzenie całościowe, dostrzega źle skutki propagandowe — i merytoryczne — tej daleko posuniętej pezetpeeryzacji kadry i od

3. O tym poczuciu osaczenia następująco pisze prof. Janusz Reykowski: „Wielu aktywistów partyjnych zdaje się działać pod wrażeniem, że są otoczeni przeciwnikami, którzy skłonni są infiltrować wszystko wokół: związki, samorządy, ruch porozumienia, nowo tworzące się kluby, można by powiedzieć, że dla niektórych towarzyszy każda działalność społeczna, która nie jest zbieżna z wizją zbudowaną w Komitecie Zakładowym partii, jest działalnością niebezpieczną a może wrogą”. („Świadomość społeczna w Polsce i jej przeobrażenia” (dyskusja redakcyjna) *Nowe Drogi*, nr 10/1983, str. 115). Sytuacja nie uległa widać poprawie, bo w kilka lat później można było przeczytać: „Partia niepewna przyzwolenia na swe przywództwo ze strony innych sił politycznych nie będzie skłonna dzielić z nimi realnej władzy, gdyż funkcjonuje w poczuciu zagrożenia. To zaś utrwalac może sytuację względniego wyobcowania. W konkretnych polskich warunkach mamy przejaw istnienia takiej nieufności w partii, co w sporej mierze rodzi autokrację w jej działaniu”. (Jacek Raciborski: „Ideologia i reformy”, *Nowe Drogi*, nr 12/1987, str. 86).

dawna próbuje ją ograniczać, uważając, że pewne zwiększenie udziału bezpartyjnych (takich oczywiście, którzy zostaną wyselekcjonowani czyli uznani politycznie za równie czy niemal równie do przyjęcia jak towarzysze) może być korzystne. Jak widać jednak z wypowiedzi Erazmusa, także i w obecnej dekadzie to przeciwdziałanie nie wystarczy, by osłabić — o przełamaniu nie ma mowy — naturalną dla systemu nomenklatury tendencję do kójarzenia z legitymacją PZPR przywileju na zdobycie kierowniczego fotela.

### *Plagi*

Zarówno sama nomenklatura, jak i wspomniany przywilej mają rozliczne niszczycielskie skutki, do których teraz przechodzę.

Po pierwsze, obsadzanie trzech czwartych stanowisk kierowniczych w organizmie państwowym obsługującym prawie czterdziestomilionową społeczność poprzez dobór jedynie z dwumilionowej grupy musi prowadzić, już przez ten tylko fakt, do wyjątkowego zagęszczenia ludzi nieutalentowanych i nieinteligentnych w szeroko pojmowanych elitach kierowniczych. Okoliczność ta jest zapewne jedną z najważniejszych przyczyn niskiej jakości decyzji, w tym i gospodarczych, które cechuje mała wyobraźnia, duża ilość błędów i brak prawie zdolności do uczenia się na nich. Powoduje to wielkie straty, trudne co prawda do obliczenia, ale odczuwalne dla żyjących w kraju komunistycznym, pod postacią marności działania wszystkiego naokoło. Stare powiedzenie Kisiele o „dyktaturze ciemniaków” ma więc zupełnie solidne, systemowe niejako uzasadnienie. Tym bardziej, że spośród partyjnych na stanowiska kierownicze dostają się częściej ci, którzy uważani są przez instancje partyjne za pewnych, aniżeli ci co mieliby najlepsze warunki do objęcia danej funkcji. Nomenklatura bowiem nie tylko zwęża krąg potencjalnych kandydatów, lecz także — co jest dobrze znane — spycha na dalszy plan znaczenie kwalifikacji zawodowych jako kryterium awansu.

Po drugie, wyłączenie ponad dziewięćdziesięciu procent ludności z mechanizmu awansu społecznego musi prowadzić do ogromnego marnotrawstwa talentów przywódczych, menadżerskich, wynalazczych, czyli tego najcenniejszego surowca, który właściwie wykorzystany tworzyłby narodową pomysłowość, a ze-pchnięty na pobocza albo nie ujawnia się, albo uchodzi z kraju, gdy tylko nadarza się okazja.

Twierdzić, że owo „rekrutacyjne zwężenie” nie ma aż tak złych skutków można by tylko wtedy, gdyby potrafiono dowieść, że partia ściąga w swe szeregi osoby o najwyższych zaletach, że

jest swoistą demograficzną czołówką. Otóż nie sądzę, by dało się dowieść takiej wyższości szeregów partyjnych nad resztą ludności. Charakterystyki obu zbiorowości gdy chodzi o nasycenie osobami różnorako uzdolnionymi, w najlepszym razie nie różnią się od siebie. Gdy chodzi zaś o Polskę w ostatnim dziesięcioleciu, to można z uzasadnieniem postawić tezę, że w PZPR pozostał przypuszczalnie „garnitur” gorszy niż przeciętna w społeczeństwie. Przede wszystkim dlatego, że odeszła z niej młodzież. Na nieco ponad dwa miliony członków w roku 1986, osób od 18 do 29 roku życia było 6,9 %, czyli jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy, to znaczy około 2 % młodzieży w tej grupie wieku. Członków od osiemnastego do dwudziestego czwartego roku życia było zaś już tylko jakieś 23 tysiące to znaczy 1,1 % partyjnych i 0,6 % ogółu młodzieży w tym wieku. Dodajmy, że odpływ młodzieży z partii zaczął się w latach siedemdziesiątych. Na początku tamtej dekady PZPR miała ponad 25 % młodych w wieku 18-29 lat i 11 % w wieku 18-24 lat. W roku 1978 tego najmłodszego narybku było już 7,8 %. Jest to więc objaw głębokich przemian w wyobrażeniach młodzieży o tym jak żyć, które kryzys lat 1980-1981 tylko przyspieszył, a zatem nie ma podstaw przypuszczać, że wystarczyłoby usunięcie jego skutków i młodzi pociągną do partii jak za dawnych lat<sup>4</sup>. Można by podać dalsze argumenty na rzecz tezy, że PZPR jest dziś raczej „demograficznym oraz intelektualnym maruderem”, ale nie będę się nad nimi rozwodził, by pozostać przy temacie<sup>5</sup>. Nawet bowiem przyjmując wyrozumiałe dla niej założenie, że pod żadnym względem nie odbiega od reszty ludności stwierdzić można, iż skupienie doboru kadrowego na 8 % populacji ma następstwa co najmniej takie same, jakby miało dajmy na to opuszczenie Polski przez ponad 90 % ludzi utalentowanych. Kiedy więc — zgodnie z prawdą oczywiście — mówi się dziś o tym, że wyjazd na emigrację oznacza wykrwawianie kraju, to trzeba wiedzieć, że nomenklatura jest o wiele poważniejszym czynnikiem wycieńczającym Polskę kadrowo.

Po trzecie, należy ona także do tych cech rzeczywistości, które demoralizują pracowników. Wysuwając bowiem na czoło kryteria awansu, czyli nagradzania ludzi, przynależność do PZPR

4. Edmund Lewandowski, „Młodzież pragnie odrobiny nadziei”, *Odgłosy* z 9 stycznia 1988 r. (wyniki sondażu socjologicznego).

5. „Spora część tych, którzy partię opuścili (w latach 1980-1981 — W.K.) należała do ludzi aktywnych, motywowanych interesem społecznym, skłonnych do kolektywnego działania, cieszyła się też autorytetem środowiskowym. Równocześnie w partii pozostało wielu ludzi biernych, nijakich. Sporo jest ich między innymi w środowiskach obsługujących mechanizmy rządzenia i zarządzania”. („Dylematy budowy siły partii”; Mirosław Karwat i Włodzimierz Milanowski, *Nowe Drogi* nr 5/1983, str. 91).

i dyspozycyjność polityczną, nomenklatura niszczy przesłankę, bez której nie mogą istnieć zdrowe środowiska pracownicze. To mia- nowicie, że do nagrody więc i do awansu idzie się jednak i na ogół poprzez praktyczne wykazywanie swych umiejętności i zalet w pracy. Kiedy przekonanie, że tak właśnie jest zanika wśród pracowników wskutek obserwacji praktyki, wówczas otwarta zo- staje droga do upadku etosu pracy i etyk zawodowych. Szacu- nek do własnej roboty, do wytworu, który w jej toku powstaje, do wykonywanego zawodu, te i podobne im uczuciowe odniesie- nia jednostek do pełnionych ról gospodarczych tworzą moralne podstawy życia ekonomicznego. Dzięki nim pozytywne zachęty jakie idą od „rzeczywistości obiektywnej”, na przykład od rynku, wpływają korzystnie na wyniki pracy ze wzmożoną siłą. A znów pokusy wskazujące na to, że można bezkarnie coś spartaczyć są powstrzymywane. To moralne zaplecze ekonomii praktycznej, wytwarzane przez pokolenia, doświadczające związku pomiędzy jakością ich pracy a różnego rodzaju wynagrodzeniami, nie roz- padło się, kiedy tylko nastąpiła rzeczywistość, która to powiązanie zakłóciła. Przeciwnie, przez jakiś czas odziedziczona moralność pracy reprodukowała zachowania pracownicze, które nie przysta- jąc do zmienionych warunków, sprawiały jednak, że różne dzie- dziny życia ekonomicznego funkcjonowały lepiej. Jakby po sta- remu. Tak było na przykład z polskimi kolejami, które jeszcze na początku lat sześćdziesiątych kursowały ze wzorową punktual- nością. W miarę jednak jak płynął czas i zmieniały się przy war- sztatach pokolenia, skłócona z życiem tradycja ustępowała pod jego naporem. „Przeżytki” zanikały. Na czoło wysunęły się za- chowania określane przez realia, w tym również przez obecność nomenklatury zaświadczającej każdego dnia, że czy się stoi czy się leży, w górę się nie pójdzie bez partyjnej legitymacji. I to przekonanie właśnie, dodane do innych doświadczeń z praktyki gospodarki centralnie dytygowanej (produkowanie nie dla od- biorcy, którego się zdobywa wysoką jakością czy niską ceną, lecz dla jednostek nadrzędnych zadowolających się sprawozdaniami o wykonaniu planu bez względu na jakość produktów) wytworzyło mieszanke, która zniszczyła etos pracy i etyki zawodowe w Pol- sce, a także w innych krajach komunistycznych. Ksiądz Józef Tischner powiedział w kazaniu podczas Zjazdu „Solidarności” w roku 1981, że polska praca jest chora. Dostrzegają to również rządzący, nie rozumiejąc jednak, a raczej nie chcąc przyznać pu- blicznie, że stało się tak dzięki praktykom, jakie sami wprowadzili dla zabezpieczenia własnego samowładztwa. Z niektórych gotowi są może dziś zrezygnować, ale przy nomenklaturze twardo stoją nadal.

*Po czwarte, nomenklatura przyczynia się do rozbijania zwar-*

tości środowisk pracowniczych. Wprowadza ona do nich bowiem krzyżującą niesprawiedliwość, stawiając po jednej stronie niewielu uprzywilejowanych, którzy mają przed sobą perspektywy dzięki czerwonej legitymacji czy dzięki umiejętności i woli przypodobania się komitetowi partyjnemu, a po drugiej większość szarych pracowników, którzy nawet bardzo się przykładając nie wyrównają upośledzenia, jakim — gdy chodzi o awansowanie — jest bycie bezpartyjnym. Na tę niesprawiedliwość, pochodzącą wprost od podstaw systemu politycznego, nakładają się skutki konfliktu pomiędzy rządzącymi i rządzonymi, który również jest w tych podstawach zawarty. Daje on o sobie znać we wszystkich krajach komunistycznych, choć z różnym nasileniem. W Polsce podczas licznych konfliktów, jakie w ostatnich kilkunastu latach powstały właśnie w zakładach pracy, owa uprzywilejowana mniejszość z nomenklatury stawała na ogół przeciwko załogom, co sprawia, że dzisiaj na partię i administrację w zakładzie patrzy się nie tylko jak na tych, co czerpią niezasłużone korzyści, lecz także jak na tych, co nadzorują, a nierzadko i prześladują. „My — oni”, ta ludowa i nader trafna wizja podziału społecznego, czerpie swą żywotność także z doświadczeń w ramach codziennych stosunków pracy.

W odróżnieniu od dwu pierwszych skutków, które wpływają na działanie całego mechanizmu państwowego, dwa ostatnie są mikrospołeczne. Otóż jeżeli demoralizacyjne i rozbijackie działanie nomenklatury na zespoły pracownicze nie zostanie usunięte, lub przynajmniej poważnie ograniczone, to nie da się zrobić z nich zwartych ekip, silnie motywowanych do wysiłku dla dobra firmy. Nie da się tego zrobić nawet zakładając optymistycznie, że dojdzie do poważnej reformy reguł ekonomicznych, w ramach których działają przedsiębiorstwa. Pojawi się wtedy może w miarę prawdziwy rynek, lecz pozostaną przedsiębiorstwa okaleczone przez utrzymanie w nich struktur dyktatury PZPR, przenoszących konflikt polityczny do dziedzin, gdzie „polityzacja” stosunków powoduje wyjątkowo niszczycielskie skutki.

### *Rozkład*

Nomenklatura to dyktatura PZPR oglądana od strony kierowniczych foteli, tak że można by nazwać ją cenzurą oglądaną od strony politycznego panowania nad słowem. Ale nomenklatura to także najważniejszy instrument tej dyktatury, zapewniający możliwość i skuteczność posługiwania się pozostałymi przez rozstawienie „swoich” na stanowiskach. Nomenklatura to prawdziwe sanktuarium systemu. Dopóki ten instrument znajduje się

w ręku partii, dopóty znaczne nawet poluznienia w innych dziedzinach, na przykład gdy chodzi o kontrolę nad słowem, czyli o cenzurę, nie wywołują natychmiastowego niebezpieczeństwa utraty panowania nad sytuacją i zagrożenia dla dyktatorskiej pozycji rządzących. Gdy patrzymy na przemiany systemu w naszym kraju w latach osiemdziesiątych, to widać charakterystyczną rozbieżność między znacznym postępem swobody wypowiedzi i praktycznym brakiem postępu gdy chodzi o równość obywateli w dostępie do stanowisk kierowniczych. Cenzura czyli dyktatura partii nad słowem została złagodzona, nomenklatura czyli partyjny dobór kadr stosuje się niemal bez zmian. I ten ostatni fakt daje podstawy do sądenia, że przemiany, które niewątpliwie następują w Polsce oficjalnej, mogą być cofnięte w jakimś momencie, bo sanktuarium systemu pozostaje nienaruszone. Ponieważ zaś ma ono tak kluczowe znaczenie dla supremacji PZPR w ramach mechanizmu państwowego, trudno liczyć by Partia zgodziła się na znaczniejszy rozwój awansu kadrowego poza jej kontrolą. Przeciwnie, można sądzić, że dziś, gdy PZPR ma wzrosłych w siłę i czynnych przeciwników, będzie ona bardziej niż kiedyś przekonana o centralnym znaczeniu swej kontroli nad kadrami. Nie wyklucza to wcale równoczesnego dążenia do większej obsady stanowisk kierowniczych tolerowanymi bezpartyjnymi dla złagodzenia wymienionych wyżej plag nomenklatury, a także dla przybliżenia ku rządzącym nowych środowisk w ramach idei „promocji narodowego” i „koalicyjnego sprawowania władzy”.

Nomenklatura, choć bardziej odporna niż inne filary dyktatury komunistycznej, podlega jednak, tak samo jak one, naciskom idącym z różnych stron rzeczywistości. Te oddziaływania sprawiają, że system się zmienia niezależnie od woli rządzących i na ogół nie tak, jak by oni sobie życzyli, mimo, że trzymają formalnie wszystkie cugle władzy i często przeciwstawiają się zmianom ich zdaniem niepożądanym. Są więc w realiach — samego systemu, społeczeństwa, które w nim żyje, otoczenia zewnętrznego itd. — czynniki dynamiczne, przeobrażające, którym przypada rola pierwszorzędna, tak długo przynajmniej, jak długo nie dojdzie do obalenia istniejącego porządku przez rewolucyjny zryw, co położyłoby oczywiście także kres problemowi nomenklatury i jej zgubnym wpływom. Nomenklatura bowiem — to — powtórzmy jeszcze raz — dyktatura partii widziana od strony kadrowej, a jej rozkład może następować tylko jako część ogólnego rozkładu mechaniki państwa komunistycznego. Sądzę, że są dwie wielkie płaszczyzny, dwa główne kierunki, gdzie ten rozkład, ta ewolucja jest widoczna i może pójść znacznie dalej. Nazwę te kierunki a) odradzaniem się społeczeństwa cywilnego oraz b) degradacją partii w mechanizmie państwa. Pierwszy kierunek, bardziej zarysowany, przede wszystkim właśnie w Polsce, prowadzi do po-

większania liczby ról społecznych wymagających zdolności przywódczych, menadżerskich i innych, a obsadzanych przez dobór niezależny, wręcz naturalny („kto lepszy ten pierwszy”). Powoduje to minoryzację awansu z nomenklatury. Drugi kierunek, mniej wyraziście zarysowany i zapewne bardziej sporny, obejmuje procesy sprawiające, że powstają zróżnicowania (pluralizm) w mechanizmie państwa, a jego polityczne składniki nabierają własnego wyrazu i dążą do większej samodzielności w stosunku do partii. W rezultacie słabnie jej znaczenie jako ośrodka rządzenia i następuje coś w rodzaju poszerzenia elity władzy, a także jej wyprowadzenie, „transfer” poza partię. Jednym ze skutków tego procesu jest pojawienie się oznak rozkładu nomenklatury polegającego na tym, że o awansie w obrębie państwa zaczyna decydować coraz bardziej skomplikowany układ stosunków i sił, a nie same tylko komitety.



Następny szkic z tego cyklu poświęcony będzie omówieniu pierwszego z wymienionych procesów ze szczególnym zwróceniem uwagi na wytwarzające się w jego toku alternatywne wobec nomenklatury wzorce karier i mechanizmy społeczne awansu.

*Waldemar KUCZYŃSKI*

Sartrouville, czerwiec 1988 r.

## POSIEDZENIE KOMITETU HELSIŃSKIEGO W POLSCE

24 lipca 1988 roku odbyło się posiedzenie Komitetu Helsińskiego w Polsce, na którym przyjęto następujący komunikat:

W okresie trzynastu lat, jaki minął od podpisania w Helsinkach Aktu Końcowego KBWE, zmienił się stosunek opinii publicznej do problemu praw człowieka. Coraz powszechniejsze jest przekonanie, że naruszenia praw jednostki są wyzwaniem dla społeczności naszego kontynentu, gdyż godzą w wartości leżące u podstaw kultury europejskiej.

Stało się tak nie tylko za sprawą rządów, które kwestię przestrzegania praw człowieka uczyniły elementem politycznych stosunków z partnerami KBWE, ale również dzięki temu, że idea praw człowieka obudziła aspiracje i solidarność ludzi. Zrodził się ruch społeczny na rzecz praw człowieka, zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie. Ruch ten ujmuje sprawę realizacji praw człowieka nie tylko w kategoriach politycznych, lecz przede wszystkim w wymiarze moralnym. Istotą ładu, którego podstawą są prawa



człowieka, jest bowiem poszanowanie ludzkiej godności i poczucie zobowiązania do jej ochrony.

Komitet Helsiński jest inicjatywą obywatelską i przynależy do tego ruchu.

Działalność Komitetu polega przede wszystkim na informowaniu opinii publicznej oraz odpowiednich organów międzynarodowych o naruszeniach praw człowieka w naszym kraju. Informujemy o naruszeniach integralności, nietykalności osób, o przypadkach i mechanizmach upokarzającego traktowania ludzi w postępowaniu karnym, o ograniczeniach swobody wyrażania opinii i przekonań oraz dostępu do informacji, o ograniczeniach swobody zrzeszania się i udziału w życiu publicznym, o warunkach prawnych i faktycznych, w jakich działają organizacje i inicjatywy już istniejące.

Sądziimy, że obecnie powstają warunki do podejmowania, obok działalności informacyjnej, działań szerszych, zmierzających do usunięcia mechanizmów prawnych, które umożliwiają arbitralne postępowanie władz państwowych oraz do zmniejszenia represyjności prawa. Widzimy potrzebę podjęcia obywatelskich inicjatyw ustawodawczych dotyczących praw człowieka, dokonywania oceny prawa obowiązującego oraz projektowanych jego zmian, upowszechniania wiedzy o możliwościach wykorzystywania istniejących unormowań do ochrony praw indywidualnych i zbiorowych obywateli.

Komitet Helsiński współdziała i współdziałać będzie z innymi inicjatywami obywatelskimi oraz organizacjami podejmującymi sprawy obrony praw człowieka.

*Piotr Ł. J. ANDRZEJEWSKI* — prawnik, *Halina BORTNOWSKA-DĄBROWSKA* — filozof, *Jerzy CIEMNIEWSKI* — prawnik, *Janusz GRZELAK* — psycholog, *Jarostaw KACZYŃSKI* — prawnik, *Marek A. NOWICKI* — prawnik, *Jan ROSNER* — prawnik, *Stefan STARCZEWSKI* — filolog, *Andrzej STELMACHOWSKI* — prawnik, *Zofia WASILKOWSKA* — prawnik, *Janina ZAKRZEWSKA* — prawnik, *Tadeusz ZIELIŃSKI* — prawnik.

Warszawa, 24 lipca 1988 roku

## BUDOWA INTERNATU W BIAŁYM BORZE

Zwracamy się do wszystkich Polaków o poparcie dla inicjatywy naszych współbraci Ukraińców, która ma na celu ratowanie jednej z ostatnich w Polsce placówek oświatowych pielęgnujących język ukraiński.

Ukraińcy są zarówno naszymi sąsiadami jak i naszymi współobywatelami w trudnej do określenia — zapewne nie mniejszej niż 300 tysięcy osób — liczbie. Mimo setek lat wspólnej historii, obfitującej niestety nie tylko w jasne karty zgodnego współżycia, lecz i w obustronne błędy, a nawet zbrodnie — o dniu dzisiejszym Ukraińców w Polsce nie wiemy prawie nic. Nie wiemy między innymi tego, że przeważnie rozproszeni po Polsce, głównie w jej północnych i północno-zachodnich obszarach nie mają niezbędnych dla pielęgnowania swej kultury i tożsamości narodowej instytucji takich jak wydawnictwo, muzeum, instytut kultury itp. Szkolnictwo ukraińskie boryka się z ogromnymi trudnościami. W tej chwili działają w Polsce dwie załad-

wie szkoły dla młodzieży ukraińskiej (Szkoła Podstawowa nr 2 w Białym Borze i Liceum Ogólnokształcące nr 4 w Legnicy oraz paralelne klasy w Liceum Ogólnokształcącym w Górowie Howieckim). Istniejące punkty nauzenia języka ukraińskiego nie mogą zastąpić szkolnictwa.

W tak trudnej sytuacji szczególnego znaczenia nabiera sprawa internatu przy szkole w Białym Borze, zamkniętego po inspekcji BHP w 1983 roku. Stan budynku zagrażał zdrowiu i życiu dzieci. W szkole w Białym Borze uczy się głównie młodzież zamiejscowa. Bez internatu niemożliwe będzie istnienie szkoły. W roku 1984 zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Internatu przy Szkole Podstawowej nr 2 w Białym Borze, który ogłosił w środowisku ukraińskim zbiórkę pieniężną. W roku 1986 zaczęło budowę internatu, który znajduje się obecnie w stanie surowym. Fundusz Społecznego Komitetu Budowy jest prawie wyczerpany.

Pomoc ze strony społeczeństwa polskiego dla naszych sióstr i braci Ukraińców w sprawie tak ważnej dla ich kultury i tożsamości może okazać się czynem o istotnym znaczeniu dla wzajemnego zbliżenia, tak potrzebnego obu narodom. Społeczność polska, mimo że też znajduje się w ciężkich warunkach ekonomicznych, nie powinna być obojętna wobec tej sprawy. narodów.

Podajemy nazwę i numer konta:

**SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY INTERNATU,  
BANK SPÓŁDZIELCZY, BIAŁY BÓR 933340-1834-132-3.**

*Jerzy BARTMIŃSKI, Grzegorz BIAŁKOWSKI, Halina BORTNOWSKA, Andrzej DRAWICZ, Józef GIEROWSKI, ks. Leon KANTORSKI, Jan KIELANOWSKI, Stefan KIENIEWICZ, Jerzy KŁOCZOWSKI, Krzysztof KOZŁOWSKI, Marcin KRÓL, Jan Józef LIPSKI, Tadeusz MAZOWIECKI, Henryk SAMSONOWICZ, Bohdan SKARADZIŃSKI, Adam STANOWSKI, Andrzej STELMACHOWSKI, Klemens SZANIAWSKI, Jan Józef SZCZEPANSKI, ks. Józef TISCHNER, biskup Ignacy TOKARCZUK, Jerzy TOMASZEWSKI, Jerzy TURÓWICZ.*

Redakcja *Kultury* przekazała na ten cel 100.000 złotych, a Jan Nowak \$ US 20,00.



**HASKOBA Ltd.**

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU PKO  
BONY DOLAROWE -  
KONTA „A” DEWIZOWE  
Zwykłe i Telegraficzne  
LEKARSTWA - SAMOCHODY -  
ZYWNOŚĆ - TELEWIZORY - VIDEO  
EMERYTURY - SPADKI -  
REPATRIACJE**

**42 LATA DOŚWIADCZENIA  
81 Cromwell Road, London SW7 5BP  
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919**

## Sprawy i troski

### Jawność

Od dłuższego czasu zarówno w środowiskach opozycyjnych w Kraju jak i wśród „emigracji postsolidarnościowej” panuje niezdrowa atmosfera w sprawach finansowych. Koszty działalności organizacji opozycyjnych w Kraju w małym procencie pokrywane są ze składek i własnych dochodów (książki, kasety, pisma, itp.). Lwia część funduszy na tę działalność płynie z Zachodu. Niezdrowa atmosfera jest spowodowana brakiem informacji i sprawozdań (z nielicznymi wyjątkami) na co i w jaki sposób te pieniądze są wydawane, kto o tym decyduje i czy decyzje podejmowane są demokratycznie.

Jest zrozumiałe, że w warunkach konspiracyjnych jest to trudne i że trzeba być ostrożnym. Tym niemniej można i trzeba to robić.

Ilustracją tej niezdrowej atmosfery jest artykuł Roberta Pearsa zamieszczony w *New York Times*'ie z 10 lipca br., który podajemy poniżej w przekładzie. Wywołał on duże zamieszanie i poruszenie oraz komentarze w prasie światowej.

Uważamy, że jawność w sprawach finansowych jest dzisiaj niezbędna. W jednym z najbliższych numerów powrócimy do tego tematu, publikując jednocześnie możliwie pełny wykaz dotacji i występując z konkretnymi sugestiami.

Polisce zagraża nie tylko zatrucie ziemi, wody i powietrza, ale również zatrucie moralne. I to nas przeraża.

REDAKTOR

## STANY ZJEDNOCZONE POMAGAJĄ POLSKIEJ OPOZYCJI FINANSOWO I TECHNICZNIE

Waszyngton, 9 lipca. — Rząd Stanów Zjednoczonych podjął wraz z polską emigracją wielki wysiłek dopomożenia „Solidarności” i polskiemu podziemiu w przetrzucaniu do Polski publikacji, maszyn drukarskich, sprzętu radiowego i kaset video.

Publikacje to tysiące książek i czasopism bardzo krytycznych w stosunku do systemu komunistycznego i polskiego przywódcy, generała Jaruzelskiego.

Ponadto w ciągu ostatnich trzech lat Stany Zjednoczone udzieliły „Solidarności” i innym opozycyjnym wobec rządu warszawskiego ugrupowaniom pomocy w wysokości ponad pięciu milionów dolarów.

### *Podziemna siatka*

W Polsce istnieje ogromna sieć wydawnictw podziemnych, z których wiele korzysta z pomocy Stanów Zjednoczonych; przedstawiciele rządu amerykańskiego mimo to twierdzą, że w Polsce popyt na tego rodzaju publikacje znacznie przewyższa podaż. Część wspomnianych dotacji przyzraje oficjalnie Kongres. Część pochodzi od National Endowment for Democracy, prywatnej niedochodowej fundacji, której fundusze pochodzą niemal w całości od rządu federalnego i która stara się wspierać demokratyczne instytucje na całym świecie. Endowment przyznaje wszystkie dotacje w porozumieniu z Departamentem Stanu.

Część pomocy przekazywana jest tajnie za pośrednictwem polskich grup emigracyjnych w Paryżu, Brukseli i Lund (Szwecja), skąd Niezależna Polska Agencja Józefa Lebenbauma zorganizowała dziesiątki transportów ciężarówkami do Polski.

O tym, że Ameryka wspomaga „Solidarność” wiedziano ogólnikowo od kilku lat; pełny obraz roli Stanów Zjednoczonych znany jest dopiero od kilku tygodni dzięki analizie dokumentów rządowych oraz wywiadom z amerykańskimi działaczami rządowymi i polskimi emigrantami.

Władze polskie są tej działalności świadome, ale nie są w stanie położyć jej kresu. Złapały kilka ciężarówek, przewożących książki, maszyny drukarskie, kamery i granaty dymne dla podziemia. Od czasu do czasu aresztuje się drukarzy albo kolporterów zakazanej literatury i konfiskuje sprzęt. Amerykańscy urzędnicy państwowi twierdzą jednak, że nadal ukazuje się 500 do 600 podziemnych periodyków.

### *Amerykańskie fundusze dla „Solidarności”*

Pułkownik Wiesław Górnicki, doradca generała Jaruzelskiego, oskarżył w maju Lecha Wałęsę, założyciela zdelegalizowanego związku zawodowego „Solidarność”, że pobiera od rządu amerykańskiego roczny żółd wysokości miliona dolarów. Zdanie to wypowiedział w wywiadzie telewizyjnym w odpowiedzi na pytanie, czy Polska zamierza zalegalizować niezależne związki zawodowe, czego żądali gdańscy stoczniowcy.

Kongres USA przyznał „Solidarności” w lipcu ubiegłego roku milion dolarów, po czym następny milion w grudniu. Publiczne ogłoszenie tych dotacji było czymś wyjątkowym; dawniej znaczna część amerykańskiej pomocy dla opozycyjnych grup w państwach komunistycznych była przesyłana

tajnie przez Central Intelligence Agency. Ale ludzie wspomagający „Solidarność” twierdzą, że pomoc jest pod wieloma względami skuteczniejsza, kiedy jest przyznawana oficjalnie, bo trudniej ich wtedy oskarżać o to, że są agentami zachodnich wywiadów.

P. Lebenbaum, międzynarodowy koordynator Konferencji Organizacji Pomocy „Solidarności”, korzysta z siatki kurierów i szoferów do przewożenia książek, sprzętu drukarskiego, farby, sprzętu video i fotograficznego, mikrofilmów i lektorów do nich, aparatów radiowych i sprzętu elektronicznego dla opozycji w Polsce. W zeszłym tygodniu udzielił nam wywiadu, w którym stwierdził, że w zeszłym roku wysłał do Polski 32 transporty łącznej wagi blisko 10.000 funtów.

### *Dotacje National Endowment*

Agencja jego dostała w bieżącym roku od National Endowment for Democracy dotację w wysokości 42.000 dolarów, tyle samo co w zeszłym roku.

Peter J. Mroczek, prezes Solidarity Endowment, które stara się organizować pomoc dla „Solidarności” w Stanach Zjednoczonych, stwierdził, że jego grupa zdobyła ponad dwadzieścia offsetów oraz załatwiła przekazanie ich podziemnym wydawnictwom w Polsce. Ponadto — stwierdził — „zdołyliśmy aparaty nadawcze i inny sprzęt radiowy dla Radia „Solidarność”, podziemnej stacji radiowej, której sieć pokrywa całą Polskę.

P. Lebenbaum powiedział, że jego organizacja przesłała także sprzęt elektroniczny, którego członkowie „Solidarności” używali do nasłuchu radia policyjnego i do porozumiewania się między sobą, kiedy byli otoczeni przez policję albo kiedy były ucięte linie telefoniczne.

Ted L. Kontek, założyciel grupy „Friends of Solidarity” w Waszyngtonie, twierdzi, że polska prasa podziemna i sieć niezależnych wydawnictw zmusiła kontrolowane przez rząd organy informacji do ścisłej i obiektywnej informacji. „Reżym jest świadomy — dodał — że to, co będzie próbował ukryć przed narodem, zostanie ujawnione przez prasę „Solidarności”.

Z wypowiedzi niektórych polskich działaczy oficjalnych wynika jasno, że czytają prasę podziemną, a oficjalne gazety niekiedy publikują recenzje wydanych w podziemiu książek.

P. Mroczek powiedział, że jego grupa przekazywała pieniądze od National Endowment for Democracy do podziemnych wydawnictw, grup młodzieżowych, kościołów i organizacji politycznych.

*Robert PEAR*

*New York Times* z 10 lipca 1988.

## **Emigranci**

Należę do pokolenia, z którego wywodzą się najnowsi emigranci polscy rozsiani obecnie po całym świecie — w większości urodzeni, a wszyscy wyrosli w Polsce Ludowej.

W wielu moich rozmowach z rówieśnikami-emigrantami poja-

wiały się słowa bardzo mocne i bolesne, ale kryjące być może głębie przyczyn, dla których faktycznie opuścili oni Polskę — swój kraj ojczysty. „Nie tęsknię za Polską”, „bez Polski mogę się obyć”. Słowa te bolą zwłaszcza starą emigrację, dla której Polska to dom ojczysty, którego widok zawsze cieszy, a nieszczęście boli. Kiedyś starszy już wiekiem cudzoziemiec z drugiego końca Afryki z westchnieniem powiedział: „Polska musi być bardzo pięknym krajem, skoro wszyscy Polacy, jakich znam, tak za nią tęsknili”. Dla pokolenia powojennego Polska to często dom-rudera, w którym ani żyć się nie da, ani nadziei na naprawę nie ma. Słowa wyżej cytowane nie świadczą, według mnie, źle o ludziach, którzy je mówią, lecz ukazują jak głęboka i poważna jest rana, zadana swemu narodowi przez obecne państwo polskie.

Tak, jak stare pokolenie emigrantów polskich nosi w sobie żal po ojczyźnie, utraconej na skutek polityki wojennej świata, tak najnowsze — żal do ojczyzny, w której nie można żyć po ludzku. Polska-PRL po prostu boli i grozi człowiekowi — jako niepowtarzalnej, indywidualnej osobowości — zagładą. Jesteśmy emigracją protestu i samoobrony.

Według mnie przyczyny, dla których wielu ludzi z mego pokolenia — wyrosłego w czterdziestoleciu powojennym Polski — jest w stanie powiedzieć, że „bez Polski może się obyć”, że „za Polską nie tęskni”, są następujące:

1. *Pozbawienie woli, czyli naszej władzy psychicznej, wolności* (czy to na skutek nacisku zorganizowanego przez władzę, czy to przez bierne uleganie materialnym korzyściom).

Człowiek wyzuty z możliwości wolnej decyzji przestaje być — w sensie psychicznym — osobą, staje się przedmiotem. Decyzja jest tym, co stanowi wyraz autonomii osoby ludzkiej. Przez akty decyzji człowiek staje się twórcą własnej osobowości, jak i w pewnym sensie przedmiotem swego działania.

2. *Niemówność kompromisu*. Każdy człowiek ma swą granicę kompromisu. Polak ma ją tuż od skóry. Dla spadkobierców idealistów, romantyków wymuszona ugoda na dłuższą metę nie jest możliwa.

3. *Kwestia tożsamości*. Emigrant z mego pokolenia nie utożsamia siebie z Polską. Polska jest jakimś peerelem, którego do życia on nie powołał i od którego kompromitującej cywilizację narodową egzystencji się odcina.

4. *Utrata nadziei*. Utrata nadziei na taką zmianę polityki wewnętrznej kraju, która prowadziłaby Polskę-państwo ku potędze materialnej, a Polskę-duszę zbiorową ku potędze moralnej.

Cytat 1 z listu z Polski: „Czasy są smutne, przynębiające, całkowicie brak nadziei”. Cytat 2: „Wszystko się wali na łeb, na szyję. Reformy, rotacje w rządzie i 'cudowne' rozwiązania pozabawione rozumem prowadzą do tego, że za 1 \$ płaci się 1.500 zł! Cała gospodarka na głowie chodzi, a w uzdrowienie jej nikt nie wierzy. W TV, radio, gazetach 'mędracy' plotą trzy po trzy, do-

centów, generałów przybywa, a siedem lat (1980-1987) przeszło i oprócz podwyżek i straszliwej drożyzny nic się nie zmieniło. Lata stracone! A winnych nie ma!”

5. *Szarość*. Szarość w sensie brudu, niedbalstwa, niechlujstwa, niekompetencji, szarość w sensie braku kolorów, braku możliwości; szarość w sensie zmęczenia, zniechęcenia.

Cytat z listu z kraju: „Jest szarość, zazdrość, beznadziejność”.

6. *Parwениuszostwo społeczeństwa PRL*. Przedwojenne społeczeństwo polskie było społeczeństwem wiejskim. Wojennej zagładzie uległa przede wszystkim ogromna większość mieszkańców miast. Wojna i lata przewrotu dodatkowo wyniszczyły bądź wygnały z kraju olbrzymi procent inteligencji — naszej elity narodowej. Masy ludności wiejskiej napłynęły do miast. Zerwanie z tradycją swego środowiska, pochodzenia, wejście w obce swej warstwie otoczenie, niezdolność do wzięcia się w jego atmosferę i wchłonięcia jej dodatnich cech, niezrozumienie obowiązków płynących z awansu w hierarchii społecznej powoduje wykoślenie kulturalne i moralne człowieka.

Wielki procent inteligencji Polski Ludowej, zajmującej wysokie stanowiska, składa się z ludzi o uniwersyteckim wykształceniu, ale nie posiadających ani wychowania, ani kultury, ani zrozumienia swej funkcji jako elity umysłowej narodu, które upoważniałyby ją do przodującej roli w społeczeństwie.

Pokolenie moje wzrastało pośród takich parwениuszów, takiej „hołoty inteligentycznej”, „hołoty robotniczej”, „hołoty rzemieślniczej” i przysparzało jej spośród własnych szeregów.

7. *Nieznajomość czy niezrozumienie własnej, polskiej tradycji* w sensie tego, co jest w zgodzie lub niezgodzie z duchem naszego narodu, z ideą przewodnią naszej kultury, z najrdzenniejszą treścią i kierunkiem naszych dziejów.

„Bez Polski mogę się obejść”, „za Polską nie tęsknię”. Jeszcze nie tak dawno jedną z najwybitniejszych, tj. najbardziej rzucających się w oczy cech Polaka, był patriotyzm. Nasz patriotyzm był odmienny od patriotyzmu innych narodów — nie miał w sobie na przykład dumy z poczucia dosytu i bezpieczeństwa, jak u Anglików czy u Holendrów, poczucia dumy ze swej międzynarodowości. Nasz patriotyzm miał zawsze w sobie coś z cierpienia, coś z ofiary, coś z gotowości poświęcenia swego szczęścia i spokoju za ojczyznę. Dziś nasz patriotyzm jest bardzo trudny, a na angielski nas jeszcze nie stać.

Co jest właściwie ojczyzną: naród czy państwo? „Ojczyzna to poza ziemią przede wszystkim zbiorowisko ludzi poczuwających się do solidarności ze sobą oraz wspólne dzieje, wspólna kultura. Naród ustanawia państwo, które jest formą prawną jego codziennego bytu, jest szeregiem środków mogących mu zapewnić bezpieczeństwo zewnętrzne i dogodne warunki wewnętrznego rozwoju” (J. Giertych). Czyż nasza ojczyzna jest takim państwem?

I jeszcze jedno. Ażeby służyć ojczyźnie, trzeba ją kochać. Służba państwu, narodowi oparta na suchej doktrynie socjologicznej

lub na przypadku, na przykład na fackie otrzymania wysokiego stanowiska, nie jest wiele warta, gdyż nie wynika z najgłębszego rozumienia, co jest tej ojczyzny dobrem. Jakżeż trudno jest wielu z nas, wyrosłym w PRL, doszukać się ojczyzny pod czterdziestoletnim kożuchem PRL.

Cytat z listu z Polski: „Boję się po prostu o to, że dzięki usilnym staraniom co poniektórych udało się wreszcie zniszczyć wszystko, co cokolwiek w tym kraju znaczyło. To, że nie istnieje już coś takiego jak Polak-patriota, to do tego przywykłem. Ale nie ma już nawet zwykłej międzyludzkiej życzliwości czy uśmiechu. Oczywiście są tu i ówdzie enklawy innego świata, ale nie wiem czy mają szansę”. Trudno jest być dziś patriotą polskim.

Na zakończenie mych rozważań chciałabym dodać, iż myślę, że sprawy materialne, a w tym i mieszkaniowe, jako argumenty przy podejmowaniu decyzji wyjazdu z kraju najczęściej grają marginesową rolę. Sądzę, że gdyby zaśpiewał ktoś góralowi opuszczającemu dzisiejszą Polskę: góralu, czy ci nie żal?, to odpowiedziały: nie żal.

Małgorzata DZIEWIĘCKA

Maun, maj 1988

## KOMUNIKAT POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym półrocznym posiedzeniu, w dniu 4 lipca br., Dyrekcja Fundacji przyznała dalsze 42 wyróżnienia osobom zaangażowanym w ruchu kultury niezależnej w Polsce.

Wyróżnienia otrzymali:

— Aktorzy .....	7
— Dziennikarze i publicyści .....	6
— Poeci i pisarze .....	2
— Pracownicy nauki .....	3
— Pracownicy prasy i wydawnictw .....	12
— Pracownicy społeczni i oświaty .....	9
— Prawnicy .....	1
— Działacze związków zawodowych i obrońcy praw człowieka .....	2

Jednocześnie, w ramach zasad działania POLCUL FOUNDATION, przyznano 10 wyróżnień dla osób zaangażowanych w ruchu kultury niezależnej w Czechosłowacji i na Węgrzech:

W Czechosłowacji: wyróżnienia otrzymało 6 osób (dwóch historyków, filozof, dziennikarz, obrońcy praw człowieka);

Na Węgrzech: wyróżniono 4 osoby (dwóch pisarzy, dwóch dziennikarzy i wydawców).

Powyższe wyróżnienia mają zaakcentować przyjaźń i współpracę z krajami sąsiadującymi z Polską i związanymi z nią wspólnym losem.

Od początku powstania Fundacji w roku 1980 przyznano ogółem 433 wyróżnienia.



## W sowieckiej prasie

1 sierpnia br. generalny sekretarz KC KPZS Michaił Siergiejewicz Gorbaczow „odosobnił się” (tak w dawnych czasach mawiano w przypadku wysoko postawionych osobistości) celem jakże zasłużonego odpoczynku: pod koniec czerwca kierował XIX konferencją partyjną; w połowie lipca bawił w Polsce; ledwie wrócił, zwołał zebranie prezydium Rady Najwyższej ZSSR celem rozpatrzenia kwestii Górnego Karabachu; pod koniec miesiąca wygłosił na plenum KC długie przemówienie poświęcone czerwcowej konferencji partyjnej. Poza tym przyjmował zagranicznych gości, odwiedził fabrykę obuwia i spełnił niezliczoną ilość innych obowiązków; których można się tylko domyślać. Wszystko przecież spoczywa na jego i tylko jego głowie. Nie ma takiej dziedziny, w której by kto inny niż Gorbaczow proponował rozwiązania, godził przeciwników, nakłaniał do lepszej i wydajniejszej pracy, krytykował niedociągnięcia i obiecywał lepsze jutro. Najważniejsze, żeby widziano i słyszano tylko jego. Miejscowi eksperci i zachodnia prasa daremnie dokładają starań, aby stworzyć mu przeciwwagę, godnego przeciwnika, „numer dwa”. Jegor Ligaczow, którego usilnie windują na pozycję „drugiego”, otwiera usta tylko wtedy, kiedy gospodarza nie ma w domu. Na konferencji partyjnej Ligaczow dał do zrozumienia, że jest „w rezerwie partii” — ale nic ponadto.

Telewizja, która nadaje wybrane fragmenty konferencji partyjnej i zjazdu prezydium Rady Najwyższej, pokazała widzom zaskakująco pewnego siebie generalnego sekretarza, wyraźnie pragnącego skupić całą władzę w swoich rękach, przerywającego mówcom w pół słowa, poprawiającego ich, rozmawiającego ponad ich głowami z Narodem.

Osią wydarzeń ubiegłych dwóch miesięcy była XIX konferencja partyjna. Przygotowywano się do niej od dawna, stopniowo podgrzewając atmosferę: wybory delegatów, tu i ówdzie spory wokół wyborów, głosy w prasie, że wybrano nie tego, kogo nale-

zało, potem słynny list „Niny Andriejewej” uznany za „platformę antyreformatorską” i replika *Prawdy*, następnie ogłoszenie tez i ogólnonarodowa dyskusja nad nimi.

Wreszcie nadszedł dzień 28 czerwca 1988 i otwarcie XIX konferencji partyjnej. Spektakl zorganizowano z rozmachem: przemówienia bywały ciekawe, sala zaniosta się wesołym śmiechem, kiedy jeden z mówców przypomniał, że o ile na XVII konferencji zaproponował delegatom, żeby w ramach walki z biurokracją po powrocie do domu podarli każdy po pięć cyrkularzy, to teraz proponuje, żeby zaczęli drzeć pasy z biurokratów, sala nie dała dokończyć przemówienia naczelnemu redaktorowi pisma *Znamia*, Grigoremu Bakłanowowi, sala podzieliła się na dwie partie przy „niespodziewanym” przemówieniu byłego sekretarza moskiewskiej organizacji partyjnej, Borysa Jelcyna. Spróbuję z tego wszystkiego wyłuskać najważniejsze — moim zdaniem — elementy.

Przede wszystkim stwierdzono, że po trzech i pół latach *piერიestrojki* w gospodarce nie zaszły żadne zmiany na lepsze. Wyrok wydał dyrektor instytutu ekonomii Akademii Nauk, akademik Leonid Abałkin: „Należy z całą mocą podkreślić, że w gospodarce nie zaszedł radykalny przełom i że nie wyszła ona ze stagnacji”. Na dowód akademik stwierdził, że nadal usiłuje się rozwiązywać problemy „drogą czysto organizacyjnych posunięć i decyzji”. W swym drugim (po głównym przemówieniu) referacie Gorbaczow zarzucił Abałkinowi „ekonomiczny determinizm i w ogóle niedocenianie *piერიestrojki*”.

Krótki (siłą rzeczy) referat akademika Abałkina zawiera tylko ogólnikowy zarys powodów, dla których *piერიestrojka* niczego w gospodarce nie daje. Szczegółową analizę stanu sowieckiej gospodarki po wszystkich szumnych „ustawach” i „uchwałach” zawiera artykuł Wasyła Selunina w lipcowym numerze *Znamia*. Wasilij Selunin, specjalista od spraw gospodarczych, pisał sobie spokojnie w *Socialistycznej indusrii* i nikt poza fachowcami o nim nigdy nie słyszał. W toku ostatnich trzech lat znalazł się w czołówce publicystów sowieckich. W artykule zatytułowanym „Przyczyny” (*Znamia* nr 5/1988), o którym wspominałem już w jednym z przeglądów, jako pierwszy i dotychczas jedyny autor dopuszcza, że całe zło zaczęło się nie za Stalina, a może nieco wcześniej, za Lenina. Jego obecny artykuł nosi tytuł „Głęboka reforma czy rewanż biurokracji?” i zawiera taką oto tezę: strategia ekonomiczna Gorbaczowa, „strategia przyspieszenia” (Selunin nazywa ją „strategią Aganbegiana” od nazwiska ekonomisty, który często zabierał głos w latach 1985-1987) nie dała i nie da niczego. Selunin pisze: „Albo przyspieszenie, rozumiane jako zwiększenie objętości produkcji, albo przebudowa gospodarki. *Tertium non datur*, więc tak czy siak przyjdzie wybierać”. Zdaniem Selunina zwiększanie produkcji — główny cel sowieckiej gospodarki — nie ma sensu, bo produkuje się buble. Selunin posuwa się nawet do świętokradczego twierdzenia, że jeśli obecny plan pięcioletni nie zostanie zrealizowany (co wydaje mu się oczywiste), to tym lepiej: „będziemy uważać, że uratowaliśmy

surowce, zamiast je zmarnować na produkowanie rzeczy zbędnych". Z Seluninem zgadzają się w pełni dwaj inni znani dziś autorzy, prof. dr ekonomii Gawrił Popow i dr ekonomii Nikołaj Szmielew (ich artykuły widnieją w tym samym numerze *Znamia*). Nawet dr ekonomii Otto Łacis, zastępca naczelnego redaktora pisma *Kommunist*, choć nie we wszystkim zgodny z Seluninem, przyznaje, że porażka *pieriestrojki* w gospodarce jest widoczna gołym okiem.

Uczestnicy konferencji partyjnej sporo mówili o krachu sowieckiej gospodarki, o bezskuteczności wydanych ustaw i oporze biurokracji. Wszystko to jest powszechnie wiadome i wszystkim stoi kością w gardle. Związłe wyraził to delegat z obwodu tulskiego, W. A. Starodubcew: „Ludzie przestali wierzyć, ludzie przestali pracować”. W XIX wieku socjaliści marzyli o potężnej broni proletariatu, strajku powszechnym. Robotnicy założyli ręce, turbiny staną i kapitaliści skapitulują, oddadzą władzę przodującej klasie. Utopijne marzenie o strajku powszechnym zostało dziś urzeczywistnione w pierwszym na świecie państwie socjalistycznym: cały naród założył ręce.

Pada więc słynne pytanie: co robić? Gorbaczow odpowiada — i taki jest najważniejszy wniosek z konferencji — zreformować „nasz system polityczny”. Kto poza zajadłymi wrogami *pieriestrojki* nie przykłaśnie takiej reformie? Tym bardziej, że *glasnost'* pozwala odpowiedzieć na drugie słynne pytanie — kto winien? Kazachski poeta i znany działacz Ołżas Sulejmienow przytacza w obszernym artykule list od telewizja: „*Glasnost'* obraca się dziś głównie przeciwko kierownictwu... Odnosi się wrażenie, że na przywódców patrzy się jak na wrogów” (*Literaturnaja gazeta* nr 28 z 13 lipca br.). Reforma systemu politycznego powinna zatem obrócić się przeciwko kierownictwu. Nic w tym dziwnego. Kiedy Lenin przed śmiercią postanowił zostawić testament, zaczął go od zalecenia pod adresem XII zjazdu partii: „przeprowadzić na tym zjeździe szereg zmian w naszym ustroju politycznym”. Było to w grudniu 1922 roku, mniej więcej pięć lat po październikowym puczu bolszewickim. Lenin dyktował swe ostatnie myśli, przypominał, że należy koniecznie ograniczyć władzę jego przyszłych następców. Ponieważ nie sądził, by ktokolwiek mógł go w pojedynkę zastąpić, wódz rewolucji zaproponował, by wybrać do KC pięćdziesięciu do stu robotników „prosto od maszyny”, zupełnie ciemnych w polityce, żeby ci, obdarzeni prawdziwym proletariackim instynktem, zastąpili drogę biurokratom.

Leninowską propozycję można tłumaczyć chorobą. Gorbaczow proponuje metodę nie mniej zaskakującą, choć mającą więcej sensu, w każdym razie z jego punktu widzenia. Ku zaskoczeniu delegatów — tezy niczego takiego nie zawierały — Gorbaczow zaproponował, żeby „sekretarzy komitetów partyjnych polecać na

---

1. Sowiecki naród, który przestał pracować, ale spędza niemało czasu na oglądaniu w telewizji meczów piłki nożnej i hokeja, zadaje trzecie pytanie, nieznanne sowieckim klasykom: kto wygrywa?

stanowiska przewodniczących rad". Propozycja ta była tym bardziej niespodziewana, że przed konferencją i nawet już w jej toku mówcy sugerowali, że należy koniecznie oddzielić funkcje partyjne od administracyjno-gospodarczych. Najdziwniejsze jest jednak to, że Gorbaczow uzasadniał swoją propozycję tą samą koniecznością rozdzielenia funkcji. „Coraz większe skupienie funkcji gospodarczo-administracyjnych w rękach kierownictwa partyjno-politycznego stało się charakterystyczne”, powiedział. Nie jest to żadną tajemnicą. Zresztą Lenin oświadczył na X zjeździe partii w 1921 roku: „Należy odgrodzić aparat partyjny od aparatu państwowego”. Znaczenie słów „odgrodzić” i „oddzielić” wydaje się oczywiste. Tymczasem okazuje się, że wszyscy zapomnieli, na czym polega słynna leninowska dyalektyka. Kiedy Lenin na początku wieku budował swoją partię, tłumaczył: zanim się zaczniemy łączyć i po to, aby się połączyć, musimy się najpierw podzielić.

Gorbaczow idzie tropem Lenina: aby rozdzielić funkcje partyjne od państwowych, trzeba je połączyć. W osobie sekretarza przewodniczącego. Stworzyć unię personalną między partią a radami. Polityczna reforma Gorbaczowa przewiduje budowę nowej piramidy władzy: na szczycie jej stanie Wódz, którego głowę wieńczyć będzie zarazem kaszkiet generalnego sekretarza i kapelusze przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR.

Doktor praw B. Kuraszwili opatrzył tytuł swego artykułu „Sekretarz i przewodniczący w jednym ciele” podtytułem „Paradoks kumulacji funkcji celem rozdzielenia funkcji” (*Izwiestia* z 22 lipca br.) Zaiste, jest to paradoks. Pamiętam, że kiedy w dzieciństwie po raz pierwszy napotkałem to nieznanne słowo, znalazłem w słowniku definicję: „paradoks — pozorny nonsens”. Jeśli zapomnimy o wychodzącej z mody „dialektyce”, to „paradoks” rzeczywiście najlepiej pasuje do reformy Gorbaczowa.

Jej powody są jasne. Nie przypadkiem Lenin w 1922 mówił, że trzeba zmienić ustroj polityczny. Grzech pierwotny komunizmu leżał w strukturze maszyny politycznej, którą wódz rewolucji zaczął budować po przejęciu władzy. Władza należała do partii. W 1921 roku Lenin stwierdzał kategorycznie: „Powinniśmy wiedzieć i pamiętać, że cały prawny i rzeczywisty ustroj Republiki Sowieckiej opiera się na tym, że partia wszystkim kieruje, o wszystkim decyduje i wszystko buduje w myśl jednej zasady”. Niczego innego nie mówił i Stalin: zalegalizował tylko tę zasadę, wpisując ją w konstytucję ZSSR. Poza partią istniał jednak i istnieje aparat państwowy. Na czym polega jego władza? Jaki jest stosunek tych dwu aparatów i dwu władz? Lenin rozwiązał ten problem prosto: był wodzem partii jako jej założyciel oraz oficjalnym szefem rządu. Obie władze — rzeczywista (partii) i formalna (rządu) spoczywały w jego rękach. Stalin dopiero w 1941 roku zjednoczył obie władze w swoim ręku: zostając generalnym sekretarzem, objął także kierownictwo rządu. Chruszczow zdobył pełną władzę (oba stanowiska) w 1958 roku, pięć lat po śmierci swego poprzednika. Kiedy plenum KC obaliło Chruszczowa, zakazano kumulowania obu najwyższych sta-

nowisk w jednym ręku. Rzecz jednak w tym, że generalny sekretarz (w owym czasie był nim Breżniew) musi skupiać obie władze w swoim ręku. Breżniew znalazł wyjście: w 1977 roku wybrał się przewodniczącym prezydium Rady Najwyższej. Potrzebował na to dwunastu lat! Andropow został po sześciu miesiącach niemal automatycznie przewodniczącym prezydium. Odnotujmy dla historii, że deputowany do Rady Najwyższej Michaił Siergiejewicz Gorbaczow zaproponował to samo w odniesieniu do kolejnego generalnego sekretarza, Czernienki. Sprawa ta widocznie leżała Gorbaczowowi na sercu, kiedy w 1978 roku był w Moskwie i robił wielką karierę.

Wróćmy do „reformy” Gorbaczowa i jego propozycji podczas konferencji partyjnej. Generalny sekretarz zaproponował to, co robili wszyscy jego poprzednicy: zjednoczenie obu władz w rękach generalnego sekretarza. Zapomnijmy o tłumaczeniu, że ma to służyć rozdziałowi władzy: to „paradoks Gorbaczowa”, jego „intymna cecha”. Zastanówmy się raczej, do czego zmierza. Otóż zażądał dla siebie władzy, jakiej formalnie nie miał żaden z jego poprzedników. Sowiecka konstytucja nie przewiduje jednoosobowej władzy państwowej. Funkcję tę pełni kolektywnie prezydium Rady Najwyższej ZSSR w osobie przewodniczącego i jego piętnastu zastępców. Ta szesnastka jest kolektywnym prezydentem ZSSR. Gorbaczow zaproponował wybranie generalnego sekretarza na przewodniczącego nie prezydium, ale samej Rady Najwyższej, i oddanie w jego ręce przygotowywania ustaw, nadzoru nad programem społeczno-ekonomicznym, polityki zagranicznej, obrony, bezpieczeństwa, mianowania premiera itd., itp.

Ta zaskakująca propozycja, ten niepohamowany apetyt tak zaskoczyły uczestników konferencji, że na 5.000 delegatów 209 otwarcie głosowało przeciw. Jest to oczywiście dowód demokracji, ale prawdą też jest, że Gorbaczow nie zdobył jeszcze pełnej władzy...

Czego by nie myśleć o reformatorskiej działalności Gorbaczowa, jedno jest pewne: nie odznacza się ona odkrywczością. Wszystkie jego propozycje zostały już wypróbowane. Pomysł zjednoczenia partii i sowietów zastosował Stalin. Pod koniec lat 40-tych pierwszy sekretarz moskiewskiego i obwodowego komitetu partii G. M. Popow był równocześnie przewodniczącym rady moskiewskiej. W 1949 roku Stalin usunął go za — jak wówczas mawiano — „zbytne zamiłowanie do władzy”: Zbędne dawać, że tow. Popow nie przydzielił sobie sam trzech stołków. Można podejrzewać, że Stalin zrozumiał, jak wielką władzę może zapewnić kumulacja stanowisk partyjnych i państwowych i wolał nie mieć u swego boku człowieka, który zbyt wiele mógł.

Propozycję Gorbaczowa przyjęto. Unia personalna zostanie wprowadzona na wszystkich szczeblach. Konkubinat partii i państwa przekształci się w zalegalizowany związek małżeński. Partia-państwo pod przewodnictwem sekretarza-przewodniczącego uzyska sankcję prawną. W przemówieniu Gorbaczow podkreślił sens tej reformy: „Nie rezygnujemy z kierowniczej roli partii w państwie. Przeciwnie, chcemy ją wzmocnić...”.

Czytając materiały z konferencji nie mogłem się opędzić dziwnemu wrażeniu, że delegaci i Gorbaczow mówili o zupełnie innych rzeczach. Oni — o konkretnych bolączkach, dolegliwościach, wadach systemu, a on — tylko o władzy. Wypada zadać naiwne pytanie: po co mu władza? Gorbaczow odpowiada na to tak samo jak wszyscy jego poprzednicy: po to, aby zrealizować reformy i doprowadzić narody ZSSR do rajy na Ziemi. Ataki na przeciwników *periestrojki* i wadzących jej biurokratów uzasadniają konieczność samodzierżawia. W ten sposób powstaje kwadratura koła: dla przeprowadzenia reform potrzebna jest władza, a dla zdobycia władzy — reformy. Tam, gdzie wódz zdobył już pełną władzę — jak np. Castro albo Żiwkow — żadne reformy nie są potrzebne.

Wypada dodać, że prócz nieszczęsnego G. M. Popowa istnieje jeszcze inne wcielenie systemu, jaki proponuje Gorbaczow, mianowicie Ceausescu. Ceausescu jest dokładnie tym, czym będzie Gorbaczow w kwietniu przyszłego roku: głową partii i państwa.

Naród sowiecki mógł zakosztować, kim będzie przyszły gospodarz, obserwując, jak prowadził zebranie prezydium Rady Najwyższej poświęcone Górnemu Karabachowi. Generalny sekretarz wtrącał się, przerywał przemówienia, nakazywał, pouczał i całkowicie ignorował przewodniczącego prezydium, Gromykę. Wyniki zebrania też są wymowne: wszystko pozostaje — na razie — po starem. Autonomiczny obwód Górnego Karabachu stanie się być może — kiedyś — autonomiczną republiką, ale na razie Aruir Ajrikian, autor bluźnierczej idei, by Armenia wystąpiła ze Związku Republik Sowieckich, został przewieziony z erywańskiego więzienia do moskiewskiego, a stamtąd do bratniej Etiopii. Tam pozwolono mu za pośrednictwem amerykańskiego poselstwa opuścić blok sowiecki. Sołżenicyna deportowali do Niemiec Zachodnich, Bukowskiego do Szwajcarii, Ginzburga do USA, a Ajrikiana do Etiopii. Zachodzące zmiany zaiste dają do myślenia...

Gorbaczow mówi szybciej niż ktokolwiek zdoła go przeczytać. Pisząc tylko o nim, wystawiłbym na próbę cierpliwość czytelników. Na szczęście sowieckie czasopisma pełne są i innych materiałów. Szczególnie zainteresował mnie wywiad z podpułkownikiem milicji Aleksandrem Gurowem, opublikowany w *Literaturnoj Gazecie* pod tytułem „Lew skoczył” (nr 29 z 20 lipca br.). Tytuł sensacyjny, a treść jeszcze bardziej. Gustaw Herling-Grudziński przestanie wreszcie pyszczyć się mafią sycylijską i neapolitańską *camorra*. Mamy już własną, sowiecką mafię. Aleksander Gurow jest nie tylko podpułkownikiem milicji, ale i ekspertem od zorganizowanej przestępczości w ZSSR, autorem pracy magisterskiej oraz przyszłym autorem doktoratu o mafii w ZSSR. Gurow waha się nieco co do terminu: sowiecka mafia nie nosi — jego zdaniem — wszystkich znamion klasycznej mafii. Znamion tych jest trzy: po pierwsze — wspólnota przestępcza o wyraźnej strukturze i hierarchii (szef albo grupa szefów, kasiarze, łącznicy, ludzie od mokrej roboty, od wywiadu i kontrwywiadu); po drugie jest to wspólnota stworzona z myślą o systematycznym

przestępczym biznesie. Po trzecie wspólnota przestępcza przeraża się w mafii tylko w skorumpowanym otoczeniu — musi być związana z przedstawicielami aparatu państwowego, którzy są na służbie przestępców. Dwa elementy zabraniają Gurowowi utożsamiać „naszą sowiecką mafie” z mafią zachodnią: „zachodnie są ponadnarodowe i ustawicznie usiłują zalegalizować swoje kapitały, tworząc nie tajnych, „jak u nas”, a całkowicie legalnych milionerów”. Ale nie tracmy nadziei: sowiecka mafia nawiązuje już — przyznaje ekspert — międzynarodowe kontakty, a po drugie rodzący się obecnie w ZSSR ruch „spółdzielczy” jest doskonałym instrumentem „wybielania” pieniędzy mafii.

W wywiadzie Gurowa najciekawsza jest część historyczna. Przez długie lata spierałem się z zachodnimi historykami o charakter państwa sowieckiego. Dziś nawet podpułkownik milicji nie wątpi, że Stalin zbudował państwo totalitarne. Najbardziej przekonującym argumentem jest dla niego fakt, że w latach stalinowskich nie istniała zorganizowana przestępczość, bo państwo totalitarne niczego takiego nie dopuszcza. Gurow dodaje — jest to dziś oklepane porównanie — że „jak wiadomo, i Hitler, i Mussolini wykorzystali w swoich państwach zorganizowaną przestępczość”. Pierwsze symptomy istnienia sowieckiej mafii datują się — zdaniem Gurowa — z czasów, „kiedy zaczął poprawiać się mechanizm gospodarczy, tzn. z epoki Chruszczowa”. Ale średnia wysokość strat była wówczas śmieszna — powiada Gurow — półtora do dwóch milionów rubli w RSFSR, tyle, ile dziś wyrabia rocznie sprawny włamywacz. Powiedzmy szczerze: czyż może być wymowniejszy dowód na to, jak wzrosła stopa życiowa narodu sowieckiego?!

„W latach 60-tych — pisze dalej Gurow — można było mówić o poszczególnych znakach istnienia mafii. W latach 70-tych stała się zjawiskiem społecznym”. Narodziła się „rodzima mafia”.

W latach 50-tych, kiedy dano mi okazję oglądać z bliska świat przestępczy, doszedłem do wniosku, że w ZSSR istnieją dwie partie, partia komunistyczna i partia zawodowych złodziei, „złodziei z honorem”, jak sami siebie nazywali. Sądząc po świadectwie Gurowa, obecna mafia, wchłonawszy „złodziei z honorem”, zaczyna konkurować z partią komunistyczną. Ta „druga partia” także zwołuje zjazdy, także jest ściśle scentralizowana i dysponuje, co najważniejsze, znacznymi kapitałami, pozwalającymi jej przekupywać działaczy „pierwszej” partii.

Po krótkim rysie historycznym Gurow zaznajamia czytelników z geografią mafii. Jej ośrodki znajdują się w Moskwie, Leningradzie i przede wszystkim na południu ZSSR. „Południe — to nasze Klondike”. Na przykład w Uzbekistanie udało się przekupić całe bez wyjątku kierownictwo partyjne włącznie z pierwszym sekretarzem KC. Z miast Ukrainy szczególnie zdeprawowane są Kijów, Lwów, Odessa, Donieck i Dniepropietrowsk. Gurow pisze, że „teraz środowisko przestępcze postawiło sobie za punkt honoru kontrolowanie małych miasteczek. W obwodzie moskiewskim to Bałaszycha, Lubiery, Puszkiń, Oriechowo-Ziejewo”.

Autorzy przyszłych powieści kryminalnych o sowieckiej mafii

dostrzegą chyba, że podobnie jak w innych dziedzinach, rodzimi *mafioso* biorą przykład ze zgniętego Zachodu, tyle że są o kilkadziesiąt lat spóźnieni w stosunku do bieżącej mody. Gurow opisuje okazałe pogrzeby zmarłych na polu walki *mafioso*: „Aż trudno było uwierzyć, że to wszystko dzieje się w Związku Sowieckim w 1987 roku [rzecz działa się w Lubiercach pod Moskwą — A.K.]. Wyміęte, nisko naciągnięte na oczy kapelusze na wzór Borsalino, białe oficerki na wysokich obcasach, papieros w kąciku ust. Było ich koło setki i z pięćdziesiąt kobiet...”.

Czyż można jeszcze mieć wątpliwości, że pierwszy w świecie Kraj Rad wreszcie stał się państwem jak każde inne?! Wątpliwości mogą się zrodzić już tylko przy lekturze powieści typu „Sanitariusz”, ogłoszonej w *Znamia* nr 6/1988. Nieznany mi autor powieści, Aleksander Wielikin, opisuje życie i pracę lekarza pogotowia ratunkowego. Dawno już nie czytałem tak przerażającego opisu zwykłego, codziennego życia lekarzy i chorych, braku lekarstw i najprostszycy instrumentów, brudu, bezwstydnego łapówkarstwa niższego personelu i bezsilności lekarzy. Żaden normalny, nawet mało rozwinięty kraj nie obywa się bez lekarstw, lekarzy, ani bez szpitali i najniezbędniejszych produktów (robotnica moskiewskiej fabryki obuwia, którą odwiedził Gorbaczow 27 lipca br., poskarżyła się, że dzień w dzień traci na zakupy żywności dwie, albo i trzy godziny).

Dopóki *glasnost* służy walce z przywódcami, których nie lubi generalny sekretarz, wszystko jest w porządku. Można jednak zapytać, do czego doprowadzą prawdziwe relacje o prawdziwym życiu sowieckim w prasie, jeśli nic się nie poprawia i nic nie wskazuje na to, by się w przewidywalnym terminie poprawiło? W sowieckich niewiarygodnie trudnych warunkach dało się żyć dopóty, dopóki gazety, książki, wykłady i przemówienia tworzyły miraż szczęśliwego życia, o którym można było pomarzyć. Ale żyć w tych warunkach i czytać o nich w prasie i literaturze wydaje się na dłuższą metę nie do wytrzymania.

Adam KRUCZEK

12 sierpnia 1988

## Kronika niemiecka

Wśród ok. 30 (!) mniej lub bardziej regularnie ukazujących się pism niezależnych w NRD na uwagę zasługują zeszyty poświęcone problemom ochrony środowiska naturalnego — *Umweltblätter*. Bez wątpienia najgłośniejszym tytułem był *Grenzfall* — obecnie — po wydaleniu w styczniu br. szeregu opozycjonistów, pismo to przestało wychodzić. W jego miejsce pojawił się *Kontext* wydawany przez Grupę Roboczą Berlin-Treptow (Plesserstrasse 34, DDR-1193 Berlin). Drugi zeszyt pisma, wydany w kwietniu br.,



zawiera dyskusje wokół dokumentu podpisanego wspólnie przez przedstawicieli zachodnich socjaldemokratów i wschodniemieckiej SED, przedruk szkicu Burlackiego o Chruszczowie z lutowego wydania *Literaturnoj Gazety* oraz teksty literackie. Oszerbne opracowanie dotyczące niezależnej prasy w NRD, zatytułowane *Grenzfall. Umweltblätter i inne*, pióra György Lososa, ukazało się w niezależnym obiegu na Węgrzech. Ostatnio ukazał się pierwszy numer pisma *Arche Nova* — poświęconego również problemom ekologicznym i społecznym. Z redakcją skontaktować się można za pośrednictwem Carlo Jordana: Fehrbelliner Str. 7, DDR — Berlin 1054. Tel.: 281 92 45.

Wśród ruchów niezależnych w NRD zwraca uwagę grupujący kilkuset członków ruch anarchistyczny, odwołujący się m.in. do tradycji Bakunina i Kropotkina. Wschodniemieccy anarchiści (pismo: *mOArnigstar*) wydali w dwóch tomach (technika fotograficzna) książkę Daniela Guérin — *Anarchismus. Begriff und Praxis (Anarchizm. Zasady i praktyka)*. ■ *Orbis i Wagon-Lits* po kilkunastu latach pośrednictwa w załatwianiu wiz do RFN, zawiesiły tę działalność. Powód: powtarzające się od jakiegoś czasu „nagminne niedotrzymywanie przez dział wizowy ambasady RFN terminów załatwienia spraw”. Szacuje się, że już kilkadziesiąt tysięcy Polaków nie wyjechało z kraju z powodu zablokowania tej współpracy. ■ W Krakowie odbyło się *Międzynarodowe Biennale Grafiki. Jury XII MBG* przyznało *Grand Prix* Markowi Jaromskiemu (Polska) ■ Zachodniobrzeńska *Inicjatywa Wolność dla ludzi myślących* zorganizowała spotkanie *Polska po strajkach*, w czasie którego sytuację w PRL omówił Leszek Szaruga. W dyskusji wzięli udział także Jacek Bocheński oraz przebywający na stałe w Berlinie Zachodnim germanista oraz szeregu opracowań na temat NRD — Andrzej Stach. ■ *Episkopat Polski* popiera przewód beatyfikacyjny ks. Karła Leisniera z Westfalii, który zmarł w 1945 roku, zaraz po opuszczeniu hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Dachau. Współwięzień, obecny biskup Szczecina (Kamień), Kazimierz Majdański, złożył w Watykanie odpowiednie dokumenty w tej sprawie. ■ Notatka tygodnika *Pravo i Życie* za rok 1987: „Niektóre wycieczki do Włoch, RFN czy Danii wracają zdekompletowane w 50-70%, a bywa, że do kraju przyjeżdża tylko pilot. Połowa tych co pozostali, legitymuje się wyższym lub średnim wykształceniem. Za granicą zostało m.in. 11 tys. inżynierów, 3,5 tys. lekarzy, 4 tys. pracowników naukowych, 10 tys. studentów i 36 tys. techników. ■ Ceny samochodów produkcji wschodniemieckiej w Polsce: *Trabant „S”* — 750 tys. zł; *Wartburg 353 „S”* — 1.600 tys. zł. ■ Podczas spotkania Jaruzelski-Honecker we Wrocławiu omawiano kwestię rozgraniczenia wód w Zatoce Pomorskiej: „Obie strony stanęły na stanowisku swobodnego, wolnego, niczym nie skrzepowanego dostępu polskich portów do otwartego morza”. Co innego Jerzy Urban w *Polityce*: „Kwestia Zatoki Pomorskiej jest bardzo delikatna. (...) Im mniej tutaj emocji opinii publicznej i rozgłosu, tym lepiej dla sprawy. Każda publikacja w *Polityce* wywołałaby kontrapublikacje w prasie NRD, uczyniłaby spór publicznym. (...) Rozgłos byłby wyraźnie szkodliwy, wręcz wiązałby ręce stronom podczas rozpatrywania sprawy”. Inaczej mówiąc rewizjoniści wschodniemieccy podnoszą głowę... ■ *Vorwärts*, organ zachodniemieckich socjaldemokratów (*SPD*), od jesieni br. będzie sprzedawany w Sowietach. Wiecznie deficytowy tygodnik podniósł w związku z tym nakład do 50 tys. egzemplarzy. „Zielone światło” w tej sprawie dał osobiście Gorbaczow. ■ Przeszto w PRL wspominać o budowie elektroni Szczerców k/Bełchatowa i o nowej odkrywce. Jedyną pamiatką po nich są stojące beczynnie zakupione na kredyt zachodniemieckie spycharki. ■ Krajowe pismo *Sprawy i Ludzie*: „Ostrożnie szacunki przyjmują, że ok. 10-20% jeżdżących po Polsce samochodów, pochodzących z tzw. prywatnego importu, to samochody kradzione na Zachodzie”. ■ Eduard Merian, obecnie lektor literatury i języka polskiego *Uniwersytetu im. Karola Marxa* w Lipsku, odnalazł archiwum *Societas Jabla-*

wiana (założone w 1774), które uważano za bezpowrotnie przepadłe. Prezesem Towarzystwa jest absolwent krakowskiej slawistyki, Heinz Schuster-Sewc. ■ Polska *Galerie Cezary* (Aachener Str. 402, D-5000 Köln 41) wystawia prace polskich i niemieckich artystów oraz biżuterię artystyczną.

■ *Klub im. Juliusza Miroszewskiego* zorganizował w Monachium spotkanie i dyskusję z udziałem Teresy Torañskiej — autorki *best-sellera* „Oni” (wydany już w 17-tu językach!). Torañska opowiadała o koncepcji rozmów z byłymi prominentami, o tym, jak oni obecnie żyją — w całkowitej niemal izolacji społecznej, bez większych trosk materialnych (renty partyjne); nie kontaktują się z ekipą rządzącą już od czasów Gierka. Dyskultanci w *Klubie* wyrażali pewne wątpliwości co do metody przyjętej przez autorkę. Głównie ze względu na to, że *best-seller* „Oni” dał ludziom współodpowiedzialnym za zbrodnie szansę publicznej obrony ich racji. Ale wszyscy zgadzali się, że dzięki Torañskiej świat władzy komunistycznej został przybliżony czytelnikowi. ■ W *Galerii Centrum Kulturalnego* w Mannheim odbył się wieczór autorski przebywającego w tym mieście polskiego stypendysty, poety Lothara Herbsta. ■ W monachijskim *Klubie im. J. Miroszewskiego*: spotkanie z dr Wojciechem Lamentowiczem, b. wykładowcą *Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR*, współtwórcą „struktur poziomych” w partii, obecnie — bezpartyjnym pracownikiem naukowym na *Uniwersytecie Warszawskim*. Dr Lamentowicz wygłosił w *Klubie* prelekcję nt. *Niestabilność pełna nadziei — uwagi o sytuacji politycznej Polski*, w której za najtrudniejszy problem uznał brak alternatywnych programów politycznych i społecznych. Tworzonych przez opozycję. Tydzień później: spotkanie z pisarzem, Jackiem Bocheńskim, autorem m.in. *Boskiego Juliusza*, który był współtwórcą pisma *Zapis*; czytał on w *Klubie* fragmenty swej nowej książki pt. *Stan po zapaści*, wydanej przez podziemne wydawnictwo NOWA. ■ W 1982 roku PRL przesała udzielać dotacji wydawnictwu *Rochus-Verlag* w Düsseldorfie (opanowanym przez zachodniemieckich komunistów). Propagandowa oficyna wznowiła obecnie działalność pn. *Verlag Deutsch-Polnische Gesellschaft der BRD*, z siedzibą w Bielefeld. Wydano już kilka opracowanych w Polsce broszur i trzy numery pisma *Polen und wir (Polska i my)*. Wydawnictwo planuje rozprowadzanie polskich książek na terenie Republiki Federalnej. ■ W ub. roku z *Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP)* wystąpiło 4 tys. członków. *DKP* liczy obecnie zaledwie 38 tys. członków. ■ Gerd Meyer i Franciszek Ryszka wydali we *Franche Verlag Tübingen* — *Die politische Kultur Polens (Polityczna kultura Polski)*. ■ Koncern *Daimler-Benz* przyznał 20 mln marek na odszkodowania dla zatrudnionych tam w czasie wojny robotników przymusowych. *Życie Warszawy* w pokrętny sposób przyznaje, że i koncern *IG Farben* „przekazał trudne do odtworzenia sumy” dla robotników wywiezionych do Rzeszy na przymusowe roboty. Część wypłacono nowojorskiej organizacji *Jewish Claims Conference*, ale spore sumy przekazano do PRL (pisałmy na ten temat w tej rubryce kilkakrotnie). Co stało się z tymi pieniędzmi? ■ *Klub Polski* w Hamburgu zmienił adres. Obecny adres brzmi następująco: Margaretenstrasse 29, D-2000 Hamburg 6, Tel.: 040/430 18 15. Podobno przy *Klubie* działa *SPK, ZPU (Okręg I)* i *Polsko-Amerykański Komitet Emigracyjny (P.A.I.R.C.)*. Może dowiemy się czegoś bliższego na temat działalności *Komitetu Emigracyjnego* w Hamburgu. ■ W *Villa Merkel* w Esslingen otwarto wystawę — *Polskie malarstwo od 1945 roku*. Zaprezentowane prace pochodziły głównie ze zbiorów państwowych zgromadzonych w Bydgoszczy. Ekspozycję otworzył Lothar Späth, premier rządu krajowego Badenii-Wirtembergii. ■ Bp Nossol z diecezji polskiej wypowiedział się za celebrowaniem mszy św. również w języku niemieckim, szczególnie na Śląsku: ludność w województwie opolskim jest wychowana dwujęzycznie i przesiąknięta wzajemnymi wpływami kulturalnymi. Antagonizmy zaznaczyły się dopiero w okresie *Kulturkampf* u i w czasach nazis-

towskich. Później tożsamość ludności Śląska była źle traktowana. ■ *Ideologia i polityka (KC PZPR)* w nr II/1988 z uporem twierdzi, że w Berlinie Zachodnim kolportowane są periodyki *Zapis* i *Opinia*. Oczywista dezinformacja: *Zapis* przestał wychodzić w 1981 roku a *Opinia* skończyła żywot nieco wcześniej. Dla *Ideologii i polityki* „tygodnik” *Pogląd* („bazujący na materiałach *Wolnej Europy*”) jest finansowany przez Amerykanów za pośrednictwem RFE. Partyjne pismo informuje czytelników, że zachodnioblerlińska Grupa Robocza „Solidarność” rozprowadza miesięcznik *Przekazy*. Gwoli prawdy trzeba przypomnieć, iż wymienione pismo przestało się ukazywać z powodu trudności finansowych przed ok. pięciu laty. Z artykułu zatytułowanego *Zachodnioblerlińskie instytucje dywersji ideologicznej* dowiadujemy się ponadto, że w mieście tym działa... *Ruch Społeczno-Polityczny POMOST*. W ten sposób przeniesiono tę organizację z Chicago nad Szprewę. Jednocześnie autorzy artykułu (Tadeusz Grotowski i Henryk Szczerbiński) wyrażają zaniepokojenie: „Niezależnie od konfliktów między poszczególnymi ugrupowaniami wszystkie jednoczą się wokół organizowania demonstracji i akcji protestacyjnych, przede wszystkim przed siedzibą *Polskiej Misji Wojskowej*”. ■ *Federalne Ministerstwo d/s Stosunków Wewnętrzniemieckich* finansuje podróże młodych Niemców do Polski i zamierza to czynić na jeszcze większą skalę. ■ *Europejska Akademia* w Otzenhausen urządziła niemiecko-polskie kolokwium — *Die Bundesrepublik Deutschland und die Volksrepublik Polen im internationalen Mächtesystem (Republika Federalna Niemiec i PRL między mocarstwami)*. Każdą ze stron reprezentowało po 12 specjalistów w dziedzinie nauk politycznych. Organizacją zajmował się zastępca kierownika *Akademii* — dr Heiner Timmermann, przy współudziale *Union Stiftung* z Saarbrücken. Podstawę dyskusji stanowiło 7 referatów (m.in. prof. Helmuta Wagnera — *Sowiety i Republika Federalna Niemiec*). Podjęta została także problematyka europejska. Niestety i tym razem dojść można było do wniosku, że współczesna polska myśl europejska ciągle znajduje się w ślepych zaułku; wśród polskich naukowców dominował typowy prowincjonalizm myślenia. ■ W Carlsbergu (Palatynat) odbyło się walne zebranie tzw. *Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów (ChSWN)*, na którym dokonano wyboru nowego zarządu. Prezsem został Andrzej Piwarski (Essen), sekretarzem — Anna Fajkowska. Funkcję doradcy duchowego objął ks. Czesław Nowak (Carlsberg). Ostatnio *ChSWN* urządziła *Marsz Wyzwolenia Narodów* (słaba frekwencja). Adres kontaktowy: *Polnischer Klub* (dla *ChSWN*), *Fliederstrasse 40, D-4600 Dortmund 1*. ■ Na tegorocznych *40 Międzynarodowych Targach Książki* we Frankfurtu n/Menus (5-10 października) wystawiać będzie 7.456 oficyn z 92 krajów. Zgłosiły swój udział także polskie wydawnictwa emigracyjne, m.in. *Instytut Literacki* (Paryż) i *Polonia Book Fund Ltd.* (Londyn).

Andrzej J. CHILECKI

#### ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM

*B.D. (Kolonia, RFN):* Uchwała *Stalej Konferencji Ministrów i Senatorów d/s Wewnętrznych Krajów Związkowych* z 3 kwietnia 1987 roku istnieje zaledwie „na papierze”. *Urzędy d/ Spraw Obco krajowców* mają swoje wewnętrzne okólniki (sprzeczne z Konstytucją RFN), nakazujące utrudnianie na wszelki sposób udzielania pobytu tolerowanego (*Duldung*) Polakom i Węgom. Policja niemiecka doskonale wie, że w chwili obecnej dalsza emigracja do USA, Kanady, Australii czy Afryki Południowej (w ciągu jednego roku) jest praktycznie niemożliwa. Również niemożliwe jest otrzymanie z biur imigracyjnych zaświadczeń stwierdzających szanse petenta na

wyjazd do któregoś z krajów zamorskich. Reasumując: Osoby, które przybyły do RFN po 1 maja 1987 roku, w wypadku otrzymania negatywnej odpowiedzi z *Urzędu Federalnego d/s Uchodźców* nie mogą liczyć na tzw. pobyt tolerowany (*Duldung*), innymi słowy — mogą być deportowane.

A. J. Ch.

## Kronika czeska i słowacka

Pavel Wonka, który zmarł w więzieniu w Hradcu Kralovem w tydzień po ponownym uwięzieniu 24 kwietnia, został pochowany 6 maja w Vrchlabi. W pogrzebie wzięło udział ponad dwa tysiące osób. Śmierć Pavla Wonki skłoniła Kartę 77 do wystąpienia do czechosłowackiego parlamentu z żądaniem rewizji czeskiej praktyki sądowniczej i czeskiego sądownictwa. ■ 2 maja br. zmarł w Ostrawie w wieku 55 lat sygnatariusz Karty 77, pisarz Jaromir Savrda. W 1968 roku zaangażował się po stronie reformistów w ostrawskim dzienniku *Nova svoboda* i tamtejszej rozgłośni. Od lat siedemdziesiątych pisał wyłącznie dla praskiego samizdatu, a wydawał we własnym wydawnictwie *Libri prohibiti*. Za wydanie *Soustrouí Gulag* skazany został w 1978 na dwa i pół roku więzienia, mimo ciężkiej choroby (od 1975 roku na rencie inwalidzkiej z powodu gruźlicy). Po odsiedzeniu całego wyroku i osiemnastu miesiącach na wolności znów znalazł się w więzieniu, tym razem za wydanie poematu Twardowskiego *Torkin na onom světie*, który wcześniej ukazał się w oficjalnym wydawnictwie! Tym razem wyrok opiewał na 25 miesięcy. Jego poczcie więzienne *Cestovní deník* i *Druhy sešití deníku* wydane zostały także przez monachijskie wydawnictwo *Poezie*. W chwili śmierci J. Savrda pracował nad poematem *Ruženec Jerzyho Popieluszka*. ■ 13 maja br. zmarł w Pradze inny sygnatariusz Karty 77, dr Zdeněk Urban (lat 67). Od początku niemieckiej okupacji był członkiem komunistycznego ruchu oporu, po wojnie został działaczem politycznym (był m.in. ambasadorem ČSR w Finlandii). Wykluczony w latach siedemdziesiątych z partii, pracował od tego czasu jako portier i stróż nocny. ■ 14 maja br. o drugiej po południu w praskiej restauracji *U české koruny* rozpoczęło się IV Forum Karty 77, w którym uczestniczyli trzej rzecznicy Karty oraz około pięćdziesięciu jej sygnatariuszy z różnych miast Czechosłowacji. Dwadzieścia minut później do lokalu wkroczyli funkcjonariusze bezpieczeństwa, którzy przerwali zebranie, sfilmowali jego uczestników i rozwieźli ich do różnych komisariatów w całym mieście. Mimo tego zebrani sygnatariusze Karty 77 zdolałi uchwalić komunikat w którym wyrazili poparcie dla niezależnych inicjatyw w ZSSR, Polsce i na Węgrzech. ■ Karta 77 i Niezależne Ugrupowanie Pokojowe zorganizowały w Pradze w dniach 17-19 czerwca pierwsze międzynarodowe seminarium pokojowe *Praha 88*. Oprócz gospodarzy wzięło w nim udział kilkudziesięciu działaczy ruchów pokojowych z siedemnastu krajów, w tym z Polski, Węgier i Jugosławii. Jednym z najważniejszych wniosków, przyjętych podczas obrad, była propozycja utworzenia swego rodzaju międzynarodowego parlamentu ruchów pokojowych, Europejskiego Zgromadzenia Pokoju i Demokracji z siedzibą w Pradze. Uczestnicy seminarium zażądali także uznania przez władze pięciu krajów Układu Warszawskiego, które dokonały agresji na Czechosłowację w 1968 roku, że był to czyn sprzeczny z prawem międzynarodowym. ■ Ostatnio nadeszły z Cze-

chosłowacji wieści, iż po raz pierwszy od prawie trzydziestu lat siostram zakonnym pozwoli się na wykonywanie czynności takich jak np. opieka nad chorymi w szpitalach. Jednocześnie zniszczony ma zostać zakaz przyjmowania kandydatów do nowicjatu. Uchylony ma być także *numerus clausus* ograniczający liczbę kandydatów na studia w seminariach duchownych. No i w końcu — jak oznajmił w Bonn Vladimir Janku, sekretarz stanu do spraw Kościoła — Praga może wyrazić zgodę na nominację trzech nowych biskupów (niedawno diecezja praska otrzymała dwóch biskupów pomocniczych, a Trnava swego zarządcę). Rząd czechosłowacki — zdaniem Janku — jest w zasadzie gotów do rozwiązania problemu nieobsadzonych diecezji, choć niekoniecznie poprzez nominacje biskupów.

A. M. P.

## Kronika białoruska

Cztery nieformalne kluby młodzieżowe: „Tutejszyja” — „Tutejsi”, „Talaka”, „Niam’ga” i „Galina”, grupujące patriotyczną młodą inteligencję białoruską, zorganizowały 1 listopada 1987 roku, na placu Janka Kupały w Mińsku, święto „Dziadów”. Wzięło w nim udział około 200 osób, w tym wielu dobrze znanych przedstawicieli inteligencji twórczej. Podczas uroczystości czytano fragmenty utworów narodowego wieszcza Janka Kupały oraz wiersze członków klubu „Tutejszyja”. Głównym tematem publicznych wypowiedzi były represje podjęte przeciwko Białorusinom w latach 1930-tych, po zakończeniu okresu białorusenizacji i poparcia dla komunizmu narodowego. W publicznych wystąpieniach wspomniane represje określano mianem „ludobójstwa” i wzywano do zidentyfikowania wszystkich odpowiedzialnych za „zbrodnie” tego okresu. Zebrani wystosowali apel wzywający do ujawnienia prawdy o przeszłości oraz opublikowania „wszystkich nazwisk nie tylko ofiar lat represji, ale także osób odpowiedzialnych za te zbrodnie” i uznania ich „przestępcami, ze wszystkimi konsekwencjami, jakie to za sobą pociąga”. W apelu domagano się także „zagwarantowania, że w pełni znane będą podstawowe mechanizmy, które umożliwiły na oczach całego narodu przekształcenie jego najlepszych synów we „wrogów”, a pozostałych w „sterroryzowane masy”.

W dzienniku *Sowieckaja Bielorusija*, organie KP Białorusi, zamieszczono 17 listopada obszernie sprawozdanie z przebiegu nieoficjalnego święta „Dziadów”. Autor reportażu, A. Maisenia, nie tylko wyraził swoje poparcie dla tego rodzaju zgromadzeń, ale również podkreślił wagę powiedzenia „całej gorzkiej prawdy o tych strasznych dniach, które stanowiły ciemną kartę w dziejach Białorusi”.

29 grudnia 1987 roku w *Sowieckoj Bielorusi* ukazał się artykuł Walentina Pepelajewa atakujący personalnie organizatorów manifestacji pierwszego listopada. Anatolij Sys, pracownik Białoruskiego Radia i Telewizji oraz działacz klubu „Tutejszyja”, został skrytykowany za to, iż twierdził, że polityka ludobójstwa w latach trzydziestych skierowana była również przeciw Białorusinom. Pepelajew zarzucił też Sysowi, iż widzi na historię swego narodu w okresie jego przynależności do Związku Sowieckiego tylko w kategoriach „represji” i „tragedii”, a pozytywnie wyraża się jedynie o ludziach, którzy przeciwstawiali się władzy sowieckiej.

Pisarz Konstantin Tarasau, znany z wystąpień w obronie języka białorus-

kiego i pracujący w tygodniku Związku Pisarzy Białorusi *Literatura i Sztuka*, został zaatakowany za to, iż zrobił aluzję do „Armii Białoruskiej”, która w okresie rewolucji walczyła przeciw bolszewikom w obronie białoruskiej niepodległości. Tarasau dopuścił się także twierdzenia, iż „największą tragedią białoruskiej historii” było „zjednoczenie z Rosją pod koniec osiemnastego stulecia”.

Trzecim obiektem ataku Pepelajewa był Piotr Sadouski, kandydat nauk filologicznych wykładający w Mińskim Instytucie Pedagogicznym, biorący również aktywny udział w kampanii na rzecz praw języka białoruskiego. Naraził się on dociekaniami, dlaczego straty sowieckie w czasie drugiej wojny światowej były tak wysokie w porównaniu ze stratami niemieckimi. Sadouski twierdzi także, że ludzie oddający swe życie na wojnie paradoksalnie umożliwili dalsze występowanie negatywnych zjawisk w życiu sowieckim.

O dalszej działalności „Tutejszyja” dowiadujemy się z artykułu opublikowanego 18 grudnia ubiegłego roku w tygodniku *Literatura i Sztuka*.

10 grudnia klub zorganizował swój pierwszy wieczór literacki w mińskim „Domu Literaturnym”. Wzięło w nim udział około dwunastu młodych twórców i wszyscy zakończyłoby się dobrze, jak pisze *Literatura i Sztuka*, gdyby wieczór nie miał swej drugiej części, wychodzącej całkowicie poza ramy literatury. Okazało się bowiem, że odczytano apel „Tutejszych” do wszystkich nieformalnych grup działających na terenie Białorusi o zorganizowanie wspólnego zebrania. Na domiar złego na koniec wieczoru odśpiewano utwór Bagdanowicza „Pagonia” („Pogoń”), który dla patriotycznej młodzieży stał się, według *Literatury i Sztuki*, rodzajem hymnu. Wiersz ten przypomina dawne dzieje Białorusi i potępia tych, którzy sprzedali swą ojczyznę.

Białoruskie rewindykacje objęły teraz również przypomnianie tradycji własnej państwowości. Przejawem tego ostatniego dążenia jest symboliczny spór o prawo Białorusinów do własnego historycznego herbu, dobrze znanego Polakom „Pegonii”, która jest również herbem Litwy.

Prasa partyjna publikuje artykuły potępiające używanie tego emblematu jako rzekomo symbolu „nacjonalizmu i pełzania przed obcymi panami”. Działacze białoruscy natomiast walczą o prawo do „Pegonii”. We wspomnianym już numerze *Literatury i Sztuki* ukazał się artykuł Titoua, wykładowy w Mińskim Instytucie Kultury. Stwierdził on, że uznanie „Pegonii” za herb przez twórców Białoruskiej Republiki Ludowej w 1918 roku oraz przez innych nacjonalistów białoruskich, nie powinno czynić z niej tabu, ponieważ „była ona oficjalnym emblematem od samego początku formowania się narodu białoruskiego”.

Artykuł Titoua uzupełniają fragmenty zbiorowego listu przedstawicieli białoruskiej inteligencji, która również broni prawa do używania historycznego herbu i domaga się uczciwego podejścia do narodowych dziejów.

Nil Hilewicz, przewodniczący Związku Pisarzy Białorusi, w wystąpieniu wygłoszonym na listopadowym posiedzeniu zarządu tej organizacji potępił wprowadzenie w roku 1933 zmian do ortografii białoruskiej, które zbliżały ją do pisowni rosyjskiej. Zmiany te wyrządziły „prerażające szkody” językowi białoruskiemu.

25 grudnia *Literatura i Sztuka* zamieściła list pisarza Pawła Prudnikowa, w którym wylicza on, że za czasów Stalina zamordowano trzy razy więcej białoruskich pisarzy, niż zginęło ich z rąk niemieckich w czasie drugiej wojny światowej. Dlatego też Prudnikow domaga się, by ofiary Stalina upamiętnić w podobny sposób, jak ofiary hitleryzmu: nazwać ich imionami ulice i umieścić tablice pamiątkowe na domach, w których mieszkali.

*Literatura i Sztuka* opublikowała list A. Piotrowicza, w którym autor domaga się by ulicom Mińska nadawać nazwy upamiętniające pisarzy białoruskich, a nie obcych.

Po czterech latach cenzura dopuściła do publikacji w *Izwiestiach Akademii Nauk SSSR* artykułu językoznawcy Walentyna Steciuka na temat po-

chodzenia języka białoruskiego i ukraińskiego. Steciuk neguje urzędową w ZSSR teorię, wedle której białoruski i ukraiński wyodrębniły się z języka staroruskiego, którego kontynuacją jest współczesny język rosyjski. Autor broni tezy o samodzielnym rozwoju białoruskiego i ukraińskiego, które podobnie jak pozostałe języki słowiańskie wyodrębniły się z języka prasłowiańskiego. Steciuk zalicza też białoruski i ukraiński do języków zachodniosłowiańskich (razem z polskim, czeskim, słowackim itp.), a nie do wschodniosłowiańskich, jak przyjmowano dotychczas.

Na Białorusi publikuje się rocznie 8.500 książek w języku rosyjskim o łącznym nakładzie 55 mln egzemplarzy i 400 książek w języku białoruskim o łącznym nakładzie 4,5 mln egzemplarzy. Nielepiej przedstawia się sytuacja prasy białoruskiej. Przykładowo: białoruskojęzyczny organ Związku Pisarzy Białorusi *Połymia* ma 7-tysięczny nakład, a jego rosyjskojęzyczny odpowiednik *Nieman* — 117-tysięczny. Rosyjskie czasopismo dla dzieci *Zorka* osiąga milionowy nakład, natomiast *Pianier Białorusi* — 115 tysięcy. Rosyjska popołudniówka *Wieczernyj Minsk* ukazuje się w nakładzie 240 tysięcy, a jej białoruski odpowiednik w nakładzie 2 tysięcy. Podobne proporcje istnieją w wypadku pozostałych gazet, o ile w ogóle mają one dwa wydania.

*Połymia* prenumerują 552 osoby, podczas gdy sam Związek Pisarzy Białorusi liczy 400 członków.



Na Białorusi wprowadzono w tym roku kartki na cukier. Norma wynosi 1 kg miesięcznie na osobę.

Józef DARSKI

## BIAŁORUSKIE ZRZESZENIE STUDENTÓW (BZS)

5 maja br. do wydziału społeczno-administracyjnego Urzędu Miejskiego miasta stołecznego Warszawa wpłynął wniosek o wpisanie do rejestru stowarzyszeń Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. Jak wynika z w/w wniosku oraz deklaracji założycielki BZS, uchwalonej 26 marca 1988 w Białymstoku, celem Zrzeszenia jest:

1. Rozwijanie aktywności społecznej, kulturalnej i naukowej białoruskiej młodzieży w Polsce.
2. Działanie na rzecz pogłębienia postaw tolerancji, poszanowania i rozwijania tradycji narodowej.
3. Rozwijanie przyjaznych stosunków między młodzieżą białoruską i polską.
4. Popularyzacja kultury białoruskiej w polskim środowisku akademickim.

Członkami Komitetu Założycielskiego są: Krystyna Gawryluk (germanistka UW), Jerzy Grygoruk (MEL PW), Alina Jakimiuk (geografia UW), Jerzy Kalina (historia Filia UW w Białymstoku), Aleksander Karpiuk (historia FUW), Jerzy Leszczyński (geografia UW), Danuta Moroz (pedagogika FUW), Jolanta Panfiluk (filologia białoruska UW), Alicja Pietruczuk (prawo UW), Jan Pleskowicz (prawo UW), Bogdan Simonienko (WT FUW), Walenty Sielwiesiuk (historia sztuki UW), Eugeniusz Wappa (histo-

ria UW), Elżbieta Wawrzyniuk (polonistka FUW), Mikołaj Wawrzyniuk (historia UW).

O poparcie dla tej inicjatywy KZ BZS zwrócił się w liście do Samorządów Studeckich, senatów i rektorów uczelni, z których pochodzą członkowie BZS.

25 maja br. przedstawiciel KZ BZS — J. Leszczyński wystąpił na posiedzeniu Senatu UW, informując zebranych o celach i głównych zadaniach Zrzeszenia. Rektor Białkowski w imieniu Senatu wyraził poparcie dla BZS-u, deklarując jednocześnie pomoc w razie potrzeby.

*Serwis Informacyjny nr 27, Warszawa 1 czerwca 1988.*

**W A W E L**  
**PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**  
 w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG**  
**KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556



## Ci, co odeszli

### Alojzy Mazewski

Przedwczesna śmierć Alojzego Mazewskiego zamyka znamienny w dziejach Polonii Amerykańskiej okres rozwoju jej działalności. Mazewski był uznanym i szanowanym na najwyższych szczeblach rządu i Kongresu Stanów Zjednoczonych przywódcą Polonii i rzecznikiem interesów społeczeństwa polskiego.

Alojzy A. Mazewski urodził się 5 stycznia 1916 roku w North Chicago. Jego ojciec, Feliks, przybył do Stanów Zjednoczonych mając 14 lat. Matka — Harriet z domu Konieczny — urodziła się w Chicago Heights. Studia prawnicze ukończył w 1940 roku na Uniwersytecie De Paul w Chicago. Z wyjątkiem 4-letniej przerwy na służbę wojskową w latach 1940-1944 Mazewski prowadził kancelarię adwokacką i brał czynny udział w działalności organizacji polsko-amerykańskich. We wrześniu 1967 roku został wybrany prezesem Związku Narodowego Polskiego, a w 1968, na zjeździe w Cleveland (Ohio) — prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Nie sposób ocenić w krótkim wspomnieniu całości Jego działalności. Ograniczamy się więc do kilku najbardziej charakterystycznych zagadnień, ilustrujących wszechstronność Jego zainteresowań:

— Przeprowadzenie w Kongresie Stanów Zjednoczonych ustawy o przyznaniu opieki lekarskiej i szpitalnej weteranom polskim I i II wojny światowej, na równi z weteranami amerykańskimi.

— Pomyślnie zabiegi o powiększenie reprezentacji duchowieństwa polonijnego w hierarchii Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych, w proporcji do ilości polsko-amerykańskich wiernych.

— Nominacje Amerykanów polskiego pochodzenia na wysokie stanowiska w lokalnych, stanowych i federalnych urzędach oraz propagowanie udziału w życiu politycznym Ameryki szczególnie młodszych pokoleń Polonii.

— Ustanowienie specjalnej komisji — Consortium for Huma-

nities and Arts Programming — której celem jest propagowanie osiągnięć kultury polskiej zarówno wśród Polonii, jak i przede wszystkim społeczności amerykańskiej.

Są to aspekty działalności Alojzego Mazewskiego w sprawach dotyczących Polonii Amerykańskiej. Natomiast w zakresie spraw krajowych Kongres Polonii Amerykańskiej w czasie Jego prezury był w bezwzględnej opozycji do reżymu komunistycznego w PRL i prowadził politykę pomocy dla społeczeństwa polskiego i jego walki o wolność, niepodległość i sprawiedliwość społeczną.

— W 1972 roku KPA poparł udział Stanów Zjednoczonych w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, która miała miejsce w Helsinkach, a która w swej końcowej deklaracji ustanowiła zasadę międzynarodowego nadzoru przestrzegania praw ludzkich i obywatelskich przez jej sygnatariuszy. Zainteresowanie KPA w wykonywaniu zobowiązań helsińskich, szczególnie przez władze PRL, znalazło wyraz w udziale prezesa Mazewskiego w delegacji Stanów Zjednoczonych na kolejne konferencje poświęcone przeglądowi i ocenie wykonania zobowiązań w Madrycie, Genewie, Ottawie, a ostatnio w Wiedniu.

— Nałożenie przez prezydenta Reagana, w wyniku konsultacji z kierownictwem KPA, sankcji ekonomicznych na PRL w odpowiedzi na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce w grudniu 1981 roku.

— Podjęcie programu pomocy charytatywnej dla narodu polskiego, w ramach którego artykuły żywnościowe, pożywki dla niemowląt i dzieci, nasiona i sprzęt rolniczy, a w ostatnich latach przede wszystkim lekarstwa i wyposażenie medyczne o ogólnej wartości ponad 115 milionów dolarów zostały przekazane do dyspozycji Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski.

— Wobec pogłębiającego się kryzysu gospodarczego, postępującego zanieczyszczenia środowiska naturalnego i niewydolności służby zdrowia w PRL, zagrażających zdrowiu społeczeństwa, poczynając od 1984 roku KPA zabiega o stopniowe znoszenie sankcji i przyjęcie Polski, na członka Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, umożliwiających uzyskanie pomocy kredytowej, uwarunkowanej nie tylko wiarygodną reformą systemu ekonomicznego, ale i politycznego przez doprowadzenie do uwierzytelnionego przez autorytety społeczne porozumienia narodowego (warunki dotąd przez władze PRL nie spełnione).

— Konsekwentne poparcie Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki, Narodowej Fundacji dla Rozwoju Demokracji (National Endowment for Democracy) oraz specjalnych dotacji Kongresu Stanów Zjednoczonych dla NSZZ „Solidarność”.

Tylko grono najbliższych współpracowników Mazewskiego może ocenić Jego codzienny wysiłek. Setki konferencji na szczeblu Białego Domu, Krajowej Rady Bezpieczeństwa, Departamentu Stanu i Kongresu Stanów Zjednoczonych; tysiące rozmów telefonicznych; konsultacje wewnętrzne; opracowywanie memoriałów i innych dokumentów — oto ogrom pracy i poświęcenia, który czeka na podsumowanie. A przy tym prezes Mazewski był człowiekiem niezwykle uczynnym, otwartym i życzliwym dla każ-

dego, kto się z nim zetknął — czy był to dygnitarz, czy szary człowiek spośród społeczności polonijnej.

Miałem przywilej nieomal codziennej, roboczej współpracy z Nim i Jego śmierć odczuwam nie tylko jako stratę przywódcy, ale także przyjaciela i cennego doradcy w niełatwej pracy na niwie organizacyjnej i społecznej.

Kazimierz LUKOMSKI

Wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej



W nowojorskim *Nowym Dzienniku* ukazał się bardzo wnikliwy artykuł poświęcony śp. Alojzemu Mazewskiemu, pióra: Bolesława Wierzbianskiego, redaktora i wydawcy *Dziennika*. Przedrukujemy poniżej kilka ustępów z tego artykułu:

... „Kiedy wybitny człowiek i przywódca żyje i działa wśród nas, jego obecność traktujemy jako coś oczywistego. Uświadamiamy sobie boleśnie znaczenie i rolę, jaką spełniał, dopiero kiedy odchodzi na zawsze. Tak się też stało, kiedy z Chicago nadeszła wiadomość, że zmarł Alojzy A. Mazewski, wieloletni prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i Związku Narodowego Polskiego.

Naraz zdaliśmy sobie sprawę, że był postacią wiążącą nas w jedną całość, w społeczność polsko-amerykańską, niezależnie od poglądów, jakie wyznajemy i od tego, jakimi drogami chodzą nasze zainteresowania. Tę wiążącą rolę mógł odgrywać tylko człowiek wielkiego autorytetu moralnego i politycznego, jakim był Alojzy Mazewski. (...) Z jego odejściem uświadamiamy sobie, że jesteśmy masą rozproszoną na przestrzeni ogromnego kraju, jakim są Stany Zjednoczone i że tylko postać formatu zmarłego prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej może nas jednoczyć i utrzymać poczucie wspólnoty.

Alojzy Mazewski wywodził się z Polonii. Miał więc pełne zrozumienie jej znaczenia i roli w życiu amerykańskim; znał ograniczenia przed nią stojące. Rozumiał jej ambicje jako jednej z najliczniejszych grup etnicznych i widział jej niedocенienie. Starał się temu zapobiegać. Sam, stojąc na czele najliczniejszej polsko-amerykańskiej organizacji, jaką jest Związek Narodowy Polski, miał poczucie wewnętrznej siły; dzięki niej był równorzędnym członkiem amerykańskiej elity. (...) Pozostał w grupie polskiej, wierny tradycjom swego ojca, działacza niepodległościowego legionowego Komitetu Obrony Narodowej (KON). Być może mógł sterować Polonią w innym kierunku, ale znając ją do głębi, oceniał ją realistycznie i opierał swoją działalność na takich środkach, jakie od niej otrzymywał. Pozostaje po nim luka ogromna, co napawa nas nie tylko smutkiem, ale i niepokojem”. (...)

Bolesław WIERZBIANSKI

## AMBROISE JOBERT, HISTORYK I PRZYJACIEL POLSKI

Ambroise Jobert urodził się 8 lipca 1904 roku w Grenoble. Zmarł w swym rodzinnym mieście w ostatnich dniach maja 1988 roku. Uczeń E. Perriena i J. E. Esmonina, studiował w Lyonie; następnie wykładał w Instytucie Francuskim w Warszawie w latach 1927-1930. Tu właśnie rozpoczął pisanie swojej rozprawy, stanowiącej pomnikowe dzieło francuskiej polonistyki, pt. *La Commission d'Education Nationale en Pologne, 1773-1794, son oeuvre d'instruction civique* (I.E.S., Paris 1941; przekład polski: *Komisja Edukacji Narodowej w Polsce 1773-1794*, „Ossolineum”, 1979). Po napisaniu kolejnej pracy dotyczącej Oświecenia, pt. *Magnats polonais et physocrates français 1767-1774*, Ambroise Jobert rozpoczął studia nad kontaktami religijnymi i kulturowymi w Europie Wschodniej od wicku XVI do XVII. Jako specjalista w dziedzinie przenikania i ścierania się różnych wyznań na tym wielonarodowościowym obszarze, potrafił wydobywać przejawy porozumienia i tolerancji ponad konfliktami pomiędzy prawosławiem, katolicyzmem i protestantyzmem. Wynikiem jego studiów było kolejne dzieło: *De Luther à Mohyla, la Pologne dans la crise de la chrétienté 1517-1648* (I.E.S., Paris 1974). Dzieło to winno stać się punktem wyjścia do wszelkich tak modnych i licznych dziś rozważań o źródłach i walorach Unii Brzeskiej.

Profesor na uniwersytecie w Grenoble w latach 1945-1969, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Poznańskiego, autor wielu artykułów i rozpraw, Ambroise Jobert jest jedną z najbardziej zasłużonych postaci w dziejach francusko-polskich stosunków kulturalnych.

Daniel BEAUVOIS

## Wolna trybuna

### Współrzędzić czy konspirować?

*„... Od zaciskania pasa — do czego przywykliśmy aż zanadto przez lata komunistycznego bałaganu i niesprawiedliwości — lepsze jest zaciskanie pięści...”*

Kornel Morawiecki

Z artykułem redakcyjnym w *Kulturze* (patrz Obserwatorium nr 6) traktującym o sytuacji w Polsce w czasie fali strajków kwietniowo-majowych w pełni się zgadzam, a jako człowiek od lat blisko obserwujący, bądź bezpośrednio uczestniczący w mechanizmach 'gier politycznych w Polsce, chciałbym podzielić się uwagami na ten temat.

Od końca 1983 roku dwa różne ośrodki mające wpływ na sprawę polską — Episkopat oraz kręgi w USA kształtujące politykę na tym odcinku — poważnie rozważały jakąś formułę wyjścia z sytuacji wynikłej po stopniowym odwoływaniu stanu wojennego. Kościół cofnął bezpośrednie poparcie dla „Solidarności” jako organizacji, badając jednocześnie możliwości zachowania i podtrzymania tego, co było z punktu widzenia Kościoła najważniejsze. Mianowicie: przesunięcie się dość zlaicyzowanej inteligencji w kierunku Kościoła, przechwycenie rozbudowanej aktywności społecznej i skierowanie jej na inicjatywy związane z szeroko pojętą ziemską działalnością Kościoła; wzmocnienie bazy materialnej i rozbudowywanie kręgów ekspertów związanych z Kościołem lub pracujących dla niego; przygotowanie ewentualnych kadr do inicjatyw społeczno-gospodarczych jak fundacje, towarzystwa edukacyjne itp.

Sferę polityczno-społeczną związaną z „Solidarnością” zaczęto przekształcać w zespół symboli i wartości ukierunkowanych na świadomość kulturowo-narodową i społeczną w rozumieniu nauki Kościoła, czyli niezbyt precyzyjną w sferze faktów i czynności. W tym celu rozszerzono formuły pracy duszpasterskiej (duszpasterstwa ludzi pracy, akademickie, oazy itp.). To wszystko miało

na celu odciążenie najbardziej aktywnych grup w „Solidarności” od nurtu „lewicowego” (korowskiego), a w szczególności od nurtów radykalnych (np. „Solidarność Walcząca”).

Szczególnie istotna była sprawa kontroli nad poczynaniami przewodniczącego „Solidarności” Lecha Wałęsy.

Konsekwencją przyjęcia powyższych założeń była polityka kreowania Lecha Wałęsy na postać o wymiarze przekraczającym, poziom pracy bieżąco-organizacyjnej przy równoczesnym niedopuszczaniu do możliwości utworzenia bez niego wiarygodnej grupy kierowniczej „Solidarności”.

W polityce USA Polska jest widziana jako część bloku sowieckiego i dlatego w stosunku do niej nie ma jakiegś odrębnej polityki. Nie oznacza to jednak, że sytuacja w Polsce nie jest obserwowana w USA i że politykom amerykańskim jest obojętne co się w Polsce dzieje. Na realne interesy w tej strefie (a więc utrzymanie równowagi w Europie) nakładają się takie sprawy, jak problem praw człowieka, zaangażowanie kapitału amerykańskiego (zachodniego), ewentualnie reakcje czołowych przedstawicieli Polonii i polskiej emigracji politycznej. Do połowy 1983 roku w polityce USA w stosunku do Polski dominowały czynniki polityczne, tzn. chęć osłabienia pozycji ZSSR poprzez otwarte poparcie antyreżymowych działań w Polsce i propagandowe wykorzystanie represji przeciw „Solidarności” i opozycji do osłabienia ortodoksyjności komunizmu w świecie. Trzymano wysoko sztandar praw człowieka i utrzymywano tzw. sankcje (które polegały na braku przywilejów). Po wizycie Papieża w Polsce nastąpiło rozdwojenie. Grupa dyplomatyczna z Departamentu Stanu (której interesy reprezentuje m.in. Jan Nowak) zaczęła sondować możliwość zmiany polityki w stosunku do Polski z myślą o stabilizacji sytuacji politycznej, ekonomicznej i społecznej w PRL poprzez takie czy inne uznanie ekipy Jaruzelskiego za w miarę cywilizowany rząd (wycofanie sankcji, nawiązanie normalnych stosunków dyplomatycznych, gospodarczych i kulturalnych). W tym celu zorganizowano intrygę z udziałem sekretarza ambasady oraz doradców „Solidarności” reprezentowanych przez Bronisława Gernka w celu skłonienia Wałęsy do podjęcia działań na rzecz zniesienia sankcji. Jednak inne ośrodki polityki amerykańskiej stordedowały ten plan i sprawa przycichła. Niewątpliwie dowództwo wojskowe w Waszyngtonie, Departament Skarbu i Biały Dom miały lepsze rozeznanie w sytuacji i nie zamierzały dawać prezentu Moskwie. Sprawa jednak zaistniała i było tylko kwestią czasu, kiedy się zaktualizuje. Ten stan chwiejnej równowagi między dwiema koncepcjami stosunku polityki USA do PRL został przedłużony decyzją zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki — wydaną przez resort generała Kiszczaka (koniec 1984 — do początku 1986).

W tym czasie zaszły pewne zauważalne zmiany w układzie światowym, polegające z jednej strony na zdecydowanym wyprzedzeniu przez Zachód bloku komunistycznego w sferze technologicznej, a z drugiej strony na zwiększonym zainteresowaniu USA bliżej nieokreśloną formułą odprężeniową. Sprzyjało tym

tendencjom. zapoczątkowanie przez nowego sekretarza KPZS Gorbaczowa procesu reform (tzw. *pieriestrojki*) oraz naturalna tendencja ekipy Reagana do jakiegoś spektakularnego zakończenia ośmioletniej kadencji prezydenckiej wielkim politycznym aktem na rzecz pokoju. W tym samym czasie władze PRL postanowiły aresztować zlokalizowanego i obserwowanego już od jesieni 1985 (ok. 8 miesięcy) Zbigniewa Bujaka, by w ten sposób nie dopuścić do zjazdu działającej w konspiracji „Solidarności”. Wówczas kręgi kościelne (sekretarz Episkopatu biskup Dąbrowski i ks. Orszulik) wspólnie z doradcami „Solidarności” rozpoczęły kulturalową grę mającą na celu doprowadzenie do rozwiązania podziemnych struktur „Solidarności” w zamian za uwolnienie Bujaka (rozmowy w tej sprawie prowadzili m.in. Jacek Kuroń z Kiszczakiem i Geremek z Rakowskim w sierpniu 1986; pisałem o tym w sierpniowym numerze *Solidarności Walczącej* — oddział Trójmiasto z 1986 roku). Do realizacji tej koncepcji przystąpiono już we wrześniu 1986 roku, uwalniając Bujaka i jego kolegów, którzy utworzyli jawną reprezentację związku (TRS) w celu pomniejszenia rangi podziemnego kierownictwa „Solidarności” (TKK). Dla rządu PRL otworzyło to możliwość znacznej poprawy stosunków z Kościołem, Watykanem i innymi podmiotami sceny politycznej. Pociągnięcia te miały na celu wzmocnienie tzw. „frontu porozumienia i rozsądku” i podniesienie pozycji rządu PRL w świecie poprzez nic nie znaczące gesty, jak rozszerzenie bazy aparatu władzy polegające na wciąganiu ludzi z autorytetem do fasadowych tworów typu rady konsultacyjnej. Prowadzono równocześnie szeroko zakrojoną akcję represyjną (zatrzymania, wysokie grzywny, konfiskaty sprzętu i mienia prywatnego) i fachową grę policyjną skłócając działaczy i środowiska opozycyjne, osłabiając tym samym znaczenie opozycji i jej zdolność wpływania na bieg rzeczy. Jako fundament „frontu porozumienia i rozsądku”, wystąpił po stronie opozycji swoisty sojusz przewodniczącego Wałęsy i środowiska post-korowskiego (J.Kuroń i B. Geremek) silnie wspierany przez chrześcijańskie autorytety opinio-twórcze.

Powoli do różnych znanych już argumentów na rzecz porozumienia zaczęły dochodzić kalkulacje związane z *pieriestrojką* i ewentualną poprawą sytuacji politycznej w PRL wskutek reformatorskich poczynań Gorbaczowa. Na to nałożył się stały nacisk Departamentu Stanu USA popierającego „front porozumienia” i stanowisko Kościoła, który jak ognia bał się szybkiego i niekontrolowanego oddolnego wpływania na społeczno-polityczną przemianę w PRL.

Kościół spisał na straty „Solidarność” i Wałęsę, co zaowocowało przechwyceniem inicjatywy wewnątrz kierownictwa „Solidarności” przez grupę tzw. „lewicy warszawskiej” (Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Tadeusz Mazowiecki), dążącej do pojednania z władzami za wszelką cenę i która nie bacząc na skutki dokonała swobodnego zamachu stanu. Wpierw wymusiła powołanie TRS a następnie KKW, dobierając taki skład KKW, który gwarantował możliwość dowolnego manipulowania

pod kątem swojego profilu politycznego. Ta żelazna konsekwencja monopolizowania reprezentacji zarówno „Solidarności” jak i całej polskiej opozycji demokratycznej spowodowała osłabienie szeregowych struktur wykonawczych „Solidarności” i utratę wpływu działaczy szczebla regionalnego na decyzje wąskiej grupy reprezentantów „Solidarności”. W najgorszej sytuacji znalazły się zdecydowane i radykalne grupy opozycyjne, atakowane jawnie i po cichu i odcinane od dostępu do zagranicznych korespondentów i rozgłośni (informacje przekazywane przez różne źródła opozycyjne warszawskiemu korespondentowi BBC musiały mieć akceptację Jacka Kuronia, by zostały nadane; podobnie rzecz ma się z sekcją polską Głosu Ameryki, nad którą podobną pieczę sprawuje Jan Nowak, a która wymaga od swoich korespondentów przekazywania korespondencji opartych na wypowiedziach zgodnych z linią polityczną reprezentowaną przez Geremka i Episkopat polski).

Opozycja niepodporządkowana rzecznikom „frontu porozumienia” odcięta została również od źródeł finansowych, lecz nie zniechęciło jej to do podjęcia walki o utrzymanie organizacyjnej spójności i politycznej tożsamości.

„Represje” ze strony kierownictwa i doradców „Solidarności” dotyczyły nie tylko grup spoza „Solidarności”, ale również struktur regionalnych, które nie chciały podporządkować się KKW, np. Dolny Śląsk, Górny Śląsk i inne.

Niestety siły radykalne, ze względu na duży stopień zróżnicowania, nie potrafiły na tyle się skonsolidować, aby przeciwstawić się linii dążącej do porozumienia za wszelką cenę. Tymczasem na scenę polityczną zaczęły wkraczać roczniki, dla których „Solidarność” była już tylko symbolem, a spory polityczne w tonie jej kierownictwa były im obce. Narastanie problemów ekonomicznych i wyraźny brak perspektyw życiowych sprzyjał radykalizacji postaw wśród młodzieży. Dlatego też władze PRL od kwietnia 1987 roku podjęły intensywne działania policyjne i polityczne w celu osłabienia radykalnych grup opozycyjnych (na przykład 23 kwietnia 1987 wejście SB do około 500 mieszkań ludzi podejrzanych o działalność w strukturach „Solidarności Walczącej” lub powtórzenie takiej samej akcji w sierpniu tego samego roku).

Aresztowanie przywódców „Solidarności Walczącej”, zwiększenie sił policyjnych rozpracowujących tajne struktury, selektywne zezwolenia na zagraniczne wojaże znaczących działaczy skrzydła niepodległościowego (Moczulski, Szeremietiew, Ziemiński) miały na celu eliminację konkurencji politycznej przeszkadzającej „pojednaniu narodowemu” (Moczulski po otrzymaniu paszportu przyjął linię polityczną reprezentowaną przez Kuronia i Geremka).

W tym samym czasie doszło do skandalu z rozdysponowaniem miliona dolarów przeznaczonych na działalność „Solidarności” i innych grup opozycyjnych. Milion przeszedł pośrednio w ręce rządu komunistycznego (państwowa służba zdrowia), co było osobistą zasługą Bronisława Geremka, który wymusił na Wałęsie napisanie listu do Kongresu Stanów Zjednoczonych, informują-



cego ofiarodawców „o niewłaściwym adresacie” na przyjmowanie pieniędzy płynących z Ameryki.

Drugi milion w marcu 1988 roku został rozdysponowany przez KKW między struktury ślepo jej podległe. Na przykład dopiero w lipcu 1988 roku Komisja Interwencyjna reprezentowana przez Zbigniewa Romaszewskiego otrzymała pieniądze na pokrycie rekompensat wynikłych z powodu represjonowania strajkujących przez władze. RKS Dolny Śląsk nie otrzymał nic, „Solidarność Walcząca” nie otrzymała nic, itd., itd.

Już wcześniej owo dążenie do ugody z władzami PRL spowodowało, że obecne kierownictwo „Solidarności” znalazło się pod ostrzałem krytyki nie tylko „Solidarności Walczącej”, ale i innych struktur niezależnych, jak również samych działaczy „Solidarności” takich jak Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk, Andrzej Słowik. Utworzyli oni Grupę Roboczą, która zażądała od Wałęsy zwołania Komisji Krajowej w oparciu o mandaty z okresu legalnego działania „Solidarności”. Wałęsa, uzależniony od grupy kierowanej przez Geremka, grał na zwłokę, powoływał jakieś komisje mediacyjne, unikając jednoznacznego wypowiedzenia się w tej kwestii.

Na takim to niezbyt ciekawym tle zaskoczyła polską opozycję fala spontanicznych strajków, które wybuchły na przełomie kwietnia i maja 1988 roku. Warto wiedzieć, że od czasów podwyżki cen w lutym 1988 roku akcje protestacyjne trwały w zasadzie w sposób ciągły, ale nie miały szerszego zasięgu. Władze od początku starały się ukierunkować niezadowolone poprzez pewne ustępstwa ekonomiczne i poprzez działania swoich związków zawodowych, które starały się stanąć na czele akcji protestacyjnych, „różmywać je”, robić zamęt, aby w ostateczności nie dopuścić do przekształcenia się postulatów ekonomicznych w polityczne. Pierwszą poważną porażką tej taktyki był strajk w Hucie im. Lenina. Tam na czele strajku stanęli ludzie zdecydowani (np. Szewczuwaniec) i nie zamierzali oddać własnej inicjatywy (propozycje neozwiązkowców odrzucili natychmiast).

Stocznię Gdańską ruszyli również ludzie młodzi i zdecydowani.

Strajki odstąpiły nie tylko słabość organizacyjną „Solidarności”, ale również uwikłanie się kierownictwa „Solidarności” w niezbyt jasną grę polityczną z komunistycznym rządem PRL. Doradcy „Solidarności” wystąpili w roli mediatorów wysłanych do strajkujących robotników przez księdza Orszulika, by stamtąd nawiązać kontakt telefoniczny z generałem Kiszczakiem. Brak reakcji KKW na wybuchające strajki niewątpliwie odczytać należy jako całkowite podporządkowanie się wspólnej polityce Episkopatu i rządu PRL.

Koncepcja polityczna ustalona przez ks. Orszulika i gen. Kiszczaka zmierzała do utworzenia nowego, wiarygodnego rządu PRL. W skład owego rządu wejść miałoby tzw. „liberałowie” z PZPR oraz przedstawiciele ze środowisk niezależnych, jak Geremek, Stelmachowski, czy Bugaj. Gdyby kwietniowo-majowe strajki osiągnęły większą skalę, służyłyby za czynnik uwiarygodniający tę koncepcję, gdyż wedle niej powinna być zrealizowana jako

element wywalczony przez społeczeństwo. Warto w tym momencie zaznaczyć próby usunięcia „Solidarności Walczącej” z areny politycznej w Polsce poprzez nakłonienie jej przywódców do wyjazdu za granicę. Szantaż w stosunku do Morawieckiego, którego dopuścili się prof. Stelmachowski i ks. Orszulik, z pewnością nie nosił znamion etyki chrześcijańskiej.

Dziś, znając już wszystkie fakty, otwarcie mogę powiedzieć, że stan mojego zdrowia (nie tak groźny) został świadomie wykorzystany jako element presji na Morawieckiego.

Strajki kwietniowo-majowe (poza Bydgoszczą) zorganizowali ludzie młodzi, którzy widząc bezskuteczność poczynań przywódców „Solidarności” postanowili przejąć w swoje ręce inicjatywę walki o prawo do normalnego życia. Zastanawianie się dzisiaj, czyje interesy reprezentują przywódcy i doradcy „Solidarności”, jest sprawą drugorzędną, ponieważ trudna sytuacja ekonomiczna społeczeństwa polskiego zmusza nas do zdecydowanej reakcji (np. masowych strajków). Dlatego głównym zadaniem autentycznie niezależnych środowisk opozycyjnych w Polsce winno być przygotowywanie i organizowanie pomocy dla strajków, które wybuchną bez względu na to, czy „Solidarność” lub PZPR sobie tego życzą czy nie.

Naszym obowiązkiem jest przekazanie naszych doświadczeń ludziom młodym. Tym, którzy w niedalekiej przyszłości staną na czele strajków, aby walczyć o te ideały.

*Andrzej KOŁODZIEJ*

### Niezwykła kariera głosu

Rządowi komunistycznym nigdy, jak się wydaje, nie przychodziło do głowy, że przyjdzie im wcześniej czy później płacić rachunek za swoje oszczerstwa i kłamstwa. Działyły wedle starej zasady, iż w kłamstwach politycznych nie wszystko wprawdzie koniecznie w pełni się uda, ale coś zawsze zostanie. Okazuje się jednak nieraz, że nieoczekiwane koszty są większe niż pożytki. Dobrym przykładem bodaj są losy Jana Nowaka. Nowak należy do tych, którzy mają najświetniejszą kartę z lat okupacji niemieckiej i walki konspiracyjnej. Jako szef polskiej sekcji Radia Wolna Ełropa stał się celem oszczerczej kampanii prowadzonej przez polską policję z udziałem jej organów w żurnalii i z pomocą niektórych ex- i neo-hitlerowców niemieckich; miało się mianowicie okazać, że człowiek ten, który spędził lata wojny na najbardziej niebezpiecznych zadaniach, nieustannie na granicy śmierci, był niemieckim kolaborantem. Gazety prłowskie już od dawna nie wspominają, o ile wiadomo, o tej swojej — bo nie Nowaka przecież — hańbie, która zresztą ginie w natłoku wielu innych. Jest jednak możliwe, że bez bodźca tych oszczerstw Nowak nie byłby się zabrał do napisania swoich wojennych wspomnień, które, jako „Kurier z Warszawy”, ogłoszone trzykroć w Londynie i kilkakrotnie w polskich wydawnictwach niezależnych, nie tylko stały się błyskawicznie *best-seller'em* i uczyniły go jednym z najpopularniejszych autorów w Polsce, ale przekazały młodszemu pokoleniom kawał prawdy o tamtych okrutnych latach. Może więc całe błoto, wystrzeliwane z dział prłowskiej propagandy, nie tylko na marne poszło, ale spowodowało skutki zgoła intencjom kłamców przeciwne oraz niespodziewane koszty? Niech oni sami robią swój bilans strat i zysków.

Przez ćwierć wieku Nowak kierował polską sekcją WE i spisał historię tych swoich lat w dwóch tomach, z których drugi, „Polska z oddali”, właśnie ukazał się w wydawnictwie Odnova; obejmie on cały okres od 1957 do 1976 roku, tj. do chwili emery-

tury autora. Można bez obawy przewidywać, że, podobnie jak tom pierwszy i jak „Kurier z Warszawy”, będzie czytany z największym zainteresowaniem przez niezliczonych polskich czytelników. W rzeczy samej dla wszystkich, których losy polskie ostatnich dziesięcioleci obchodzą, jest to lektura nadzwyczajnie ciekawa od pierwszej do ostatniej strony.

Kariera polskiej rozgłośni WE jest wybitnym przyczynkiem do dziejów ludzkiego głosu. Jej rola w informowaniu społeczeństwa, w prostowaniu kłamstw i przemilczeniu oficjalnego radia i prasy prłowskiej, szczególnie w latach największego nasilenia łgarstwa, jest znana wszystkim Polakom (włączając, rzecz jasna, rządzących) i rozwodzić się nad nią nie ma potrzeby. Ale rozgłosnia była, oczywiście, organem nie tylko informacyjnym, lecz także politycznym; chciała na wydarzenia polskie w zamierzonym kierunku wpływać i często była w tym skuteczna. Jednym z przykładów prób takiego wpływu opisywanych przez Nowaka jest akcja przeciwko frakcji „partyzantów”, która w latach 1960-tych, z pomocą sloganów patriotycznych i antysemickich, usiłowała za władnąć całym aparatem władzy, a miała do dyspozycji praktycznie całą służbę policyjną i wywiadowczą, ZBOWiD i różne inne organy; że zamiar ten, który w pewnym momencie wydawał się bliski ziszczenia, ostatecznie się nie powiódł, nie można tego wprawdzie przypisywać kampanii monachijskiej rozgłośni, ale uwrażliwienie społeczeństwa na sprawę i przedstawienie jej w odpowiednim świetle z pewnością miało duże znaczenie w rozwoju wypadków. O niejawniej jeszcze aktywności tej frakcji dowiedział się Nowak wcześniej od pewnego, nie wymienionego z nazwiska, członka KC PZPR, który uważał „partyzantów” za wybitnie niebezpieczną grupę i chciał wykorzystać WE w jej zwalczaniu. RWE była oczywiście przedmiotem nie tylko ataków i oszczerstw, ale także prób manipulacji ze strony różnych grup rządzącego aparatu, wszystkie bowiem były świadome jej wagi w formowaniu opinii Polaków. Czasem, jak w przypadku właśnie wspomnianym, rozgłosnia godziła się na tę manipulację w przekonaniu, że jest ona zgodna z jej własną orientacją polityczną i z interesami narodu. Inną formą manipulacji były próby podsuwania fałszywych informacji, których rozgłaszanie miało następnie zdyskredytować rozgłosnię. Ponadto, rzecz jasna, próby infiltracji, szantaże, kampania szkalująca, a także zamachy. (Książkę Nowaka zdobi znaczna ilość z prłowskiej prasy wziętych niedowcipnych karykatur, z monotonną uporczywością przedstawiających WE jako jaskinię płatnych pachotków amerykańskich imperialistów oraz — jakże by inaczej — odwetowców niemieckich).

Niezwykła skuteczność RWE jest po części wynikiem przypadkowych *scoop*ów, jak seria audycji Światły i kilka innych, mniej fajerwerkowych, ale podobnych; nawet te przypadki jednak nie spadały jako dary nieba, ale wymagały wielu kłopotliwych zabiegów (Nowak bardzo się musiał natrudzić, nim amerykański kontrwywiad, który miał Światłę w posiadaniu, a nie lubił, jak wszystkie kontrwywiady, ujawniać publicznie swoich zasobów infor-

macyjnych, zgodził się w końcu na radiowe audycje tej ciemnej figury). Nade wszystkim jednak skuteczność RWE była wynikiem zamierzonej polityki, która wcześniej dosyć odeszła od emigracyjnych stereotypów i jąła się bardzo skrupulatnie interesować sprawami wewnątrz-komunistycznymi, a także przemianami społecznymi, jakie w Polsce zachodziły. Ta prasa emigracyjna, która całą sprawę polską sprowadzała do powiedzenia „Polska jest pod okupacją bolszewicką i czeka na wyzwolenie” (nie wiadomo skąd przyjąć mające) oraz sądziła, że naród dzieli się niezmiennie na garstkę sprzedawczyków i miliony gotowych do boju patriotów, nie była dla Polaków interesująca i nie mogła mieć żadnego znaczenia dla sytuacji w kraju. Różnice, spory i walki w łonie komunizmu jej nie obchodziły, a przeważnie uchodziły za upozorowaną grę w celu zmylenia przeciwnika. Nawet tak wybitny znawca komunizmu jak Boris Souvarine — by odbiec na chwilę od polskich tematów — przez wiele lat stanowczo obstawał przy tym, że nie ma żadnych sporów między Chinami a Związkiem Sowieckim, a całe w tej sprawie hałaśliwie przez obie strony nadawane bębnienie miał za podstępłą inscenizację. Na krótko przed banicją Sołżenicyna z Rosji znany polski pisarz emigracyjny ogłosił artykuł, w którym, powołując się na pismo rosyjskie podobnej co on mentalności, wywodził, że Sołżenicyn w ogóle nie istnieje, lecz jest fantomem wymyślonym przez KGB w celach prowokacyjnych. Antykomunizm, jak widać, sam przez się nie dostarcza rozumu.

WE jednakże, podobnie jak przed nią paryska *Kultura* (która z tej racji była przez wiele lat jedynym pismem emigracyjnym prawdziwie dla Polski interesującym i ważnym), zabiegała wszystkimi sposobami o realną informację, miast sytuację w Polsce czy w innych krajach komunistycznych dedukować z niezmiennej natury totalitaryzmu. Dzięki temu była zarówno wybitnie interesująca dla słuchaczy, jak też mogła aktywnie przyczyniać się do biegu wydarzeń (o okazjnych sporach między *Kulturą* a WE nie wspominam, gdyż Nowak tego tematu nie porusza). Wiedziała też, że w totalitarnym ustroju rozłąmy i walki w łonie rządzącej partii mogą mieć (nie muszą mieć, jeśli są czysto klikowe) wielkie znaczenie dla sytuacji i wyzwalac inne, niezależne energie społeczne, zgoła dla ustroju niepożądane.

Pokażną część wspomnień Nowaka zajmują konflikty polskiej sekcji WE z Amerykanami — nie tylko z tymi, którzy narzucali rozgłośni, jako bezpośredni jej zwierzchnicy, różne restrykcje, niezgodne z polityczną orientacją zespołu, ale nade wszystko tymi, którzy (jak senator Fulbright) aktywnie i zajądło dążyli do jej likwidacji, jedni z lewicowej, inni z prawicowej inspiracji politycznej. Kilkakrotnie radio było na skraju zagłady. Nowak opisuje m.in. całkiem opatrznościowy zbieg okoliczności, kiedy to rząd niemiecki niemal się zdecydował na wysiedlenie rozgłośni ze swego terytorium — co było równoznaczne z likwidacją — a uratował ją, przy interwencji Nowaka, arcybiskup wrocławski Bolesław Kominek.

Obok walki na kilka frontów — z władzami PRL, z Amery-

kanami, z Niemcami, a czasem także z polską emigracją, gdzie była zawsze pewna ilość osób z różnych powodów już to radiu, już to raczej Nowakowi osobiście wybitnie niechętnych, rozgłosnia była także miejscem wewnętrznych konfliktów i waśni. Książka opisuje kilka takich przypadków, których jednakowoż nie może komentować nikt, kto na miejscu nie był. Nowak przyznaje, że traktował swoją pracę radiową jako dalszy ciąg wojennej służby żołnierskiej i oczekiwał od swoich współpracowników tej samej siły motywacji i tej samej gotowości bojowej, jakiej spodziewać się należy od frontowych żołnierzy; nie zawsze się to udawało i chociaż dyrektor rozgłosni był powszechnie szanowany, niektórzy niechętnie reagowali na jego styl dowodzenia.

Wiele miejsca zajmują w książce sprawy Kościoła, na którego obronę, zwłaszcza w okresach zmasowanych ataków władzy, rozgłosnia zwracała szczególną uwagę. Nowak opisuje m.in. interwencje RWE w spory, jakie zdarzały się między środowiskiem „Znaku” a kardynałem Wyszyńskim. RWE niezmiennie i bezwarunkowo broniła kardynała przed krytyką, uważając jego autoritet za bezcenną wartość w sytuacji polskiej. Godna uwagi jest anegdota o członku Biura Politycznego Zenonie Kliszcze, który, gdy rząd odrzucił sześciu kolejnych kandydatów, wysuniętych przez Prymasa na wakującą metropolię krakowską, zaproponował sam kandydaturę pewnego biskupa (nie pamiętał nazwiska), z którym, jak się dowiedział od krakowskich władz administracyjnych, łatwiej dojść do ugody, niż z innymi. Na tym też stanęło. Ten biskup nazywał się Karol Wojtyła. Tak to Zenon Kliszko awansował bezwiednie do rangi organu Ducha Świętego.

Książka jest częściowo oparta na pamięci autora, jednak w większości wypadków wspomnienia podbudowane są dokumentacją, która wzmacnia wrażenie solidności i poczucie zaufania; chociaż różne sympatie i antypatie autora nieuchronnie dochodzą do głosu, czytelnika uderza umiar, rzetelność i nieobecność jakiegokolwiek zacierzwienia. Zważywszy, że jest tam wiele informacji nieznanymi skądinąd, czasem bardzo interesujących, książka, będąc dokumentem osobistym, a także czymś w rodzaju politycznych dziejów Polski tych lat — widzianych ze szczególnej perspektywy — jest także źródłem historycznym. Podobnie jak w poprzednich dwóch książkach, Nowak okazał swój talent narracyjny, dzięki czemu też mamy tekst nie tylko nadzwyczajnie ciekawy w treści, ale także w czytaniu ogromnie przyciągający.

W latach 1960-tych w Polsce, chociaż należałem do środowiska, jeśli chodzi o dostęp do informacji, uprzywilejowanego, słuchałem często, podobnie jak większość ludzi z tegoż środowiska, wieczornych audycji RWE i zawsze z dużym zainteresowaniem (nie znałem natomiast wtedy osobiście ludzi rozgłosni, oprócz filozofa Zbigniewa Jordana). Niekoniecznie podzielałem wszystkie jej opinie lub analizy, czasem narzekałem na niedostateczne zróżnicowanie spraw, a w niektórych — lecz nielicznych — przypadkach wąpiłem w dokładność informacji, dotyczących zwłaszcza poszczególnych osób. Kiedy bywały rozbieżności zdań między RWE a paryską *Kulturą*, stanowisko *Kultury* na ogół bar-

dziej mi przypadało do gustu (przy czym jednak zawsze pamiętać trzeba o zasięgu i adresacie tych dwóch źródeł). Jak wszyscy słuchacze jednakże, automatycznie konfrontowałem przekaz RWE z krajowymi środkami informacji, a konfrontacja była nieodmiennie i pod wszystkimi względami dla tych ostatnich drugocząca. Byłem zatem słuchaczem przeciętnym, a przeciętny słuchacz, choć nie musiał wcale traktować opinii RWE jako nieodwołalnej wyroczni, wiedział jednak z nieodpartą pewnością, że dociera do niego nie tylko głos w polskiej mowie, ale także głos polskiej sprawy.



P.S. Przed trzynastu laty byłem nieopodal Waszyngtonu na zebraniu, gdzie m.in. wdałem się w dysputę z amerykańskim dyplomata, dobrym znawcą spraw polskich; dyplomata ów powiedział: „Znam wielu polskich intelektualistów i wszyscy oni popierają *détente*”. Powiedziałem wówczas: „Ze polscy intelektualiści chcą rozszerzonej wymiany kulturalnej, swobodnych kontaktów z Zachodem itp., to pewne. Ale weźmy przypadek mniej oczywisty: sowieckie i polskie rządy żądają likwidacji RWE, jako że przeszkadza ona *détente*. Czy sugeruje Pan, że polscy intelektualiści popierają to żądanie?”. „Jeśli chodzi o RWE — odpowiedział — to wszyscy chcą, żeby istniała, włączając członków partii”.

Leszek KOŁAKOWSKI

## Lekcja dla opozycji

Ogłoszona dwa lata temu przez krakowską Oficynę Literacką książka ta\* wywołała poruszenie w okolicach kamienicy Johna i w okolicach KC PZPR. Tu szukano relacji z ostatnich chwil Związku Literatów oraz plotek środowiskowych. Tam interesowano się głównie obrazem władzy i tych, którzy ją reprezentują. Amatorzy plotek przeżyli zapewne zawód: książka jest rzeczowa, informacyjna, stara się poprzestać na tym tylko, co sam autor widział i słyszał, i mówić o ludziach dobrze, chyba że okazuje się to zaiste niemożliwe. Władza dała głośno wyraz swemu oburzeniu na Autora, który oszkalował rzekomo jej rzeczników znanych z szlachetności, tolerancji i przestrzegania zasad moralnych. Po czym szum ucichł.

\* Jan Józef Szczepański, *Kadencja*, Paryż, „Libella”, 1988, str. 237.

Nikt nie zapytał, czy zarząd Związku Literatów postąpił słusznie prowadząc rozmowy z władzami tak, jak je prowadził, czy też może popełnił błąd. Nie odbyła się, o ile wiem, żadna dyskusja na ten temat. Nie ukazała się chyba ani jedna recenzja próbująca wyciągnąć ogólniejsze wnioski z opowieści o dwuletnich bez mała pertraktacjach pisarzy z aparatczykami. Szkoda wielka. Bo *Kadencja* Jana Józefa Szczepańskiego miała wszelkie dane po temu, by stać się w środowiskach niezależnych zaczynem dyskusji o celach, do których opozycja powinna dążyć, o środkach, jakie powinna stosować, oraz o tym, kto i jak powinien kształtować jej politykę. Ale u nas lubi się tylko dyskusje historyczne i rozważania o odpowiedzialności zmarłych.

Autor nie jest politykiem. Jest pisarzem, który — nim został przewodniczącym Zarządu Głównego ZLP — nie poświęcał, jak się zdaje, zbyt wiele czasu nawet mikro-polityce związkowej. Może właśnie dlatego wybrał on dla swej książki gatunek literacki rzadszy w polskim piśmiennictwie niż klasyczny sonet czy poemat napisany palindromami. Jest nim sprawozdanie: daty, nazwiska, wypowiedzi, dokumenty. Literatura faktu. Co znaczy w tym przypadku — literatura operująca środkami bardzo oszczędnymi, ale jako literatura właśnie w pełni skuteczna. Książkę czyta się świetnie, jak dobrą powieść. Ma ona swój wewnętrzny dramatyzm, spowolnienia i przyspieszenia akcji, tajemnicze epizody, które następnie ulegają wyjaśnieniu. Zaś portrety Barcikowskiego, Kiszczaka, Kubiaka, Wasilewskiego oraz pomniejszych gwiazd pezetpeerowskiego firmamentu kulturalnego, różnych Nawrockich, Koźniewskich czy Lenartów — ukazują psychologię członków jaruzelskiej elity władzy tak, jak nie zrobił tego dotąd nikt. Wszystko to nadaje *Kadencji* podwójną wartość, dzieła literackiego i źródła historycznego, i pozwala rokować jej długie życie.

Książka dzieli się na sześć części: *Związek, Zjazd, Prezesowanie, Sten wojenny, Na ostatnich pozycjach, Końcówki*. Stanowią one łącznie historię polityczną Związku Literatów Polskich w okresie powojennym, zwłaszcza w latach 1978-1983. Z politycznego punktu widzenia najciekawsze są ostatnie trzy części, objętościowo ponad połowa książki, poświęcone niespełna dwuletniemu okresowi od zawieszenia ZLP 13 grudnia 1981 do ostatecznego zatwierdzenia 10 września 1983 decyzji o rozwiązaniu. Jest tak dlatego, że opisują szczegółowo przebieg rozmów kierownictwa ZLP z najwyższymi instancjami PZPR, co czyni z nich swego rodzaju podręcznik dla wszystkich, którzy zamierzają podobne rozmowy prowadzić.

Z relacji Jana Józefa Szczepańskiego wynika bowiem z całą oczywistością, że ma się w tym przypadku do czynienia z partnerem, któremu obca jest jakakolwiek lojalność, który bez zahamowań kłamie, fałszuje dokumenty i wypowiedzi, używa środków policyjnych, podsłuchu i zastraszenia, usiłuje korumpować, szantażować i manipulować, i który dąży nie do zawarcia kompromisu, choćby na korzystnych dla siebie warunkach, ale do uzyskania bezwarunkowej kapitulacji połączonej z upokorzeniem



drugiej strony i skompromitowaniem jej w oczach jej zwolenników. Negocjacje są tu wojną prowadzoną innymi metodami, a partner, który stawia opór — wrogiem, którego trzeba zniszczyć i „zgnoić”.

Czy zatem należało w ogóle podejmować rozmowy z władzą na temat losów Związku? Na pewno tak. Kierownictwo ZLP okazało daleko idącą skłonność do kompromisu, ale nie za cenę tych zasad, odstępstwo od których odebrałoby przywróceniu do istnienia Związkowi jego moralną rację bytu. ZLP wprawdzie nie wskrzeszono, ale dano dobitnie wyraz sprzeciwowi wobec decyzji o rozwiązaniu, a zarazem zdemaskowano władzę pokazując, że jej pojednawcza retoryka jest tylko osłoną dla przemocy. Zaś opublikowanie przez Jana Józefa Szczepańskiego dokładnej relacji z przebiegu rozmów utrudniło, jeśli nie wręcz uniemożliwiło, obciążenie winą za ich klęskę dawnego kierownictwa ZLP i ujawniło haniebną rolę wielu osób, które inaczej mogłyby uchodzić za przyzwolite. Ma to znaczenie dla historii. Może mieć również — i to całkiem rychło — znaczenie dla polityki kulturalnej.

Dawne kierownictwo ZLP nie było bynajmniej jedynym ciałem niezależnym, które prowadziło rozmowy z przedstawicielami władzy. Rozmowy takie prowadzili przecież — i zresztą prowadzą je nadal — członkowie gremiów kierowniczo-doradczych „Solidarności”. Opinia publiczna dowiaduje się o tym z niedyskrecji, które trafiają do prasy zachodniej głównie ze sfer partyjno-rządowych. Żadna oficjalna postać „Solidarności” nie udzieliła informacji na ten temat. Co więcej, nie ukazało się dotąd żadne sprawozdanie nawet z rozmów prowadzonych przez „Solidarność” z rządem w okresie kryzysu bydgoskiego; nie ogłosili go ani Bronisław Geremek, ani Tadeusz Mazowiecki, ani Lech Wałęsa, ani nikt inny, co wcale nie przeszkodziło Rakowskiemu w opublikowaniu swojej wersji wydarzeń. Milczenia tego nie sposób wytłumaczyć. Nie sposób też znaleźć dlań jakiegokolwiek usprawiedliwienia. Złożenie sprawozdania nie wymaga przecież naruszania reguł konspiracji, które zdają się coraz częściej służyć ukrywaniu tego, co się robi, bardziej przed opinią publiczną niż przed organami władzy. Wymaga tylko umiejętności przedstawienia i uzasadnienia realizowanej linii politycznej.

Jan Józef Szczepański, powtórzmy, nie jest politykiem. Jest pisarzem. Pisząc i publikując *Kadencję* dał on jednak ważną lekcję wszystkim niemal politykom opozycji. Dał im lekcję szacunku dla demokracji, która wymaga od osób obdarzonych zaufaniem ogółu — w trybie wyborów czy w sposób nieformalny — by informowały rzetelnie opinię o tym, co robią z jej upoważnienia i w jej imieniu. Dotyczy to nie tylko rozmów z władzą. Dotyczy to wszelkich decyzji o istotnym znaczeniu dla „Solidarności” i innych instytucji niezależnych. *Kadencja* jest jedną z najważniejszych polskich książek politycznych ostatnich lat.

Krzysztof POMIAN

## W błędnym kole

Trzy lata temu odbyła się w Waszyngtonie pod oficjalnymi auspicjami wielka konferencja na temat „Gospodarka polska i zadłużenie”. Uczestniczyli w tej imprezie przedstawiciele instytucji badawczych, banków, a także wysocy urzędnicy państwowi i funkcjonariusze organizacji międzynarodowych. Materiały dyskusyjne, zaktualizowane i uzupełnione dodatkowymi opracowaniami, wyszły niedawno drukiem. *Creditworthiness and Reform in Poland*<sup>1</sup> zawiera przyczynki aż trzydziestu jeden autorów, z czego ośmiu z PRL-u.

Profesorom Marerowi i Siwińskiemu, którzy przygotowali *Creditworthiness* do publikacji i zaopatrzyli w pożyteczny wstęp, jak również autorom poszczególnych opracowań, należą się gratulacje. Ich zwycięża i dobrze skonstruowana książka spotka się z uznaniem specjalistów, dla których jest przeznaczona. Ale i szerszy krąg czytelników doceni wagę wyłaniających się wniosków.

Stosownie do tytułu tego wielostronnego naświetlenia problematyki schorzałej gospodarki PRL-u, leitmotywem składających się nań opracowań jest współzależność pomiędzy tym, co po angielsku nazywa się *creditworthiness*<sup>2</sup>, i reformami wewnętrznymi. Warszawski współredaktor książki, Siwiński, otwarcie przyznaje, że PRL na kredyty nie zasługuje; jego własny przyczynek zatytułowany jest po prostu: „Dlaczego Polska utraciła *creditworthiness*”. Rynki finansowe też to podobnie oceniają; PRL-owski dług dyskontowany jest o blisko 60 %, znacznie głębiej aniżeli zobowiązania takich państw, jak Filipiny, Maroko, Ekwador i Egipt (str. 60). Niedobry to prognostyk dla państwa potrzebującego nowych pożyczek.

Bez mała wszyscy zgadzają się, że do przewyciężenia polskiego kryzysu niezbędne są dodatkowe zastrzyki twardych walut. Z kilku opracowań wydaje się wynikać, że zdolność finansowania importu i obsługi zadłużenia ulec może pogorszeniu. (Wyjątkowo ciekawe są obliczenia i wywody Poznańskiego o skutkach

1. Paul Marer & Włodzimierz Siwiński (red.), *Creditworthiness and Reform in Poland. Western and Polish Perspectives*, Indiana University Press, Bloomington 1988, str. xxiii + 348.

2. Termin ten nie ma ścisłego odpowiednika w polszczyźnie. Dosłownie i niezręcznie znaczy tyle, co „zasługiwanie na kredyt”. Bardziej opisowo chodzi o całokształt czynników, sprzyjających efektywnemu wykorzystaniu pożyczek, a więc i ich terminowej spłacie. Wprawdzie *creditworthiness* jest, czy powinien być podstawą zdolności zaciągania pożyczek, lecz nie są to pojęcia równoznaczne. PRL-owskie zadłużenie — 36 miliardów dolarów w 1987 — świadczy o niewątpliwiej „zdolności”, ale z „zasługiowaniem” gorzej.

zmniejszającej się konkurencyjności polskiego przemysłu). Po-niektórzy, szczególnie oficjalne figury PRL-u, wykazują więcej optymizmu, a wielu koncentruje się głównie na techniczno-finan-sowych szczegółach: przekładaniu terminów spłat, zmianie stopy procentowej, konwersji pożyczek itp.

Ani tego rodzaju detale techniczne, ani liczby, których jest w książce sporo, nie przesłaniają centralnej kwestii: przywró-cenie niewypłacalnego dziś PRL-u do łask międzynarodowych banków wymaga daleko idących reform. (Tej tematyce poświę-cona jest znaczna część książki, z opracowaniem Fallenbuchla, godnym szczególnej uwagi). Niestety, w specyficznych warunkach polskiego — i nie tylko polskiego — socjalizmu reformy przepro-wadzić jest bardzo trudno. Pisze o tym interesująco Brus, do-szukując się przyczyn i powiązań, i dokonując neomarksistow-skich uogólnień. Inni, bardziej pragmatyczni, przedstawiają listę pożądaných zmian. (Opracowanie St. Gomułki zatytułowane jest „Jakie reformy powinny być popierane w Polsce przez MFW i Bank Światowy”). Różne praktyczne postulaty bądź porady zna-leżć można także w przyczynkach bankowców (Eichler i Mc Car-thy) i szeregu innych. Z drugiej strony, reprezentanci oficjal-nego Waszyngtonu (występuje w tej roli m.in. prof. Brzeziński) rozpatrują przede wszystkim amerykańskie opcje w stosunku do PRL.

Nie zapomniano w *Creditworthiness and Reform in Poland* o elementach pozaekonomicznych, zwłaszcza o polityce. Nie-którzy autorzy, także z PRL, uważają zmiany polityczne za wa-runek skutecznych reform. Warszawski socjolog, Morawski, pod-kreśla że wyrwanie się z błędnego koła nieudanych i zarzucanych reform (*vide* Brus) wymaga „jednoczesnych zmian we wszystkich sferach życia: politycznej, gospodarczej i społecznej”. Bardziej krytycznie wtóruje mu profesor politologii z Indiany: „Sukces reform gospodarczych zależy od sprzyjającego środowiska poli-tycznego; tego warunku ciągle jeszcze brak w 'normalizującej' się Polsce”. Słusznie, ale czy można oczekiwać dostatecznie głą-bokich zmian politycznych? Nawet w okresie sąsiedzkiej *glas-nosti* i *pieriestrojki* nic pewnego. W rachubę bowiem wchodzi ni mniej ni więcej tylko samolikwidacja marksistowsko-leninow-skiego ustroju.

Może dlatego że *Creditworthiness* wyrosła z oficjalnych, dy-plomatyicznie poprawnych dyskusji, żaden z autorów otwarcie nie stawia tej sprawy. A przeciw dopóki funkcjonuje partia typu marksistowsko-leninowskiego, nawet ograniczonych reform (np. postulowanych przez prof. Gomułkę) wprowadzić nie można. Z tego punktu widzenia odzyskanie *creditworthiness*, ponoć uza-leżnione od wprowadzenia reform, jest nierealne. Być może rac-ję mają Fink i Gabrisch — obaj z Wiednia — według których „władze polskie nie troszczą się o odzyskanie zewnętrznej *credit-worthiness* w niedalekiej przyszłości, zdecydowawszy się na pod-jęcie polityki znacznego wzrostu, przy założeniu powtarzających się odroczeń płatności aż do końca stulecia”. Autorzy ci dora-

dają wprowadzić zachęcanie reform przez warunkową szczodroblliwość zachodnich pożyczkodawców, ale z natury rzeczy, dopóki trwa partyjny *ancien régime*, byłyby to zabiegi zbyt powierzchowne.

Z drugiej jednak strony nie da się uniknąć konfrontacji wymogów rozwoju z przeżytkami marksizmu-leninizmu. Dlatego też w przyszłości, na razie ciągle mglistej, kiedy w wyniku spłotu okoliczności zewnętrznych i wewnętrznego rozwoju dojdzie do zmian politycznych w Polsce, projekty reform prawie niemożliwych do wprowadzenia w ramach obecnego, nawet zliberalizowanego ustroju, wydają się nie dość radykalne. Paradoksalnie więc, wizja reform wyłaniająca się z *Creditworthiness* jest jednocześnie zbyt śmiała i nazbyt łękliwa.

Polskie kłopoty gospodarcze, a zwłaszcza płatnicze, będą się niewątpliwie ciągnąć latami. Jak słusznie argumentują autorzy książki, konieczne będzie zwiększenie inwestycji, przyspieszenie postępu technicznego, wejście na rynki Europy itd., itp. Przystawienie gospodarki na nowe tory będzie bolesne i to nie tylko w krótkim okresie (podwyżka cen). Ale trzeba (*i można*) będzie te problemy rozwiązywać w nowych warunkach, które przed niewielu jeszcze laty (1985-1986), kiedy powstawała omawiana książka) były nie do pomyślenia. W kontekście rozwoju wydarzeń od czasu referendum w sprawie II etapu reformy, granice w których obraca się dyskusja w *Creditworthiness* zdezaktualizowały się. Brak gotowości społecznej do poświęceń w obecnych warunkach politycznych został jasno zadokumentowany. Jednocześnie stanęły na porządku dnia wielopartyjność i prywatyzacja, chociaż jak dotąd tylko jako docelowe idee. *Habent sua fata libelli*.

Na skutek przeszczepionej ideologii, bo przecież zawsze to była sprawa przekraczająca geopolitykę, powojenna historia Polski potoczyła się ogromnym (błędny) kołem, z którego dziś wszyscy szukają wyjścia. Narzucony społeczeństwu z marksistowsko-leninowskiej inspiracji ustrój polityczny służyć miał „budowie socjalizmu”, a więc, w ostatecznym rachunku, poprawie warunków bytowych. Po czterdziestu latach i morzu ofiar umacnia się przekonanie, że wysoka produktywność i stopa życiowa są nieosiągalne, dopóki rządzą komunistyczni aparatczycy. Żadne, jakkolwiek zmyślnie projekty ekonomicznych reform, ani też determinacja władz żeby je zrealizować, nie mogą sprzeczności tej przewyciężyć. Wielkie banki, rządy zachodnie i Międzynarodowy Fundusz Walutowy mogą odegrać dodatnią, ale nie decydującą rolę w sanacji gospodarki polskiej. Kluczowe jest poparcie społeczeństwa, czego najwidoczniej nie można zapewnić bez legitymizacji systemu politycznego. *Ergo*, inaczej aniżeli na kádárovskich Węgrzech, bo inny to etap i okoliczności, trzeba zacząć od polityki.

Na początek można by np. wciągnąć działaczy niezależnych grupowań, łącznie, rzecz jasna, z „Solidarnością”, do dyskusji nad drogami wyjścia z kryzysu. Nawet z ich pomocą będzie trudno, ale bez nich jest to zupełnie niemożliwe. Charakterys-

tyczne, że ani jeden z polskich autorów *Creditworthiness*, ani też — wydaje się — z uczestników waszyngtońskiego spędu nie zalicza się do tej kategorii. Nie tylko warszawskie władze, ale i Zachód zdaje się łudzić, że polskie rachunki można robić bez gospodarzy.

Andrzej BRZESKI

## Nowości literatury krajowej

W refleksji o literaturze polskiej dominującym wątkiem pozostaje problem jej związku z rzeczywistością polityczną — związku niebezpiecznego, ale i nieuchronnego. Jego konsekwencje bywają rozmaite. Niekiedy, w szczególnie dramatycznych momentach dziejowych, polityka staje się usprawiedliwieniem dla mało finezyjnej formy dzieł literackich. Pisarze i krytycy powołują się na tzw. wyższe racje, czego karykaturalne wyrazy mieliśmy w początkach lat pięćdziesiątych. Okazuje się jednak, że socrealizm w płaszczyźnie filozoficznej, a nie ideologicznej, wcale nie został w naszej kulturze przewyciężony do końca, że romantyczne prówienicje tego zjawiska pokutują jeszcze w myśleniu o zadaniach i celach polskiej literatury. Bywa i odwrotnie: obawa przed tym niebezpiecznym dla autonomii sztuki związkiem prowadzi niekiedy do ucieczki od wszelkich powinności pozaartystycznych.

Polityczne okoliczności, w jakich rozwijała się kultura w początkach lat osiemdziesiątych, doprowadziły do paradoksalnej sytuacji, którą niechętnie uświadamiają sobie rzeźnicy zarówno opozycji jak i władzy: oto niedawni heroldowie tzw. zaangażowania zaczęli głosić konieczność niezależności sztuki, a w szczególności literatury, najłatwiej poddającej się politycznym manipulacjom, natomiast ludzie związani z opozycją podkreślali potrzebę dokumentowania w sztuce burzliwych czasów, w jakich przyszło nam żyć i tworzyć. Najbardziej paradoksalny jest fakt, że jedni i drudzy mają rację.

Tytuł najnowszego tomu esejów Andrzeja Wernera<sup>1</sup> w dobitny sposób sygnalizuje, że przedmiotem jego rozważań jest *differentia specifica* literatury polskiej tworzonej od przeszło dwustu lat — z krótką przerwą — w domu niewoli lub w ten czy w inny sposób z domem niewoli związanej. Werner skupia się na przewrocie październikowym, którego rezultaty poddaje błyskotliwej analizie, przeprowadzonej w oparciu o szerokie tło kulturalne. Poszukuje więc genezy Października sięgając do tuż-powojennej

1. Andrzej Werner, *Polskie, arcy-polskie, Niezależna Oficyna Wydawnicza*, Warszawa 1987.

sytuacji kulturalno-politycznej i bada jego owoce w twórczości artystycznej lat najnowszych.

Początków aberracji świadomości polskich intelektualistów upatruje autor w postawie „politycznego realizmu”, która prowadziła do lojalizmu wobec komunistycznej władzy. Kwintesencją flirtu z rodzącym się w Polsce totalitaryzmem jest dla niego *Popiół i diament* Andrzejewskiego, w którym nowy porządek polityczny znalazł uzasadnienie nie tylko propagandowe, ale również filozoficzne: jako poszukiwanie ładu i sensu w świecie (*nota bene* już nie ładu serca, lecz rozumu). Gwałt dokonany na świadomości polskiego społeczeństwa został przez katolickiego niegdyś pisarza zinterpretowany w kategoriach dziejowej konieczności i poprzez masowe wydania tej sztandarowej dla socrealizmu, a jednocześnie propagandowo nie trywialnej powieści powielony w świadomości kilku pokoleń Polaków. Nawet film Wajdy nie zdołał do końca zreinterpretować głównej myśli tego najpopularniejszego, niestety, w literaturze powojennej dzieła, chociaż uwaga reżysera skierowała się ku indywidualnemu dramatowi tragicznego bohatera. W tym właśnie kierunku podążyła literatura październikowego przełomu — najlepszy wyraz znalazła ta tendencja w twórczości Mrożka, zafascynowanego kiedyś, jak sam wyznawał, *Popiołem i diamentem*. Po Październiku powieść Andrzejewskiego pełniła więc rolę — przepraszam za porównanie — literackiej trampoliny: można się było od niej odbić i poszybować w inną stronę. Sądzę, że sam Andrzejewski odbijał się od niej aż do *Miazgi* — antytezy *Popiołu i diamentu*, która stała się jeszcze jednym dowodem na to, jak niebezpieczna może być dla pisarza pokusa *establishment*'u.

W książce Wernera znalazłem jedną z najcelniejszych analiz twórczości Różewicza. Poetę tego zaanektowały ostatnio tzw. „czynniki oficjalne”. Nazwisko autora *Niepokoju* pojawiło się po stanie wojennym na czele listy twórców służących za przykład postawy apolitycznej. W pesymistycznej wizji świata Różewicz nie wykreślał granicy między dnem europejskiej i polskiej kultury, między wydziedziczeniem Europejczyka i szarego obywatela PRL. Tego rodzaju utożsamienia Polski z Europą, i szerzej — światem XX wieku, mającego swe uzasadnienie we właściwym klasycyzmowi dążeniu do uniwersalizmu, można dokonać tylko wtedy, gdy abstrahujemy od historycznej genezy politycznej sytuacji własnego narodu, czyli gdy interesuje nas tylko czas *zatrzymany*, a wszelką zmienność traktujemy jako pozorną, gdy *continuum* czasu wyobrażamy sobie jako figurę koła. Nic więc dziwnego, że w wierszu pochodzącym z 31 grudnia 1982 roku poeta dojrzał w sierpniowym przełomie jedynie *bylejak*ość.

„(—)  
byle jaki Gustaw  
przemienia się  
w byle jakiego Konrada

byle jaki felietonista  
wyle jakiego moralistę

słyszę jak byle kto mówi byle co  
do byle kogo

bylejakość ogarnia masy i elity  
(...)"

Trudno się zgodzić z tą krytyczną diagnozą naszego czasu, ale trudno też zignorować jej piekącą dosadność. Dokonana z perspektywy uniwersalnej, nie jest diagnozą z gruntu fałszywą, jest tylko diagnozą cząstkową z pretensjami do generalizacji. I jedynie te pretensje powinny budzić sprzeciw. Bo przecież nie ma utworów literackich potwierdza podkreślaną przez Różewicza bylejakość naszego życia. Można się nawet zastanawiać, który z poetów — biorąc pod uwagę współczesną recepcję ich poezji — wpływa obecnie bardziej inobilizująco na społeczną świadomość; sceptyczny Różewicz czy Miłosz, zaślaskiwany jako noblista.

„Miłoszowi nagrodzonemu zagraża to, że posłuży do uspienia sumień, gdy tymczasem jedyną jego prawdziwą siłą jest rozpacz i pokora wobec tajemnicy zła i dobra. (...) Nagroda może zespolić go z regułami świata, z pozorem realności i sztucznością, popchnąć w samoułudeg”.

To celne sformułowanie znalazło się w tomie szkiców krytyka z *Więzi*, Marka Zielińskiego<sup>2</sup>, który zapatrzony w najwyższy wzór literackiej publicystyki, Stanisława Brzozowskiego, rozprawił się w swojej książce ze światopoglądem życia ułatwionego, dominującym we współczesnej literaturze, zwłaszcza w tzw. „prozie nowych nazwisk”, lansowanej przez demagogicznego krytyka Henryka Berezę.

Ale poezja Miłosza wyznacza również opozycję pozytywną wobec modelu poezji Różewicza, pogrążającej się w beczasowości. W literaturze krajowej najlepiej reprezentuje ją twórczość Herberta, głównego bohatera książki Wernera. Wierny przez cały czas, bez względu na meandry uwikłanej w polityczne przełomy kultury, chroniący konsekwentnie imponderabilia, autor *Pana Cogito* uważany był za neoklasyka. Dobry to jednak neoklasycyzm, na racjonalnie przyjmowanej tradycji oparty, jeżeli nie tylko Herbert, ale również inny, bardziej manifestacyjny wyznawca klasycyzmu, Jarosław Marek Rymkiewicz, z Wiecznego Teraz potrafił przejść do wielkich i małych problemów terażniejszości szarego obywatela komunistycznego państwa.

Wiele miejsca poświęcił Werner problematyce mitów narodowych jako decydującej dla określenia kierunku rozwoju współczesnej literatury i żywotności literackiej tradycji. W prozie tzw. obrachunków inteligenckich zbyt pospiesznie wyprzedawano stare

2. Marek Zieliński, *Kilka niewzruszonych przekonań*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1987.

mity. Ta niska, jak się z początku pisarzom wydawało, cena zastępowania zużytych kostiumów nowymi, ciasno skrojonymi mundurami, z perspektywy lat okazała się ceną wysoką — ceną społecznej izolacji polskiej inteligencji:

„Można więc powiedzieć, że owa 'postawa inteligencka' była nie tyle wynikiem wcześniejszej izolacji owej warstwy, jej wyosobnienia, ile ów fakt wyosobnienia się właśnie tutaj w tym czasie, w konfrontacji z nową rzeczywistością zaistniał, czy może rozpoczął się, jako proces, który będzie miał kontynuację i ważne konsekwencje”.

Tę cenę inteligencja płaci do dziś, płaciły i płacą do tej pory również młodsze pokolenia — uciekając, jak pokolenie *Współczesności*, a później *Orientacji*, od ideowości rozumianej jako określony stosunek do rzeczywistości swego kraju, lub zbyt gwałtownie i naiwnie z tą rzeczywistością się integrując, jak pokolenie Nowej Fali. Po Październiku, a potem w stopniu może jeszcze bardziej masowym po Sierpniu, pisarzy ogarnęła fala demitologizacji *à rebours*. O ile wcześniej odrzucali „mity narodowe”, o tyle potem przewartościowywali mity państwowe („państwowotwórcze”), dokonując obrachunku z samym sobą, z dawnymi wzmówieniami. Przegrywali wtedy, gdy te obrachunki, właściwe każdej prawdziwej twórczości umysłowej, traktowali nadzbyt subiektywnie, gdy ekshibicjonizmem zastępowali krytycyzm i autokrytycyzm. Dotyczy to pisarzy wszystkich generacji i nie tylko pisarzy. Dotyczy polskiej inteligencji. W tym momencie przypomina się denerwująca, ale — jak już się rzekło — niepozabawiona słuszności diagnoza Różewicza, którą Werner chyba zbyt lekko potraktował.

Trzeba tylko dodać, że Gustaw z Konradem zamieniają się rolami zależnie od okoliczności. Takie szybko następujące zmiany — nawet gdy doceni się wagę sytuacji — muszą budzić podejrzenie i nieufność. Bo mitologia jest społecznie płodna tylko wtedy — przypomina Kołakowski — gdy towarzyszy jej stale czujność, zapobiegająca stanom narkotycznym. Dlatego z czasem prawdziwsza, tzn. bardziej szczerza, wydaje się w przemianach Konrada w Gustawa niż odwrotnie.

Zastrzegając się, że taka postawa krytyczna, która społeczną powinność literatury uznaje za pierwszoplanową, nie rości sobie pretensji do wyłączności, podkreśla Werner konieczność pamiętania o stanie wyjątkowym naszej kultury.

„Czy pisząc listy z więzienia można udawać, że to wakacje z ukochaną w ogrodach wiecznej szczęśliwości? Można, ale trzeba podać co najmniej adres nadawcy. Trzeba mieć jasną świadomość, skąd się pisze” — kończy Werner swą pasjonującą, choć w dość osobliwej konwencji skomponowaną książkę, w której z iście średniowieczną dociekliwością śledzi obecność Szatana w polskiej literaturze.

Autor *Zwyczałnej apokalipsy* niewielką uwagę zwrócił na twórczość Nowej Fali, skupiając się raczej na przedstawicielach pokolenia 1910 i *Współczesności*. Tadeusz Nyczek natomiast, krytyk



wierny swej generacji, głównymi bohaterami nowowydanej książki<sup>3</sup> uczynił dwóch przedstawicieli tej generacji: Zagajewskiego i Barańczaka. Umieścił ich jednak w nowym — dla siebie, ale i dla krajowego czytelnika — kontekście emigracji i konsekwencji z niej wynikających. Próbuje więc Nyczek odpowiedzieć na podstawowe dla poszczególnych pisarzy, ale istotne również dla rozwoju polskiej literatury jako całości, pytanie: „O każdorazowe skutki poznawcze, filozoficzne, artystyczne; co z tych wyborów wynikało dla myśli, dla literatury i dla kultury...”. Udziela odpowiedzi, analizując twórczość emigracyjną trzech poetów, jednego dramaturga i jednego eseisty — Aleksandra Wata, Jana Kotta, Sławomira Mrożka, Adama Zagajewskiego i Stanisława Barańczaka.

Nyczek jest mistrzem analizy wzorowanej na tradycji krytyki personalistycznej, z kręgu Wyki, Błońskiego i Kijowskiego, ale także Tymona Terleckiego. W książce swojej zastosował frapującą, choć ryzykowną formę, której elementy obecne już były w jego tomach wcześniejszych — formę krytycznego *journal intime*. Przyniosło to efekty niezwykle. Dawno już nie odczuwałem takiej satysfakcji z lektury tekstu krytyczno-literackiego. Szczególnie pasjonujący wydał mi się szkic o Zagajewskim — chyba nie tylko dlatego, że obaj, pisarz i jego krytyk, są mi bliscy. W tym tekście w sposób całkiem naturalny, może nawet nie w pełni zamierzony, doszło do utożsamienia opisywanego przedmiotu i piszącego podmiotu, i tylko cienka kreska, żeby przywołać tytuł prozy Zagajewskiego, dzieli postawy obu twórców, cienka kreska, która w trakcie zmierzania szkicu ku finałowi staje się coraz wyraźniejsza, coraz trudniejsza do wymazania — oddziela ona bowiem, mówiąc patetycznie, dom niewoli od wolnego kraju.

„Jak wyjść z domu niewoli: w pochodzie, z chorągwiami, śpiewając pieśni pełne gniewu, hymny zemsty, wyrażając pięściami prześladowcom.

Z domu niewoli można też wyjść po angielsku, nie żegnając się z nikim, ubranym jak na niedaleką wycieczkę, z tomikiem wierszy w kieszeni wiatrówki. Ranek jest pogodny i zapowiada się piękny, długi dzień”.

Ten cytat ze znakomitej eseistyki Zagajewskiego jest bardzo bliski Nyczkowi. Powołuje się też krytyk na Wata, który z przenikliwością nie tylko poetycką zauważył, „że jedynym dziś kryterium sprawdzalnym jest twarz poety, tzn. osobowość poetycka i los, rzecz — niestety — spoza samej poezji. Jedynym uchwytym gwarantem jest szczerłość — właściwość tedy moralna. I cena, którą poeta zapłacił sobą za wiersz, sprawa biografii, która według krytyków nie powinna nikogo obchodzić”.

I to jest drugi lejtmotyw tomu, uzasadniający personalistyczną metodę krytyki, czyli — jak to dowcipnie Nyczek ujął — „dłubanie w duszach autorów”.

Los poety wyznacza więc kierunek interpretacji utworu — jest punktem wyjścia i punktem dojścia krytyki Nyczka, co wcale nie oznacza błędnego koła analizy. Traktowanie twórczości artystycznej jako ekspresji osobowości wydaje się dziś anachronizmem. Ale jest to ten anachronizm, dzięki któremu krytyka polska nie zesza jeszcze całkiem na manowce rzekomej awangardowości. Być konserwatystą w epoce rewolucji oznacza postępować rewolucyjnie — napisał Marek Zieliński, i ten paradoks nie jest pozbawiony sensu, takimi właśnie konserwatystami okazują się wszyscy trzej przywoływani tu krytycy. To ich m.in. łączy i wyróżnia z plejady młodszych i starszych krytyków spod znaku „rewolucji artystycznej” lub tzw. krytyki naukowej. Ich działalność pozwala wierzyć w potrzebę naszej profesji.

Podczas gdy dla Wernera twórczość Mrożka kończy się właściwie na *Tangu*, Nyczek przywraca widzowi i czytelnikowi niedocenione sztuki napisane na emigracji. Rozwija w nich Mroźek coraz nowe wersje znanej tezy o duchowym rozbrojeniu Zachodu i niebezpiecznej przewadze ducha wschodniego, wyrażającego się w etosie wojownika. Żeby tezę tę uczynić przekonywającym artystycznie i myślowo tematem twórczości, trzeba już stać po drugiej stronie, trzeba zasmakować w wolności w wolnym kraju, nie tracąc jednak pamięci o niedawnym życiu w totalitaryzmie.

Perspektywa emigranta jeszcze wyraźniej odcisnęła się na nowych dziełach Zagajewskiego i Barańczaka — szczególnie na *Samoności* i *solidarności* oraz na *Atlantydzie*. Spoza kurtyny historii, wyraźnej jeszcze w ich wierszach krajowych, dojrzeli naraz „wielki, żywy, nieogarniony świat”. Ale czy rzeczywiście „naraz”? Czy proces ten odbył się w ich twórczości gwałtownie i nieoczekiwanie? Teraz, z tego dystansu, z jakiego Zagajewski i Barańczak spoglądają od kilku lat na sprawy polskie, arcy polskie, a Nyczek spoglądał na nie przez parę miesięcy w australijskim zaciszu, gdzie pisał swoją książkę, widać, że w poezji Zagajewskiego od pewnego już czasu „kot z mokrego ogrodu” wygrzewał sobie miejsce. Autorowi *Ody do wielości* łatwiej więc było przyjąć los emigranta — z jego wygodami i trudnościami — niż Barańczakowi, który znalazł się w sytuacji podwójnie wyobcowanego — w społeczeństwie amerykańskim i ze społeczeństwa swojego kraju, na którym zawsze zależało mu najbardziej. Zagajewski siłą twórczą czerpie z europejskości, Barańczakowi los wygnańca udało się przekuć w kształt artystyczny. Obaj odrzucili płaszcz Konrada i ubrali — właściwie po raz pierwszy — strój Gustawa, zakochanego w nieogarnionym, nie do zdobycia, a przecież tym bardziej pożądanym świecie. Ci dwaj wielcy poeci generacji Nowej Fali zawsze starali się być wolni: nie *od*, lecz *do*, wolni do prawa mówienia o Polsce pełnym głosem. Teraz też są wolni, ale „inaczej jest się wolnym w niewoli, inaczej na wolności”.

„To, że znajdziemy się w niewoli, może się zdarzyć. Jednej tylko rzeczy należy uniknąć za wszelką cenę — nie stać się niewolnikiem”.

Ta przestroga Adama Zagajewskiego powinna stać się mottem dla utworów pisarzy krajowych, pretendujących do miana niezależnych.

Ciekawe, że Marek Zieliński, najmłodszy z tej trójki krytyków, głównym bohaterem swej książki uczynił Antoniego Gołubiewa — na przekór krytyce, gwoli czytelnikom. A to przede wszystkim dlatego, że autor *Bolesława Chrobrego* nie rozkładał świata na czynniki pierwsze, nie poddawał człowieka niszczącej wivisekcji, lecz budował całościową wizję świata, znajdując zasadę porządkującą dzieje, a z bohaterów swych czynił symbole człowieczeństwa. I również dlatego, że Gołubiew wierzył w słowo, w siłę sztuki. Otóż właśnie słowo! Degradacja rzeczywistości, w której żyjemy, to przede wszystkim degradacja języka. Takie zjawisko występuje od dobrych paru lat w młodej prozie. Zieliński dokonuje druzgocącej krytyki „artystycznych” osiągnięć Schuberta, Drzeżdżona, Słyka, a także Głowackiego (choć autor *Wirówki nonsensu* do tej trójki nie bardzo przystaje, jego literacki *casus* jest inny). Zasadniczą cechą „prozy nowych nazwisk” jest bebehowatość, a zasadniczą odpowiedzialność za to literackie nieporozumienie ponosi Bereza, który z debiutanckich wprawek uczynił kanon nowoczesności i ogłosił nową zmianę warty.

Te karty książki Zielińskiego podobały mi się najbardziej, bo świadczą one o odwadze i niezależności krytyka, który nie boi się wygłaszać sądów niepopularnych, mówić wprost i dobitnie tego, o czym raczej szepczemy przy kawiarnianym stoliku — i czyni to w myśl „kilku niewzruszonych przekonani!” Przynawać się w epoce relatywizmu i sceptycyzmu do tak niewzruszonych przekonań to też niemała odwaga.

Nie ukrywam, że o Wernerze, Nyczku i Zielińskim piszę z wielką przyjemnością. Sprawiają to ich teksty, pełne celnych interpretacji i mądrych sądów, ale również ich postawa — wobec literatury i wobec rzeczywistości, będącej naszym wspólnym domem niewoli.

Mikołaj RUSZKOWSKI

## Twórczość Włodzimierza Paźniewskiego

Włodzimierz Paźniewski debiutował jako poeta. Opublikował dwa tomiki poetyckie: *Z ostatniej chwili* (1973) oraz *Wiersze dla zaginionych bez wieści* (1975). Był również współautorem zbioru szkiców literackich zatytułowanych *Spór o poezję* (1977). W roku

1982 ukazała się jego niewielka książka pt. *Życie i inne zajęcia*, która należy do najciekawszych prób eseistycznych ostatniego dziesięciolecia. W roku 1984 Paźniewski opublikował powieść noszącą tytuł *Krótkie dni*.

Twórczość Włodzimierza Paźniewskiego zasługuje na baczną uwagę ze względu na specyficzny ton pisarski, szerokość zainteresowań, sposób oglądu rzeczywistości. Paźniewskiego interesują te obszary geograficzne i ci twórcy, którzy wyrosli z pogranicza kultur, z obszarów dziwnych i tajemniczych, niekiedy demonicznych. Cóż to za krainy i jacy to twórcy? Gdzie leży Kakania, Nicponia i Nabokania? Gdzie toczą się losy tych krain pod nieboskłonem krótkich dni?

„Sztuka Kakanii — pisał Paźniewski w swej książce *Życie i inne zajęcia* — stała się domeną ludzi pochodzących z pogranicza kultur. Prażanami byli: Kafka, Rilke, Werfel i Brod, z Czech pochodził Kokoschka, z Moraw — Mahler, z Wołynia — Roth. Nie zapominajmy również, że ojciec Zygmunta Freuda wyruszył w świat z galicyjskiego Buczacza. Osobną sprawą pozostaje ogromna rola, jaką w życiu intelektualnym Kakanii odgrywali artyści i uczeni ze środowisk żydowskich, z chęcią mówiący o sobie: *'Jeder stammt mehr oder weniger aus Galizien'* (wszyscy mniej lub bardziej pochodzimy z Galicji)”.

Tak, Kakania to — w terminologii Paźniewskiego — Galicja: Wiedeń, Kraków, Lwów, dawne Austro-Węgry. Obszar wielokulturowy, wielojęzyczny, dziwaczny, niekiedy perwersyjny, tajemniczy, ale jednocześnie tolerancyjny, komiczny, operetkowy, chimeryczny, tańczący w rytmie walca secesyjnym korowodem, w którym psychoanaliza i nowoczesna powieść, wyrafinowana poezja i dodekafoniczne eksperymenty w muzyce są na miejscu i w zgodzie. „Sztuka Kakanii — pisał Paźniewski — w której na każdym kroku tropimy dziś korzenie naszej współczesności, powstawała w pośpiechu, jakby sami artyści zdawali sobie sprawę, że pozostało im niewiele czasu. Gwałtowność przemian zaskakiwała wszystkich, pisał o tym Robert Musil po powrocie ze służby wojskowej pod koniec pierwszej wojny”. Nad kulturą Kakanii ciążyły motywy wędrówki Odysa. Pierwsze ciosy zadał jej rok 1914, reszty dokonał faszyzm w dwadzieścia lat później. Najwcześniejsi opuścili Austrię Kokoschka i Rilke. Werfel ciążył ku Niemcom, gdzie wyszły jego wiersze; debiutancki tomik *Der Weltfreund* w roku 1911, a w dwa lata później *Wir sind*. Musil znalazł się w Szwajcarii, Schönberg został profesorem Uniwersytetu Kalifornijskiego. Freud pod koniec życia szukał schronienia w Anglii, a Wittgenstein wykładał filozofię w Cambridge. W nowych środowiskach artyści i uczeni Kakanii sieli sporo fermentu, z czasem dorobek ich myśli i talentu pisarskiego spletał się coraz ciasniej z wątkami obcych kultur i choć wygląda to na paradoks, dramat kultury na wygnaniu przyspieszył obieg jej wartości. W ciągu zaledwie kilku lat literatura i sztuka dawnych Austro-Węgier stała się dorobkiem powszechnym — dodaje Włodzimierz Paźniewski. Paźniewskiego interesują w historii literatury i kultury właś-

nie takie fenomeny. Zjawiska złożoności, rozrzućnego bogactwa, nadmiaru, upadku, zaniku i powtórnego odradzania się w nowej postaci ducha krain pogranicznych i poszczególnych dusz mieszkańców tych krain. Interesuje go odmiennosc i odmienność.

Z tych samych powodów interesuje Paźniewskiego litewsko-polsko-rusko-żydowskie pomieszanie kultur. Esej poświęcony Wilnu, zamieszczony w zbiorze *Życie i inne zajęcia*, należy do najciekawszych i najpiękniejszych utworów o Kresach.

Z tych samych powodów interesuje też Paźniewskiego Nabokow — człowiek, który zginął, żeby się odrodzić. Przecież Władimir Sirin przepadł bez wieści 28 maja 1940 roku na atlantyckim wybrzeżu Francji, a w jakiś czas potem pewien emigrant przypominający Sirina legitymował się paszportem wystawionym na nazwisko Władimira Nabokowa, lat 41, urodzonego 22 kwietnia 1899 roku w Petersburgu. Nabokow, podobnie jak mieszkańcy Kakanii — i dodajmy od razu — Witold Gombrowicz, powraca w piśniu Paźniewskiego jak refren. Paźniewski śledząc ich losy, analizuje dramaty wyobcowania i zdomowienia; przenikania języków, kultur, tradycji. Śledzi problem granic i znikających światów, szans i zagrożeń stwarzanych przez emigrację.

Inaczej: Paźniewskiego interesuje przede wszystkim to, co złożone, graniczne, nieciągłe, chimeryczne. W labiryntach czasu szuka przyczyn rozkwitu i upadku kultur, powstania i rozkładu wartości.

Powieść Włodzimierza Paźniewskiego pt. *Krótkie dni* należy do specyficznego nurtu polskiej prozy, który można by nazwać umownie nurtem kresowym. Bardzo wielu najwybitniejszych pisarzy poświęciło Kresom swoje utwory: Czesław Miłosz i Włodzimierz Odojewski, Józef Mackiewicz i Zygmunt Haupt, Julian Strykowski i Tadeusz Konwicki, Andrzej Kuśniewicz i Leopold Buczkowski. Warto osobno rozważyć, dlaczego właśnie ten obszar geograficzny i kulturowy pozostał niewyczerpanym źródłem artystycznej inspiracji. Bardzo użyteczna i bogata w przemyślenia jest pod tym względem książka zbiorowa o Kresach, opublikowana przez Wydawnictwo Uniwersyteckie w Lille\*. Dla Włodzimierza Paźniewskiego Kresy są tajemnicze i pociągające z podobnych względów, co czasy Franciszka Józefa. „Ostatnie lata panowania Franciszka Józefa I — pisał Paźniewski w jednym ze swych stałych felietonów drukowanych na łamach *Twórczości* — były jak wczesna jesień w małym uzdrowisku alpejskim lub wykład Ludwiga Wittgensteina, gdyż niby dźwięk walca, podążała za nimi melancholia przemijania. Wędrując przez krajobrazy i zdarzenia, natrafiamy na poczucie nieuchronności zmierzchu, dlatego Rilke mógł pytać, czy noc jest jedyną rzeczywistością od stuleci”. *La belle époque* starała się zachować fason, doceniając smak wina i urodę kobiet. Daremnie filozofowie z *Wiener Kreis* ostrzegali,

\* *Les confins de l'ancienne Pologne. Ukraine-Lituanie-Bielorussie XVI-XIX<sup>e</sup> siècles.* Ed. Daniel Beauvois. Préface de Czesław Miłosz Prix Nobel de littérature. Presses Universitaires de Lille 1988, pp. 284.

że wkrótce wszystko będzie możliwe, a każdą prawdę będzie można przedstawić w dowolny sposób.

W powieści *Krótkie dni* nieuchronność zmiernych przedstawiona jest ze szczególną siłą. Małe galicyjskie miasteczko żyjące swoimi drobnymi sprawami w rytmie jarmarków, śmierci i urodzin, chorób i przyrządzanych przez miejscowego aptekarza mikstur, za chwilę zostanie zdmuchnięte z powierzchni ziemi; nie tyle w sensie dosłownym, bo niektóre mury pozostaną, ile w sensie egzystencjalnym: znikną Żydzi i ich budki oraz stragany, znikną miejscowi prorocy i głupcy, znikną sprawy boskie i ludzkie, które miały tu swoje gniazda od wieków w leniwym spokoju zachodzącego słońca.

Zniknie wszystko nagle i okrutnie bez przyczyny i ratunku. Paźniewski pyta, dlaczego to zniknięcie stało się rzeczywiste. Włodzimierz Paźniewski, który urodzony w roku 1942 atmosfery małego kresowego miasteczka pamiętać nie mógł, przedstawił w swojej powieści martwy czas przed zagładą z precyzją godną swoich ulubionych mistrzów, Kafki i Musila. W jego powieści każdy obraz i prawie każde słowo podszyte jest grozą: jeszcze nic się nie dzieje, ale już wkracza inna rzeczywistość; jeszcze w pyle rynku stukoczą koła żydowskiego wózka, za rogiem znika czerwień spódnicy córki stróża — ale my już wiemy, że tym razem na wieczność. Oto za chwilę wybuchnie i pęknie złuda ciągłości i rozpocznie się piekło fragmentu i panowanie chaosu.

Włodzimierz Paźniewski zdając sobie sprawę z niebezpieczeństw iluzji ciągłości, również swoje własne pisanie poddaje próbie fragmentu. Posługuje się często krótkim, pozornie niedokończonym esejem stojącym na pograniczu felietonu i przypowieścią stojącą na granicy opowiadania. Lubi nawiasy, aluzje, wtrącenia, miesza czasy narracji, ustawiając obok siebie Mozarta i Russeła; Nabokowa i Gombrowicza; *Demony* Heimito von Doderera i labirynty Franza Kafki.

Krótkie eseje Paźniewskiego, wtłoczone jakby przypadkiem między recenzje i przeglądy w *Twórczości*, układają się w niespieszną opowieść o mieszkańcach nieistniejących już krain, którzy znaleźli schronienie dzięki uważnej pamięci kogoś, kto potrafi przywoływać głosy z ciemności.

Krzysztof RUTKOWSKI

## Ważna bibliografia

Jednym ze stałych powodów od narzekania jest „nieprzekładalność” polskiej literatury. Czy słusznie? Warto ten problem zobaczyć w świetle recepcji tej literatury na obszarze języka niemieckiego.

kiego. Okazji dostarcza opublikowana przez Deutsches Polen-Institut w Darmstadt bibliografia przekładów literatury polskiej na język niemiecki, opracowana przez Krzysztofa A. Kuczyńskiego\*. Obejmuje ona okres od początku do roku 1985. Jak z niej wynika, czytelnik niemiecki ma możliwość dotarcia do około 500 autorów polskich (nie liczę przy tym pisarzy, którzy reprezentowani są wyłącznie w antologiach — wówczas liczbę tę trzeba by powiększyć o ok. 200 dalszych osób). Warto przy tym zauważyć, że obrzumi wkład pracy wniósł w ostatnich dziesięcioleciach w zbliżenie literatury polskiej czytelnikowi niemieckiemu Karol Dedecius, od chwili powstania dyrektora instytutu w Darmstadt, tłumacz, którego dorobek można bez żadnej przesady przyrównać do wysiłku, jaki poświęcił Boy przy swajaniu polszczyźnie literatury francuskiej. Dedecius tłumaczył co najmniej 275 polskich autorów, jest autorem bądź tłumaczem ponad 30-tu antologii naszego piśmarstwa: mamy tu do czynienia niewątpliwie z dziełem pomnikowym. Redagowana przez niego Biblioteka Polska, ukażująca się nakładem Suhrkamp-Verlag, liczy już 25 tomów.

Do roku 1985 w RFN przełożono (po wojnie, oczywiście) 420 pozycji naszej literatury, w NRD ponad 400, w Austrii 43, w Szwajcarii 33 (dla porównania: na rosyjski 538, na węgierski 448, na francuski 182, w USA ukazało się 153 pozycji). Rekordy bije Stanisław Lem (w RFN — 39, w NRD — 22). Do najczęściej tłumaczonych autorów w RFN należą Witold Gombrowicz (15), Sławomir Mrożek i Tadeusz Różewicz (po 13) oraz Jan Dobraczyński (12). Z kolei w NRD największą popularnością cieszą się Arkady Fiedler i Jarosław Iwaszkiewicz (po 13) oraz Janusz Meissner (12). Kazimierz Brandys — by zamknąć listę nazwisk — ma w RFN 8 przekładów, zaś w NRD 7: warto to skonfrontować z narzekaniami autora „Miesiący” na niedocenianie jego twórczości — w obu państwach niemieckich plasuje się on w ścisłej czołówce autorów tłumaczonych z polskiego. I jeszcze kilka danych dotyczących publikacji literatury polskiej — w RFN wśród najczęściej tłumaczonych autorów odnajdujemy przede wszystkim przedstawicieli literatury najnowszej, poważnej (przy czym uderza fakt, że na ogół tłumaczenia dokonywane są szybko i „polityka wydawnicza” nie ulega doraźnej atmosferze politycznej), w NRD przewagę ma klasyka i literatura określana mianem przygodowej. Największy wkład translatorski — obok Dedeciusa — mają Henryk Bereska, Roswitha Buschmann, Kurt Harrer, Kurt Kelm, Peter Lachmann, Viktor Mika, Cezar Rymarowicz, Hubert Schumann, Klaus Staemmler (tłumacz ostatniego *bestseller'a* polskiego w RFN, jakim jest „Początek” Andrzeja Szczępińskiego) oraz Christa Vogel. Absolutny rekord, jeśli chodzi o ilość wydań, dzieły „Quo vadis” Sienkiewicza — pierwszy raz powieść ukazała się po niemiecku w 1898 roku i od tego czasu wznawiana była do roku 1970 aż 206 razy. W ogóle Sienkiewicz jest na pewno

\* *Polnische Literatur in deutscher Übersetzung. Eine Bibliographie von Krzysztof A. Kuczyński*, Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1987, str. 283.

najbardziej upowszechnionym autorem polskim na obszarze języka niemieckiego.

Pierwsza antologia polskiej literatury (*Sechzig Lieder aus dem Polnischen*) ukazała się w roku 1694. Pierwsza książka Kochanowskiego wydana została po niemiecku w roku 1652. Jak widać, polska literatura niemal od początku dociera do czytelnika niemieckiego. Bibliografia Kuczyńskiego — wymagająca zresztą pewnych uzupełnień, o czym za chwilę — jest dowodem niezwykle żywego odbioru naszego pisarstwa u zachodnich sąsiadów (oczywiście trzeba tu uwzględnić zasadnicze różnice między NRD i RFN): przykładem wydanie w latach 1880-1881 dwunastotomowego wyboru dzieł Kraszewskiego czy opublikowanie w XIX wieku ponad 30 tomów Mickiewicza (w tym „Pan Tadeusz” — 1836, „Dziady” — 1887 i „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” — 1833: tempo przekładów z dzisiejszej perspektywy wprost zdumiewające!). Bez wątpienia — jak widać — praca Kuczyńskiego jest kopalnią informacji dla wszystkich, którzy pragną zajmować się recepcją literatury polskiej w niemieckiej przestrzeni językowej. Warto przy tym złośliwie zauważyć, że czytelnik niemiecki (zachodni) ma do czynienia z szerszym wyborem polskiej literatury współczesnej niż czytelnik polski (oficjalny) — choćby w tak ważnej sferze, jaką jest literatura emigracyjna (Herling-Grudziński, Mackiewicz), ale także krajowa niezależna (Konwicki, K. Brandyś, Szczypiorski).

Jeśli chodzi o samą bibliografię, można autorowi zarzucić nie dość wyraźne odgraniczenie literatury pięknej od eseju historycznego czy publicystyki politycznej — stąd np. pytanie dotyczące obecności lub braku niektórych autorów. Jeśli bowiem jest tu miejsce dla prac Władysława Bartoszewskiego, to dziwi nieobecność Juliusza Mieroszewskiego („Kehrt Deutschland in den Osten zurück?”, Berlin 1961, przekład Armina Drossa) czy Adama Michnika („Kościół, lewica, dialog” oraz zbiór szkiców w wyborze i przekładzie Helgi Hirsch). Bez wątpienia ustalenie ostrych kryteriów jest niezwykle trudne, mamy więc obok prozy, poezji i dramatu również felietony (M. Radgowski), wspomnienia (Z. Pawlak) czy publicystykę polityczną (K. Małcużyński). Razi także niedopracowanie bibliografii w drobnych, ale ważnych szczegółach, jak choćby brak dat urodzin i śmierci niektórych autorów: zapewne w paru przypadkach zdobycie ich było dość trudne, ale na pewno nie w przypadku Anny Kamińskiej, Anki Kowalskiej, Tadeusza Kubiaka czy Hanny Malewskiej.

Pomijając te — drobne zresztą i łatwe do uzupełnienia w kolejnych wydaniach — braki, bibliografia Kuczyńskiego jest pracą o dużej doniosłości. Sam autor zresztą już we wstępie zdaje sprawę z faktu, że konsekwentne rozgraniczenie między literaturą a pisarstwem nie-literackim jest praktycznie niemożliwe. Być może rozwiązaniem byłoby wyodrębnienie działu literatury politycznej — jest to jednak przy założeniu prezentowania autorów w kolejności alfabetycznej niezwykle trudne, tym bardziej, że należałoby wówczas przeprowadzić także podział na gatunki literackie. Szkoda, że zabrakło indeksu osobowego autorów pre-



zentowanych w antologiach. Żałować wreszcie należy, że autor nie pokusił się o szersze przedstawienie niemieckojęzycznych dzieł autorów polskich, ograniczając się do wyboru — szkoda, gdyż bez wątpienia zestaw taki zainteresowałby nie tylko badaczy literackich stosunków polsko-niemieckich.

W zakończeniu niniejszego omówienia chciałbym podziękować dr. A. Kneipowi za udostępnienie i pozwolenie wykorzystania danych statystycznych, które przedstawił w referacie poświęconym recepcji literatury polskiej w Niemczech, wygłoszonym w trakcie *Hambacher Gespräche* w kwietniu br.

Leszek SZARUGA

## Polka w Danii: historia kariery

Jolanta Buch Andersen, z domu Trzeciecka, urodziła się 9 kwietnia 1939 roku we wsi Miejsce Piastowe, na południowy wschód od Krakowa. Jej matka zwykła mawiała; że dziecko urodzone w Niedzielę Wielkanocną będzie zawsze szczęśliwe. Podczas okupacji Trzeciescy współdziałali z okolicznym oddziałem Armii Krajowej. Po wojnie, wyrzuceni z majątku, przenieśli się do Warszawy. Rodzinę utrzymywała matka dzięki doskonałej znajomości języka angielskiego — umiejętności cenionej nawet w okresie stalinowskim. W roku 1956 Jolanta zdobyła tytuł mistrza Polski w pływaniu i w przeciągu jednej doby z czarnej owcy gimnazjum — niewłaściwe pochodzenie społeczne, część rodziny na Zachodzie, ciotka w więzieniu z wieloletnim politycznym wyrokiem — stała się jego chlubą. Po ciężkiej chorobie, którą zwalczyła nie tyle lekarstwami, co uporem i siłą woli, wyjechała do Anglii. Po powrocie, niepewna czy ma studiować na Akademii Sztuk Pięknych, czy poświęcić się weterynarii, zgłosiła się do kanadyjskiej ambasady, gdzie otrzymała pracę recepcjonistki. Umożliwiło jej to w roku 1960 wyjazd na Targi Poznańskie, gdzie poznała swojego przyszłego męża, Duńczyka, Erlinga Buch Andersena. W dwa lata później wyszła za mąż i wyjechała do Danii. W roku 1983 została wybrana dyrektorem ekonomicznym koncernu *Foss Electric*. Po paru latach przeszła na stanowisko dyrektora koncernu *Danish Fancy Food Group*, który przed dewaluacją dolara miał ogromny rynek zbytu w Stanach Zjednoczonych. W roku 1985 telewizja duńska zaprezentowała ją w cyklu programów pt. *Oto twoje życie* i był to jeden z najciekawszych odcinków tej serii. W roku 1986 wydała swą pierwszą książkę pt.

*Wróg społeczny — moje życie w Polsce*, która doczekała się już trzech wydań, a w rok później ukazał się ciąg dalszy: *Przyjaciel społeczeństwa — moje życie w Danii*<sup>1</sup> (w bieżącym roku obydwie książki mają ukazać się w wydaniu kieszonkowym). W tym samym roku otrzymała Nagrodę Merkonoma<sup>2</sup> z rąk duńskiego ministra spraw zagranicznych, który przy tej okazji wyraził się, że „... jako emigrantka i kobieta osiągnęła nieosiągalne: w przeciągu niespełna piętnastu lat stała się jedną z najbardziej szanowanych i fascynujących osobistości w Danii”. Obecnie prowadzi własną firmę pod nazwą *Janing* i zajmuje się działalnością odczytową. Mianowana przez ministra kultury, weszła niedawno w skład dyrekcji pierwszego w Danii komercyjnego kanału telewizyjnego.

Co mnie osobiście ujęło w tych książkach, to pełna lojalność wobec kraju, który ją przyjął, mieszkana duma z własnych osiągnięć i duma z pochodzenia. Niekoniecznie ta snobistyczna, staropolsko-szlachecka, raczej ta, która opiera się na właściwej ocenie zasad wpojonych przez dom.

Jolanta Buch Andersen znalazła właściwy sposób na opowiedzenie o swoim udanym, interesującym życiu. O swoim sposobie na życie, który jako młoda dziewczyna praktykowała już w Polsce, ale który szczególnie owocny okazał się w Danii. Swoją nową kraj przyjęła bez przesądów, choć nie bez oporów. Nauczyła się być Dunką.

Jakie są te książki od strony literackiej? Prawdziwie opisane życie nigdy nie jest nudne, a tu doszła również prostota stylu, niezepsutego ani złą ani dobrą literaturą. A także rzetelność i znakomita pamięć. Nie tylko pamięć dzieciństwa i młodości, rodzaj drobiazgowej czułości dla rzeczy i zdarzeń, lecz także pamięć techniczna; ta, którą autorka wykazuje opisując kolejne etapy swojej technologiczno-administracyjnej edukacji. Czego, przynajmniej, było mi w drugiej książce za wiele. Ale co nie interesuje mnie, z pewnością może zainteresować fachowców: menadżerów, administratorów przedsiębiorstw, którzy także niegdys zarządzali od skromnej, staroświeckiej buchalterii, a kończyli na zarządzaniu wielkimi koncernami.

Jolanta Buch Andersen umie z werwą opisać i swoje życie rodzinne i ludzi, z którymi pracowała. Zagraniczny krajobraz i obyczajowe ciekawostki. Czasami opisuje za wiele. Wszystko jednak opisuje z taktem, szczerością i dyskrecją. Cechy zarówno w życiu, jak w autobiografiach niełatwe do pogodzenia.

Janina KATZ HEWETSON

1. Jolanta Buch Andersen, *Samsfundsfjende: mit polske liv, Gyldendal, Kopenhaga 1986*, str. 156; *Samsfundsvend: mit danske liv*, 1987, str. 157.

2. Merkonom: specjalista od handlu, praw rynkowych i zarządzania przedsiębiorstwami.

## Nadesłane nowości wydawnicze

- NYCZEK (Tadeusz). *Emigranci*. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 4, \$ US 10).
- SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Kadencja*. Str. 237 i 3 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1988).
- RACZYŃSKI (Edward), ZENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Od Genewy do Jalty. Rozmowy radiowe*. Str. 131 i fotografie. (Wyd. Puls, Londyn 1988).
- KOWALSKI (Stanisław). *Numer 4410 opowiada*. Str. 313 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Milwaukee 1985).
- SZARUGA (Leszek). *Nie mówcie Europa — sagt nicht Europa*. Wydanie dwujęzyczne. Str. 65 i 3 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin 1988).
- MOCZULSKI (Leszek). *„Krajobraz przed bitwą”*. Str. 24 i 4 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin 1988).
- STRZAŁKOWSKI (Wiesław). *De profundis clamavi*. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- HEBDA (Jerzy S.). *Śpiew łabędzi. Wiersze wybrane 1982-1987*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- Kotyń — akt sowieckiego ludobójstwa*. Str. 40. (Wyd. II, nakładem Komitetu Koordynacyjnego Polonii, New Britain Ct., USA, 1988).
- CUSTINE (Astolphe). *Listy z Rosji. Rosja w 1839 roku*. Przekł. Marian Górski. Str. 249 i 7 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1988).
- LIPiŃSKA (Grażyna). *Jeśli zapomnę o nich*. Str. 462 i 10 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1988).
- TYMOWSKI (Michał), KIENIEWICZ (Jan), HOLZER (Jerzy). *Historia Polski*. Str. 368 i 8 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1987, wyd. II poprawione).
- SADUNAITE (Nijole). *Pamiętnik*. Str. 65 i 7 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1986).
- Polityka i świat*. Konfrontacje nr 6, str. 196 i 4 nlb. (Wyd. Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, Nowy Jork 1988).
- Sowietskij Sojuz*. Konfrontacje nr 7, str. 204 i 2 nlb. (Wyd. Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, Nowy Jork 1988).
- SZCZĘSNY BRZOZOWSKI (Zygmunt). *Litwa — Wilno 1019-1945*. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1988).
- BANASIKOWSKI (Edmund). *Na zew ziemi wileńskiej*. Str. 455 i 1 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1988).
- LURCZYŃSKI (Mieczysław). *Reszta jest milczeniem*. Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).
- Wysilek zbrojny w II wojnie światowej*. Str. 159 i 1 nlb. Red. St. BIEGAŃSKI i A. SZKUTA. Tom IV Prac Kongresu Kultury Polskiej. (Wyd. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1988).
- IWAŃSKA (Alicja). *Niezdemobilizowani (Poznań — Warszawa 1945-1946)*. Powieść. Str. 131 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).
- STEC (Bolesław). *Od rewolucji do łagru. Wspomnienia lekarza*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. nie podane, 1988).
- ZABŁOCKI (Tadeusz). *Na Wschodzie bez zmian*. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).

- MACKIEWICZ (Józef).** *Zwycięstwo prowokacji.* Str. 233 i 5 nlb. (Wyd. III, wyd. Kontra, Londyn 1988).
- MACKIEWICZ (Józef).** *Kontra.* Str. 272. (Wyd. Nina Karsov, Londyn 1988).
- GROTOWICZ (Wiktor), OLEŚ (Stanisław).** *Czy Polaków stać na optymizm? Rozmowy ze Zdzisławem Najderem.* Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin Zachodni, 1988).
- WINCZAKIEWICZ (Jan).** *Opera dwudziestego wieku.* Str. 76 i 3 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1988).
- Komunikat 101 Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie.* Str. 32, marzec 1988.
- DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Maria).** „Białe plamy” w życiorysie Mickiewicza (Rzecz o listach Celiney Mickiewiczowej do męża z tajnego archiwum rodzinnego). (Nadbitka z *Dziennika polskiego* z 26. 5 (14. 6. 1988, Londyn).
- PAPIEŻ JAN PAWEŁ II.** *Przemówienia do Polonii i Polaków za granicą, 1979-1987.* Opr. ks. R. Dzwonkowski, SAC. Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- STRZAŁKOWSKI (Wiesław).** *Luźne i idee (od Platona po czasy obecne — wybór eseju).* Str. 307 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Londyn 1985).
- ZORKROT (Aleksander).** *Datomierz 1985-1986.* Str. 124 i 2 nlb. (Wyd. Polonica, Sztokholm 1988).
- KRAWCZAK (Tadeusz), ODZIEMKOWSKI (Janusz).** *Polskie pociągi pancerne w wojnie 1939.* Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1987, cena zł 190).
- ZIELIŃSKI (Adam).** *Władysław Mickiewicz w Portugalii. Nieznane listy do Joaquina Oliveiry Martinsa.* (Nadbitka z *Blok-Notes Muzeum Literatury*, tom IX, Warszawa 1988).
- SIEDLECKA (Jolanta).** *Jaśniepanicz.* Str. 344 + 8 nlb. + fotografie. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, cena zł 390).
- Studia nad ruchami społecznymi.** Red. E. Lewicka-Banaszek, P. Marciniak, W. Modzelewski. Str. 282 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, 1987).
- TOKARCZUK (Ignacy, bp).** *Moc i wytrącałość.* Str. 223 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 450).
- Pierwsi świadkowie. Wybór najstarszych pism chrześcijańskich.** Przekład Anny Świderkówny, opr. ks. Marka Starowieyskiego. Str. 511 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 580).
- BARANOWSKI (Antoni).** *Borek oniksztyński.* Przeł. z litewskiego J. J. Rojek i J. Wajna. Str. 48 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn-Białystok 1987, cena zł 150).
- SKWARNICKI (Marek).** *Australijska wiosna.* Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 400).
- MAGAŁA (Sławomir).** *Polski teatr studencki jako element kontrkultury.* Str. 180 i fotografie. (Wyd. MAW, 1988, cena zł 300).
- TERLECKI (Tymon).** *Krytyka personalistyczna. Egzystencjalizm chrześcijański.* Str. 81 i 3 nlb. (Wyd. Więź, Warszawa 1987, cena zł 260).
- SCHNEE (Wacław, opr.).** *Biblioteka Narodowa, wspomnienia 1928-1944.* Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Biblioteka. Narodowa, Warszawa 1988).
- BARTOSZEWSKI (Władysław).** *The Warsaw Ghetto. A Christian's Testimony.* Przedmowa St. Lema. Str. 117 i 1 nlb. (Wyd. Beacon Press, Boston 1988).
- ZAJĄCZKOWSKI (Wacław, dr).** *Martyrs of Charity.* Str. 336. (Wyd. St. Maximilian Kolbe Foundation, Washington DC, 1987).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

20-4-88

„Solidarność” Pracowników Wydawnictw przyznała po raz piąty nagrodę za najlepszą książkę polskiego autora zamieszkałego w Kraju i wydaną w obiegu niezależnym. Nagrodę w wysokości zł 40.000 przyznano A. Albertowi za pracę „Najnowsza historia Polski”, obejmującą okres 1918-1980, wydaną w 4-ech częściach przez „Krağ” w latach 1983-1987. Wyróżnienie honorowe otrzymało po raz drugi „Archiwum Solidarności” za kontynuowanie w 1987 roku wydawniczej serii dokumentów i archiwaliów. W dziedzinie literatury pięknej nagrody za 1987 rok nie przyznano. Wyróżnienie honorowe otrzymał Marek Nowakowski za twórczość literacką po 13 grudnia 1981.

15-5-88

Lubelski Sztandar Ludu ogłosił omówienie książek nagrodzonych w regionalnym konkursie literackim im. Bolesława Prusa. Nagrodę specjalną przyznano książce Danuty Mostwin „Cień księdza Piotra” (Warszawa 1986), a wydaną w Nowym Jorku powieść Jerzego R. Krzyżanowskiego „Diana” (1986) polecono lubelskim wydawcom.

1-6-88

Ukazało się sprawozdanie Funduszu Ubezpieczeniowego Wydawnictw Niezależnych za okres lipiec-sierpień 1987 roku. Wpływy Funduszu wyniosły 2.774 tys. zł (w tym: 61 tys. składki ubezpieczeniowe na pozycje wydawnicze i kolportaż, 81 tys. na sprzęt poligraficzny, 560 tys. na samochody, 51 tys. na osoby, 310 tys. udziały i 1.711 tys. darowizny i inne). Wydatki wyniosły 4.036 tys. zł (w tym: 23 tys. odszkodowania za pozycje wydawnicze, 3.717 tys. za samochody, 296 tys. za osoby i inne). Mimo deficytu w wysokości 1.261 tys. zł, jaki powstał w ostatnim półroczu, ogólny bilans Funduszu jest dzięki zgromadzonym wcześniej kapitałom nadal dodatni. W okresie sprawozdawczym ubezpieczonych było 21 firm, 5 spośród nich otrzymało odszkodowania. Członkami Funduszu są obecnie: Niezależna Oficyna Wydawnicza, *Tygodnik Mazowsze*, Komitet Kultury Niezależnej, Wydawnictwo CDN, Oficyna Wydawnicza „Rytm” i Wydawnictwo „Most”. Za ich pośrednictwem zainteresowane wydawnictwa i pokrewne firmy mogą uzyskać informacje o Funduszu i ubezpieczyć się.

12-6-88

W ciągu ostatnich dwóch lat wyjechało na Zachód na zawody 27.321 polskich sportowców. 93 osoby odmówiły powrotu.

19-6-88

Jury Nagród Dziennikarzy Niezależnych, złożone z ubiegłorocznych laureatów, przyznało nagrody za rok 1987. Nagrodę imienia Bolesława Prusa za całokształt działalności publicystycznej otrzymali: Tadeusz Żychiewicz — za publicystykę na tematy etyczno-religijne w *Tygodniku Powszechnym*; Bogdan Skaradziński — za publicystykę społeczno-ekonomiczną w *Więzi* ostatnich 30 lat; Juliusz Rawicz — za całokształt działalności dziennikarsko-edytorskiej w *Życiu* i *Nowoczesności*, *Przeglądzie Technicznym* i gdzie indziej; Krystyna Jagiełło — znakomita reporterka — za konsekwentną i bezkompromisową postawę prezentowaną w tekstach o problematyce społecznej. Nagrodę zespołową im. *Po prostu* otrzymali: w kategorii czasopism — niezależne pismo *Prawo i bezprawie*; pewne oficjalnie wydawane pismo poświęcone problematyce gospodarczej — *in pectore*; niezależne pismo *Metrum*

wydawane w Siedlcach; w kategorii gazet — wolnych ptaków: *Gazeta Grzegorzeczka* z Wrocławia; *Bajtel* z regionu Śląsko-Dąbrowskiego; *Gazeta Podlaska*; w dziedzinie radiofonii i telewizji: sekcja polska Radia BBC. Nagrodę im. Stanisława Konarskiego za najlepszą książkę 1987 roku otrzymali: Jerzy Jaruzelski — za publicystyczną monografię „Stanisław Cat-Mackiewicz” (wyd. Czytelnik); Jerzy Fajerant — za dokumentalną pracę „Co powiedzą nasze dzieci” o strajku w kopalni „Ziemowit” 13 grudnia 1981 (wyd. „Most”); Andrzej Drawicz — za książkę „Spór o Rosję” (wyd. „Krag”); Jacek Moskwa — za książkę „Antoni Marylski i Laski” (wyd. „Znak”). Nagrodę im. Jerzego Zielińskiego dla młodych dziennikarzy otrzymali: Ewa Szemplińska z Warszawy, Janusz Jankowiak z Warszawy, Jacek Rakowiecki z Krakowa, Paweł Smoleński z Warszawy i Jarosław Szczepeński z Warszawy. Nagrodę im. Antoniego Słonimskiego za felieton przyznano Bogdanowi Widerze, czyli Jarosławowi Starzykowi z *Gościa Niedzielnego*. Nagrodę w dziedzinie fotoreportażu otrzymali: Anna Bohdziewicz — za całokształt twórczości fotograficznej; Erazm Ciołek — za całokształt twórczości fotograficznej i Grzegorz Nawrocki — za fotoreportaż pt. „Mury mówią”.

#### 4-7-88

Zmarł w Warszawie w wieku 74 lat Władysław Minkiewicz, pisarz, działacz społeczny, pracownik Delegatury Rządu na Kraj w czasie okupacji, oficer AK i Delegatury Sił Zbrojnych, więzień polityczny 1947-1953. *Zeszyty Historyczne* nr 80 i 81 zamieściły jego wspomnienia z okresu 1939-1954.

#### 10-7-88

Czasopismo *Katolik* podaje, że w Katowicach dotąd istnieje ulica imienia Andrieja Żdanowa. Katowice mają dziwne skłonności: w swoim czasie przemianowały się na Stalinogród, była tam ulica Stalina, a Żdanow się zachował.

#### 14-7-88

*Gazeta Lubuska* podaje dane dotyczące importu z ZSSR. Import towarów rynkowych odbywa się przede wszystkim w ramach corocznie podpisywanego protokołu handlowego. Tzw. kontyngenty, przewidziane w protokole, to ilość danego towaru, którą kontrahenci są skłonni kupić lub sprzedać. Często jest ona kompromisem między sporymi wymaganiami a mniejszymi możliwościami ich realizacji, czasem zaś rezultatem takiej czy innej polityki gospodarczej partnera. Kontyngent umowny to jedno, a kontraktacja, która następuje później — drugie. Na przykład tegoroczny protokół handlowy przewiduje możliwość sprowadzenia do Polski 410 tys. chłodziarek, wyprodukowanych w ZSSR. Do końca maja podpisano umowy na dostarczenie 375,3 tys. sztuk (zrealizowano zamówienia w 53,3 %) i najprawdopodobniej tą ilością lodówek będzie się musiał polski rynek zadowolić, bo po prostu dostawca nie chce sprzedać więcej. Równie popularnym towarem na polskim rynku są sowieckie pralki automatyczne. W tym przypadku kontyngent również nie pokrywa się z kontraktacją: można było kupić 150 tys. pralek — kupiono 130 tys. Prawie 72 tys. sztuk dotarło już do sklepów. Sprawdza się także zamrażarki, ale tylko 28 tys. sztuk. Ponadto mają być importowane z ZSSR pralki wirnikowe oraz inny sprzęt elektryczny przydatny w gospodarstwie domowym za 3,3 mln rubli. Protokół handlowy przewiduje także zakup części zamiennych do sprzętu gospodarstwa domowego za ponad 8 mln rubli. Brak części zamiennych jest słabą stroną importu z ZSSR. Dość znaczną wartościowo pozycję protokołu stanowi import telewizorów. Kupowane są chętnie, choć nie cieszą się najlepszą opinią konsumentów. Do Polski trafiają także telewizory kolorowe, w tym przenośne, w ilości 180 tys. sztuk. Ofertę Uniryi wzbogaci także 150 tys. radioodbiorników

trzystycznych. Kupiono ponadto części zamienne do telewizorów za 10,5 mln rubli, a do radioodbiorników za 50 tys. Dostawy samych radioodbiorników są rytmiczne — pod koniec maja br. zakupiono już 64,8 % zamówienia — natomiast z telewizorami jest gorzej: dostarczono tylko 39,7 % aparatów kolorowych i 16,5 % czarno-białych. Podobnie kiepsko, jak dostawy telewizorów, przebiega import samochodów. Dostawcy wyrazili zgodę na zakup tylko 2.689 samochodów osobowych. Będzie to tysiąc „Zaporozców” i „Lady”. Jak dotychczas rynek został zasilony jedynie 10,3 % samochodów z liczby przewidzianej w protokole. Znacznie więcej będzie ciągników — 12,5 tys. sztuk i rowerów — 220 tys. (w tym 80 tys. składaków). Ponadto do Polski trafi tona kawioru, ser, konserwy rybne (50 mln puszek), koniak, szampan, wino i lekarstwa, towary chemii gospodarczej i kosmetyki, budziki i zegarki (3,2 mln. sztuk), elektryczne maszyny do golenia (300 tys.), kamery filmowe, książki, płyty, pianina, sprzęt wędkarski i nakrycia stołowe. Bez wątpienia import ten, z punktu widzenia polskiego rynku, mógłby być znacznie większy, zwłaszcza jeśli chodzi o sprzęt gospodarstwa domowego. Pozostaje tylko mieć nadzieję — pisze *Gazeta lubuska* — że w przyszłym roku oferta będzie nie tylko bogatsza, ale i obfitsza.

### 24-7-88

Po raz pierwszy grupa młodzieży polskiej z ZSSR spędza tego lata wakacje w Polsce. Po raz pierwszy też przyjechała do Polski grupa nauczycieli języka polskiego na Litwie.

### 30-7-88

Według informacji konsula PRL, Włodzimierza Woskowskiego, kierownika agencji konsularnej we Lwowie, na terenie dawnej Małopolski mieszka ponad 100 tys. obywateli sowieckich, którzy mają w paszportach podaną narodowość polską. Na Ukrainie zaś jest ich około 260 tys. W samym Lwowie mieszka ponad 20 tys. Polaków. Ponadto na terenie Ukrainy pracuje ponad 5 tys. Polaków, obywateli PRL, w tym około 600 we Lwowie. ■ Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w różnych regionach świata przybywało na kontraktach 98.368 obywateli PRL, w tym w krajach socjalistycznych 70.264 (w NRD pracuje 20.900 Polaków, w Czechosłowacji 20.300). W RFN pracowało 6.289 osób. Najbardziej poszukiwana jest praca w RFN, ponieważ ubezpieczenia płacone w Polsce nie zmniejszają zarobków otrzymanych w dewizach.

### 3-8-88

Warszawska *Kultura* zorganizowała plebiscyt — wybory do Honorowej Akademii Literatury, nawiązując w ten sposób do ankiety zorganizowanej w swoim czasie przez *Wiadomości Literackie*. W plebiscycie wzięło udział stosunkowo niewielu czytelników tego pisma, bo tylko 225 osób. Ogółem zgłoszono 265 kandydatów. Zostali wybrani: 1. Wojciech Żukrowski — 119; 2. Roman Bratny — 117; 3. Tadeusz Różewicz — 117; 4. Tadeusz Konwicki — 114; 5. Jan Dobraczyński — 103; 6. Maria Kuncewiczowa — 95; 7. Teodor Parnicki — 91; 8. Czesław Miłosz — 90; 9. Aleksander Krawczuk — 73; 10. Ryszard Kapuściński — 70; 11. Andrzej Kuśniewicz — 69; 12. Bohdan Czeszko — 66; 13. Stawomir Mrozek — 64; 14. Zbigniew Nienacki — 60; 15. Waldemar Łysiak — 58. Kilka nazwisk pisarzy, którzy przepadli w tych „wyborach”: Karol Wojtyła — uzyskał tylko 8 głosów, Stefan Kisielewski — 7 głosów, 2 głosy — Jarosław Abramow-Newerly, Leszek Kołakowski, Jacek Trznadel, po jednym głosie — Janusz Anderman, Jacek Bocheński, Gustaw Herling-Grudziński, Bolesław Taborski i Jacek Woźniakowski. Wstrzymujemy się od komentarzy. ■ Zmarła w Warszawie w wieku 88 lat profesor Żanna Kormanowa, historyk.

4-3-88

Spółeczna Fundacja Solidarności Robotniczej przekazała ostatnio służbie zdrowia trzy ostatnio zakupione karetki pierwszej pomocy. Napis na tych karetkach dotyczący Fundacji został natychmiast usunięty. Przypominamy, że Fundacja ta została utworzona przez Lecha Wałęsę, który jednostronną decyzją przeznaczył na Fundację milion dolarów, uchwalonych w 1987 roku przez Senat USA dla polskiej opozycji. Do tej pory Fundacja nie została zarejestrowana przez władze. Podobno milion jaki może być przyznany na rok 1989 też otrzyma Społeczna Fundacja.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

1-1-88

W Londynie został ogłoszony dekret Prezydenta R.P. na Wygnaniu następującej treści: „Żołnierze tej części Narodowych Sił Zbrojnych która ze względu na stanowisko jej czynników kierowniczych nie została scalona z Polskimi Siłami Zbrojnymi — Armią Krajową i którzy brali udział w walkach z okupantami w latach 1939-1945, spełnili swój obowiązek narodowy i żołnierski wobec Rzeczypospolitej Polskiej”. A więc rehabilitacja Narodowych Sił Zbrojnych.

13-3-88

Została otwarta wystawa pasteli i drzeworytów Stefana Mroźewskiego w Butler Institute of American Art w Youngstown, Ohio (USA), zorganizowana przez Polish Arts Club w Youngstown.

9-5-88

Na zebraniu Rady Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie wybrano nowy zarząd: przewodniczącym został Szymon Zaremba.

21-5-88

Na Florydzie zginął śmiercią tragiczną Ludwik Wiecha z żoną. Miał lat 84 i był znanym malarzem pejzażystą oraz autorem głośnego warszawskiego felietonisty — Wiecha.

2-7-88

Ogólna suma składek i darów zebranych przez Stare Narodowe wyniosła w ub. roku £120.540.35. Główna Komisja Skarbu Narodowego wpłaciła do dyspozycji Rządu R.P. na Wygnaniu w 1987 roku £59.102.98, w bież. roku £25.275.26.

14-7-88

Zmarł w Cambridge, MA (USA) w wieku 80 lat Wiktor Weintraub, historyk literatury i krytyk, emerytowany profesor literatury polskiej Harvard University, członek zwyczajny Polskiej Akademii Nauk, przewodniczący komitetu doradczego Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego. Jego działalności poświęcimy w najbliższym czasie esej w dziale „Ci, co odeszli”.

16-7-88

Doroczny zjazd delegatów Związku Polaków w Argentynie na walnym zebraniu wybrał prezesem Jana Kobylańskiego.

4-8-88

Zmarł w Monmouth (Wielka Brytania) w wieku 94 lat dr Wit Tarnawski, znany pisarz i conradysta.



12-8-88

Dowiadujemy się z Warszawy, że w Polsce istnieje pierwsze światowe ubezpieczenie przeciwko AIDS. Proponuje je Towarzystwo Ubezpieczeniowe WESTA w Łodzi (instytucja państwowa). Polacy mogą się więc ubezpieczać przeciwko tej chorobie z tym, że jedynym warunkiem jest przedstawienie zaświadczenia, że nie jest się zakażonym wirusem AIDS.

15-8-88

Nagroda pisarska za rok 1987 Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (Londyn) została przyznana *ex aequo* w wysokości £ 250.00: Karolinie Lanckorońskiej za całokształt pracy naukowej i wydawniczej oraz Julianowi Siedleckiemu za książkę „Losy Polaków w ZSSR 1939-1986” i Adamowi Zamoyskiemu za książkę „The Polish Way”.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

### JUBILEUSZ PIĄTEGO KONTYNETU

Na rok 1988 przypada dwóchsetlecie europejskiego osadnictwa w Australii. Program obchodów tej rocznicy zaplanowany został na cały bieżący rok. 150-tysięczna australijska Polonia włączyła się również do obchodów tego jubileuszu. M.in. zorganizowany został „Tydzień Polski” w stolicy, Kanberze; w listopadzie ma się odbyć odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki w miejscowości Cooma, w pobliżu najwyższej góry Australii, góry im. Tadeusza Kościuszki (prawdopodobnie poświęci ten pomnik prymas Polski, kardynał Józef Glemp, którego wizyta w Australii zapowiadana jest właśnie na listopad), a w końcu grudnia odbędzie się w Brisbane, stolicy stanu Queensland, Festiwal Polskiej Kultury i Sztuki — Pol-Art 88. ■ Dwieście lat temu, w styczniu 1788 roku, brytyjska Pierwsza Flota, składająca się z jedenastu statków pod dowództwem kapitana Artura Phillipa, dotarła do wschodniej Australii, gdzie założone zostało osiedle Sydney, późniejsza stolica pierwszej w Australii kolonii brytyjskiej, Nowej Południowej Walii. Z Pierwszą Flotą przyплыли pierwsi osadnicy — około 1.500 osób, w tym około 800 ekazanców, dając początek europejskiemu osadnictwu i dzisiejszej Australii. ■ W roku 1900, w ramach aktu ustawodawczego brytyjskiego parlamentu, została przyjęta australijska konstytucja (której oryginalny tekst pozostał w Londynie). Konstytucja ta weszła w życie w dniu 1 stycznia 1901 roku, pierwszego dnia dwudziestego wieku, określając strukturę australijskiego federalnego parlamentu i zasady rządzenia Australią. Powstała Federacja (złożona z sześciu stanów) i zakończył się jednocześnie okres Australii jako brytyjskiej kolonii. Australijska Konstytucja wywodzi się z tradycji brytyjskiej parlamentarnej demokracji i stała się dokumentem narodzin niezależnego państwa i narodu australijskiego. Z sześciu oddzielnych kolonii brytyjskich utworzono stany z regionalnymi parlamentami i szerokim samorządem, w ramach Federacji. ■ W dniu pierwszego stycznia 1901 roku, pierwszym dniu Federacji Australijskiej, państwo to liczyło niecałe cztery miliony ludności i prawie że nie posiadało przemysłu. Obecnie Australia posiada ponad 16 milionów ludności, jest członkiem brytyjskiej Wspólnoty Narodów (królową Elżbieta II jest także królową Australii, ale ma to znaczenie raczej symboliczne) i jest państwem z bardzo rozwiniętym nowoczesnym przemysłem, a eksport zajmuje poważną pozycję w narodowej gospodarce. Kraj ten, będący Mekką dla emigrantów, wyróżnia się — obok

Kanady — inicjatywą i realizowaniem polityki wielokulturowości (około 25 % ludności jest pochodzenia nieanglosaskiego). Polityka wielokulturowości, popierana przez dwa główne stronnictwa polityczne — Partię Liberalną i Australijską Partię Pracy (obecnie sprawującą rządy) — zmierza do rozwoju spójnego, zjednoczonego i wielokulturowego narodu. O atrakcyjności Australii jako kraju dla emigrantów świadczy m.in. fakt, że ponad milion osób rocznie stara się o osiedlenie w tym kraju (przyjmowanych jest 120-140 tysięcy, w tym około 12 tys. uchodźców politycznych oraz osób akceptowanych ze względów humanitarnych). ■ Obszar Australii wynosi około 7,7 mln km<sup>2</sup>. Jest to najmniejszy kontynent na świecie o najniższej gęstości zaludnienia: na jeden km<sup>2</sup> przypadają jedynie dwie osoby (Polska — 177, Holandia — 351). Klimat i krajobraz bardzo urozmaicony. Północna część kraju, ze stanem Queensland i Północnym Terytorium, ma roślinność tropikalną. Na południu zaś wyspa Tasmania, będąca również jednym ze stanów, jest najbardziej na tym kontynencie podobna do Europy zarówno roślinnością jak i klimatem. Australia posiada olbrzymie zasoby naturalne. Nie tylko rolnicze. Ma wielkie złoża węgla, rudy żelaznej, boksytów, miedzi, tytanu, cyrkonu. Ponadto m.in. uran, złoto, srebro, ropę naftową. ■ Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii obchodzi w bieżącym roku 40-lecie istnienia. Pierwsza emigracja Polaków do Nowej Zelandii zaczęła się w latach 1872-1876, kiedy w zorganizowanych grupach, różnych liczebnie, przybyło ogółem ponad półtora tysiąca osób z Kaszub i Mazur, ówczesnego zaboru pruskiego. Potomkowie tych osadników obchodzili w styczniu 1977 w miasteczku Inglewood rocznicę przybycia Polaków do okręgu Taranaki. W uroczystościach wzięło udział ponad 3 tysiące osób z całej Nowej Zelandii, w tym około 300 osób z powojennej polskiej emigracji. Msze św. odprawił prymas Nowej Zelandii w asyście 8 księży polskiego pochodzenia. Uroczystości te przyczyniły się do założenia Polish Taranaki Social Club, którego członkowie posługują się już tylko językiem angielskim, ale nawizjali współpracę z późniejszą polską emigracją. Obecna Polonia nowozelandzka, licząca około trzech i pół tysiąca osób, powstała właściwie w chwili przyjazdu w listopadzie 1944 roku amerykańskiego statku „General Randel” z grupą 733 polskich dzieci, przeważnie sierot i półsierot (i 105 osób personelu, w tym 42 matek), wywiezionych do Związku Sowieckiego w roku 1940. Przyhili na zaproszenie rządu Nowej Zelandii. Po wojnie grupę tę zasilili stosunkowo niewielka liczba Polaków z Zachodniej Europy (głównie w ramach łączenia rodzin) oraz nieliczni przyjezdni z Polski, a w ostatnich latach również nieliczny napływ polskich uchodźców. Największy wzrost nowozelandzkiej Polonii nastąpił przez przyrost naturalny. Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii powstało w lutym 1948 roku, a jego pierwszym prezesem był kapitan okrętu „Narwik” Polskiej Marynarki Wojennej, Tadeusz Szczerbo-Niefiedowicz. Liczebny wzrost Stowarzyszenia był już w pierwszych latach duży, nowi członkowie to była przeważnie młodzież z grupy przybyłej w 1944 roku. W lutym 1950 roku Stowarzyszenie rozpoczęło wydawanie biuletynu *Wiadomości Polskie*, który ukazuje się nadal jako dwumiesięcznik. W roku 1951 kupiony został budynek na pierwszy Dom Polski w Nowej Zelandii. Obecnie Stowarzyszenie liczy około 300 członków i prowadzi działalność w ramach różnych sekcji, jak radiowa (programy niedzielne), charytatywna, Komitet Rodzicielski z gronem nauczycielskim polskich szkół sobotnich, Koło Polek, Koło Młodzieży. Drugą co do wielkości polską organizacją w Nowej Zelandii jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, liczące około 100 członków. ■ W australijskiej służbie dyplomatycznej pracują obecnie także Australijczycy polskiego pochodzenia. Są wśród nich: Ryszard Broinowski — ambasador w Korei Południowej, Jerzy Juszczyk — pierwszy sekretarz ambasady w Chinach (placówka szczególnie ważna dla Australii), Andrzej Goładzinowski — trzeci sekretarz ambasady w Południowej Afryce. ■ Federalny rząd australijski

zaprosił świętego satyryka i doskonałego publicystę, Jacka Fedorowicza. Paszport otrzymał na osobistą interwencję australijskiego ministra Spraw Zagranicznych. Spotkania Fedorowicza z australijską Polonią miały wszędzie dużą frekwencję i spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem. ■ Australijskie środowiska „Solidarności” zorganizowały w wielu ośrodkach polonijnych bardzo udane występy przedstawicieli niezależnej kultury w Polsce — aktorki Marii Dłużewskiej z monodramem „Prządka” (nagrodzonym przez paryską *Kulturę*) oraz poety i piosenkarza Tadeusza Sikory (zwycięzcy plebiscytu Radia Wolna Europa na piosenkę niezależną w 1987 roku). ■ Z okazji Dnia Australii dwóch Polaków otrzymało wysokie odznaczenie, jakim jest Order Australii. Profesor uniwersytetu w Adelaide, Jerzy Smolich — Order Australii czwartej klasy za zasługi w dziedzinie szkolnictwa wyższego oraz szkolnictwa dla emigrantów; Jan Stefan Leśnicki, członek Prezydium Federacji Polskich Organizacji w Południowej Australii — Order Australii piątej klasy za zasługi w 40-letniej pracy społecznej dla Polonii w Adelaide. Natomiast z okazji urodzin królowej Elżbiety II została odznaczona Orderem Australii 4 klasy znana działaczka polonijna, a od 10 lat prezeska Macierzy Szkolnej w stanie Południowej Australii, Maria Hrycek. Jest to piąta osoba z polskiej grupy etnicznej odznaczona Orderem Australii 4 klasy. Upřednio tylko jeden Polak, profesor Jerzy Zubrzycki (z Australijskiego Narodowego Uniwersytetu w Kanberze) wyróżniony został Orderem Australii 3 klasy, a dwunastu Orderem piątej klasy. ■ Do prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii dookoptowany został prof. Andrzej Ehrenkreutz (z Uniwersytetu Stanowego Michigan w Ann Arbor), przybyły na stałe do Australii. W czasie swojego wieloletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych był m.in. inicjatorem oraz jednym z założycieli Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich. ■ W Sydney odbył się dziesiąty Zjazd Komisji Oświatowej Polonii Australijskiej. Zjazd wybrał ponownie na przewodniczącego inż. B. Kowalskiego. Komisja zrzesza około 130 nauczycieli w 42 szkołach (dwa tysiące dzieci). ■ W ramach 200-lecia osadnictwa europejskiego w Australii miała miejsce prawie 2-miesięczna wizyta 8 polskich żaglowców na czele z „Darem Młodzieży”. Australijska Polonia bardzo gościnnie przyjmowała załogi polskich żaglowców. ■ W Melbourne ukonstytuował się polski komitet (pod patronatem Rady Naczelnej), który ma na celu prowadzenie akcji promocyjnej filmu „Katyń”. Australijski aktor i producent filmowy, twórca kilku sztuk teatralnych i telewizyjnych Jim Daly (ożeniony z Polką), podjął inicjatywę realizacji fabularnego filmu o Katyniu. Nawiązał on kontakt z brytyjską firmą „Film Screen International” w sprawie pozyskania koproducentów, uzyskania funduszy oraz przygotowania rynków zbytu. Australijska Komisja Filmowa wykazała zainteresowanie filmem, oferuje pomoc finansową. Komitet promocyjny filmu „Katyń” oczekuje także poparcia ze strony światowej Polonii. Adres korespondencyjny komitetu: Mrs. Teresa Milton, 19 Austin Street, Balwyn, Vic. 3103, Australia, telefon: (03) 817.3577. ■ Około 50 polskich kapelanów pełni w Australii posługę duszpasterską. Wszyscy, prócz jednego, są zakonnikami (w tym 24 z Towarzystwa Chrystusowego).

Jerzy GROT-KWASNIEWSKI

## KRONIKA KANADYJSKA

W czerwcu nastąpiły zmiany personalne w dwóch pismach polonijnych w Toronto. Po powrocie z urlopu w Polsce zgłosił rezygnację z zajmowanego stanowiska Jacek Borzecki, redaktor naczelny *Związkowca* od czerwca 1983. Wraca on do Polski ze względów osobistych; zamierza zawrzeć tam związek

matżeński. Równocześnie opuścił redakcję *Związkowca* Robert Długoborski, który zamienił polonijne dziennikarstwo na bardziej popłatne i bardziej wdzieczne — budownictwo. Redakcję objął Krzysztof Sójka-Wilmański, chwilowo w charakterze kierownika, gdyż Związek Polaków w Kanadzie — wydawca pisma — poszukuje jeszcze jednego pracownika. Nowy redaktor *Związkowca* przebywa w Kanadzie od kilkunastu lat, publikował na łamach prasy polonijnej szereg artykułów, był współpracownikiem, a w latach 1981-1983, redaktorem naczelnym *Głosu Polskiego*. ■ Zmiana w *Głosie Polskim* nastąpiła w formie drastycznej. Edward Zyman został zwolniony ze stanowiska redaktora naczelnego z dnia na dzień, bez formalnego wypowiedzenia. Dyrekcja pisma zamknęła pokój redakcyjny i zakazała mu wstępu do lokalu. Jak utrzymują Dyrekcja Prasowa oraz Zarząd Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie, zwolnienie to było dyscyplinarne na skutek nieporządkowania się dyrektynom i zaleceniom władz organizacji. Na znak protestu grono osób publikujących na łamach *Głosu Polskiego* zapowiedziało zerwanie współpracy i ogłosiło poparcie dla zwolnionego redaktora. Podjęto akcję w łonie ZNP na rzecz cofnięcia zwolnienia, która się nie powiodła. Strony zatargu nie ograniczyły się do kolportowania wzajemnych zarzutów i oskarżeń, ale rozprawały ulotki. Po skierowaniu do sądu przez redaktora Zymana skargi o odszkodowanie w wysokości \$ c. 299.600 Dyrekcja Prasowa ogłosiła w numerze z dnia 7 lipca obszernie wyjaśnienie swojego stanowiska. Stwierdza m.in., że bezpośrednią przyczyną zwolnienia była odmowa wykonania zaleceń Dyrekcji Prasowej. Stwierdza, że pismo pod jego kierownictwem traciło prenumeratorów „z powodu formy i treści”. I dalej, iż: „członkowie zarządu odczuwali, że odebrane im zostało pismo. Ich pismo od niemal 80 lat”. Pismo obecnie prowadzi Paweł Jedlewski, poprzednio zastępca redaktora naczelnego. ■ Dziennik *Toronto Star* doniósł w numerze z dnia 2 lipca br., że politolog Adam Bromke, profesor McMaster University w Hamiltonie, powraca w sierpniu na stałe do Polski, gdzie „włączy się do nowo utworzonej komórki rządowej (*think tank*) specjalizującej się w stosunkach Wschód-Zachód”. Prof. Bromke zachowa obywatelstwo kanadyjskie. ■ Zarząd Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie ukonstytuował się po walnym zebraniu następująco: prezes — prof. Józef Lityński, wiceprezesi — prof. Hanna Pappius, prof. Andrzej Ruszkowski, sekretarz — Stanisław Latek, skarbnik — Leopold Kurecz, kierownik Biblioteki Polskiej — prof. Hanna Pappius. Honorowym członkiem Zarządu została pani Wanda Stachiewiczowa. Ze sprawozdania finansowego wynika, że stan na 31 grudnia 1987 roku przedstawiał się następująco: na początku roku finansowego: \$ c. 51.418, na koniec IV kwartału: \$ c. 61.616. Różnicę między stanem końcowym i początkowym, \$ c. 10.198, stanowią dochody mniej wydatki: \$ c. 8.699. Budżet na rok 1988 przewiduje dochody w wysokości \$ c. 47.000, a wydatki w wysokości \$ c. 48.000. Główne pozycje dochodowe — subwencja miasta Montreal w wysokości \$ c. 14.200 i Fundusz Millennium w wysokości \$ c. 5.000. Inne pozycje: subwencja Fundacji Społeczno-Kulturalnej — \$ c. 3.000 dały \$ c. 12.000, wpływy biblioteki — \$ c. 7.000, składek członkowskie — \$ c. 3.000. ■ 15 czerwca br. w wieku 88 lat zmarł w Montrealu dr Franciszek Bratek-Kozłowski, jeden z organizatorów i naczelny lekarz Polskiego Towarzystwa Dobroczynności. Należał on do najbardziej popularnych osób wśród Polonii oraz w innych grupach etnicznych. Był jednym z finansujących założenie w 1962 roku wielojęzycznej rozgłośni radiowej CFMB, posiadającej stały program w języku polskim. Ukończył studia w 1926 roku na UJ po czym wyjechał na specjalizację do Francji, gdzie pozostał, osiadł w Lille i stamtąd wyjechał w 1942 roku do Kanady. Od 1942 do 1947 roku służył jako chirurg w kanadyjskiej armii w korpusie sanitarnym w stopniu kapitana, a później majora.

## KRONIKA SZWEDZKA

2-gi i 3-ci kwartał br. upłynęły w Szwecji pod znakiem ciągłych skandali politycznych. Do tej pory nie wyjaśniono afery koncernu zbrojeniowego Boforsa ani zabójstwa premiera Olafa Palme. Część kierownictwa policji łączy te dwie sprawy, uważając, iż Palmego zamordowała terrorystyczna organizacja Kurdów PKK na zlecenie Iranu, gdyż zamierzał ponoć wstrzymać eksport nowoczesnej broni Boforsa na Bliski Wschód. Niezadowolone z przebiegu policyjnego śledztwa spowodowało, że najwyższe kierownictwo socjal-demokracji powierzyło prowadzenie sprawy prywatnej osobie, Ebbe Carlssonowi, właścicielowi domu wydawniczego. Cała operacja przeprowadzona została w ścisłej tajemnicy. Minister sprawiedliwości, Anna Greta Leijon, zaopatrzyła Carlssona w listy polecające do władz i policji bezpieczeństwa we Francji i Anglii, tym samym przekraczając swoje kompetencje. Po wykryciu i opublikowaniu tej afery przez prasę szwedzką Anna Greta Leijon musiała podać się do dymisji, a cała afera znalazła się na forum Komisji Konstytucyjnej Parlamentu. Przesłuchanie to było transmitowane przez telewizję. Niestety jednak zamieniło się w serię wzajemnych oskarżeń i prób zaciemnienia sprawy. Ta oraz mniejsze afery, jakie wydarzyły się w międzyczasie (główny dyrektor poczty zmuszony do ustąpienia po krótkim urzędowaniu, sprawa poprzednika A. G. Leijon, b. ministra Sprawiedliwości, ucieczka najbardziej niebezpiecznego szpiega, Berlinga, jak i niemożność zahamowania ciągłej penetracji wybrzeża i archipelagu szwedzkiego przez „nieznane” łodzie podwodne) nabrały szczególnie wielkiego rozgłosu wobec zbliżających się wyborów do parlamentu, rad wojewódzkich i komunalnych.

☒ Trudno znaleźć na Zachodzie kraj, w którym pisze się tak wiele o Polsce jak w Szwecji. Artykułów, wiadomości, reportaży w TV i radio było tyle, że streszczenie ich zajęłoby zbyt wiele miejsca. Relacje były rzeczowe i na ogół sceptyczne. Wykorzystano wizytę Gorbaczowa do przypomnienia zbrodni katyńskiej. ☒ Na przełomie czerwca i lipca przebywali kilka dni w Szwecji Jacek Kuroń i Janusz Onyszkiewicz. Przybyli tutaj na zaproszenie *Arbetarrörelsens Fredsforum* (Forum Pokoju Ruchu Robotniczego), powiązanego z rządzącą partią socjaldemokratyczną. Brali udział w VII Spotkaniu Europejskiego Ruchu Rozbrojeniowego. Spotkanie to miało miejsce w Lund. Organizatorzy zaprosili poza tym imiennie jeszcze dwudziestu innych działaczy polskiej opozycji, którzy jednak nie otrzymali paszportów. Nawet Kurońowi i Onyszkiewiczowi początkowo odmówiono. Dopiero po stanowczych interwencjach szwedzkich paszporty otrzymali. Goście polscy byli przyjęci przez szefa gabinetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Pierre Schori, który ich zapewnił, że szwedzka socjaldemokracja w dalszym ciągu będzie udzielać poparcia polskiemu ruchowi demokratycznemu, a przy składaniu wizyty kierownictwu zagranicznemu OL — Centrali Związków Zawodowych — otrzymali także zapewnienie. Szwedzkie związki zawodowe uznają jedynie „Solidarność” jako reprezentację polskiego robotniczego ruchu zawodowego. Warto przy tej okazji podkreślić, że stronnictwa opozycyjne nie udzieliły oficjalnego poparcia politycznego czy ekonomicznego opozycji demokratycznej w Polsce, aczkolwiek prasa i opinia publiczna ją popierają. Zbiórki na pomoc Polsce organizowane były przez kościoły szwedzkie, niektóre organizacje oraz osoby prywatne. ☒ *Massmedia* roznuduchały sensacyjnie artykuł *New York Times'a*, według którego „rząd amerykański finansuje opozycję polską”. Artykuł zamieszczamy na str. 98. Szwedzkie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oświadczyło, że „nie jest w posiadaniu wiadomości o udzielaniu pomocy materialnej 'Solidarności', wobec czego nie może skomentować tej sprawy”. Kierownik wydziału MSZ, Peter Oswald

dodał, że jeśli Urząd Celny i policja będą mogły potwierdzić, że szmugiel, o którym pisze *New York Times*, ma miejsce, władze będą musiały oczywiście zastanowić się, jakie to może mieć konsekwencje. ■ *Expressen* z 12 lipca br. — dziennik o największym nakładzie — zanieścił wywiad z Jackiem Kuroniem i Januszem Onyszkiewiczem. „Pierwsza moja podróż na Zachód — mówi Kuroń — jest dla mnie szokiem. Dopiero teraz zrozumiałem, jakie okropne rzeczy dzieją się u nas, jak głęboko upadliśmy w tym systemie”. Zdaniem Onyszkiewicza „w państwowym i partyjnym kierownictwie w Polsce panuje wielkie zamieszanie. Reformy ekonomiczne mają charakter tylko kosmetyczny i nie przyniosą owoców bez jednoczesnych realnych reform politycznych”. Onyszkiewicz dodał, że „istnieje ryzyko, że nastroj beznadziejności zaostrzy się aż do desperacji”. ■ Z wydarzeń polonijnych można wymienić walne zebranie Towarzystwa Przyjaciół *Kultury*, na którym wybrano następujący zarząd: Norbert Żaba — przewodniczący, Anna Małecka — sekretarz, Leszek Morański — skarbnik oraz Justyn Depo i Piotr Zrątek — zastępcy. Następnie odbyło się 19 marca br. walne zebranie Rady Uchodźstwa (RUP). Prezesem znowu wybrano przez akłamację dr. med. Zygmunta Stankiewicza, który w czasie swojej pierwszej kadencji potrafił do RUP wprowadzić dyscyplinę pracy i rozwinąć szereg różnych inicjatyw. 16 kwietnia br. miało miejsce walne zebranie Kongresu Polaków w Szwecji, na którym wybrano prezesem Romana Koba, b. aktywnego członka AK w czasie wojny, a obecnie m.in. zastępcą prezesa oddziału AK w Västeras. Mamy tutaj nadzieję, że uda mu się uporządkować sprawę Kongresu i doprowadzić do harmonijnej współpracy Kongresu z Radą Uchodźstwa. Jednym z bardziej ruchliwych stowarzyszeń polskich w Sztokholmie jest Stowarzyszenie Polek w Szwecji. Urządziło ono w okresie sprawozdawczym szereg spotkań literackich, które odbywają się w lokalu OPON (RUP). Przede wszystkim należy wymienić tu odczyt wygłoszony po polsku przez dr. Andrzeja Nilsa Uggla na temat „Marek Hłasko w oczach Szwedów”. Z szeregu artykułów i prac dr. Uggli o literaturze polskiej jakie ukazały się ostatnio, wymienić należy książkę wydaną w Uppsali. Jest to pierwsze w Szwecji tłumaczenie dramatów S. I. Witkiewicza („Pragmatyści”), „Kurka wodna”, „Wariat i zakonnica”, „Matka”, „Sonata Belzebuba”. Wydawcami i współtłumaczami są Dag Hedman i A. N. Uggla. ■ Uniwersytet w Uppsali w kwietniu br. mianował dr. A. N. Uggla docentem polonistyki. Jest to pierwszy tytuł docenta polonistyki w Skandynawii. Przed tym mieśliemy docentów slawistyki. ■ W Sztokholmie gościł w ostatnich dniach Teatr Powszechny z Warszawy z inscenizacją sztuki szwedzkiego dramaturga P.O. Enquisty pt. „Z życia glizd” w reżyserii Zygmunta Hübnera z Krystyną Jandą i Zbigniewem Zapasiewiczem w rolach głównych. ■ Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* zorganizowało w obecnym półroczu szereg spotkań, odczytów i pokazów filmów VIDEO o tematyce polskiej. Najciekawsze i ważne było spotkanie z Jackiem Kuroniem i Januszem Onyszkiewiczem. Miało ono miejsce 5 lipca br. w wielkiej sali Domu Obywatelskiego w Sztokholmie. Zapelniona po brzegi sala liczyła ponad 350 osób. W czasie dyskusji zebrano na pomoc dla niezależnych wydawnictw w Polsce, po odliczeniu wydatków (porto za zaproszenia) sumę 2.531,50 koron. ■ W ramach Festiwalu Muzyki Nordyckiej w Norrköpingu koncertowała Gdańska Filharmonia Kameralna z muzyką Vivaldiego i Mozarta. ■ Entuzjastyczne recenzje i artykuły ukazały się o 17-letnim Piotrze Jabłońskim, pianście, którego np. *Svenska Dagbladet* (20 lipca) nazywa „cudownym dzieckiem” i „geniuszem fortepianu”. Jabłoński urodził się w Karlskronie z rodziców Polaków. Był najmłodszym uczniem w dziejach wyższej szkoły muzycznej w Malmö. Jest m.in. laureatem *Major Recording Artist Decca*. „Niestety — pisze *Svenska Dagbladet* — opuszcza on Szwecję. Będzie studiował zimą klasyków u Iriny Zaritskiej w Royal College of Music w Londynie. Szwecja straciła już na rzecz zagranicy jednego pianistę, pochodzącego z polskiej rodziny, Ma-

riana Migdała. Niechybnie stanie się to samo z Piotrem Jabłońskim".<sup>13</sup> Wreszcie pragnę wspomnieć o interesującym debiucie dwóch malarek: Szwedki Ulli Andręgią oraz Polski Małgorzaty Romatowskiej. Wystawę zorganizował w swojej galerii mgr Andrzej Ekwiński. W sztokholmskim salonie wiosennym wystawione były dwa obrazy innej młodej polskiej malarki, Iwony Marii Pawłowskiej. Pawłowska miała już kilka wystaw malarstwa i rysunków w różnych miastach szwedzkich.<sup>14</sup> W PRL-u wydano niedawno książkę osiadłego w Szwecji emigranta z Polski, Jacka Kubitsy'ego, pt. „Szwecja od środka”. Kubitsky przedstawił w tym paszkwilu Szwecję w krzywym zwierciadle.

Norbert ŻABA

Pisano 8 sierpnia 1988

## A P E L

### FUNDUSZ S.O.S. POMOCY CHORYM W POLSCE

Zwracamy się do Państwa w sprawie jednego z naszych małych pacjentów. Niemowlę to urodziło się w bardzo ciężkim stanie z pępowiną okręconą wokół stopki. Uratowane, wykazuje niepokojące objawy, gorączkuje od sześciu tygodni do 42 stopni i rozwija się niedostatecznie pod względem psychoruchowym.

W szpitalu w Polsce nie udało się ustalić dokładnej przyczyny choroby i źródła infekcji. Zaistniała konieczność natychmiastowego sprowadzenia dziecka do wysokospecjalistycznego ośrodka w Paryżu. W grę wchodzi operacja neurochirurgiczna dla uniknięcia nieodwracalnych zmian w mózgu.

Na takie wydatki fundusz nasz nie jest w tej chwili przygotowany, tym bardziej, że równolegle finansujemy w Londynie przeszczep szpiku dziewczynki z białaczką.

Dlatego zwracamy się z prośbą o współdziałanie w ratowaniu Tomka. Każdy gest, każda ofiara ma tutaj wartość życia tego dziecka.

W imieniu zespołu Funduszu S.O.S.

(—) dr Stefan KANTOR  
(—) dr Alina MARGOLIS

Dary prosimy przysyłać na konto:

S.O.S. — COORDINATION POLOGNE  
18, RUE CLAUDE LORRAIN, 75016 PARIS

lub: CCP 1336936 X PARIS

Na odwrocie czeku prosimy dopisać hasło: TOMEK.

## Listy do Redakcji

### WYJAŚNIENIE

Korzystam z łamów *Kultury*, żeby zawiadomić Czytelników, że uchylam się od odpowiedzialności za wywiad ze mną, ogłoszony we Francji przez *Le Figaro Magazine* z 9 lipca 1988. Wywiad rzeczywiście miał miejsce w Berkeley, ale dziennikarz, Guy Sorman, podał fałszywe informacje o mojej osobie i włożył mi w usta opinie, których nigdy nie wypowiedziałem.

Szukając wygodnych *clichés*, zrobił ze mnie byłego członka partii komunistycznej, którym nigdy nie byłem, a także aroganckiego Polaka, który twierdzi, że Polacy są jedynym narodem zdolnym opierać się sowietyzacji, co więcej jestem zwolennikiem polonizowania Litwy. Tyle zostało w jego ujęciu z moich wypowiedzi, idących dokładnie w odwrotnym kierunku.

Niech ta przygoda posłuży za ostrzeżenie przed tego rodzaju dziennikarstwem, w którym trudno rozróżnić, co jest podyktowane przez ignorancję, a co przez złośliwość.

Czesław MIŁOSZ

7 sierpnia 1988

Melbourne, 11 lipca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z niejakim rozbowieniem przeczytałem zamieszczony na łamach warszawskiego tygodnika *Szpilki* (z 9 czerwca 1988) wiersz pt. „Saga chicagowska” autorstwa niejakiego p. Mariana Dobrowolskiego z Nepersville, USA. A mnie, naiwnemu człowiekowi, cały czas się *rodziło* że ów wiersz napisałem ja jeszcze w roku 1960 dla kabaretu „Wesoła kookaburra” w Melbourne; że został on opublikowany w zbiorze moich satyr „Z kangurem pod rękę” (Melbourne, Polpress 1962) na str. 75 i powtórzony w następnym tomiku „Do góry nogami” i że był wielokrotnie recytowany na różnych imprezach satyrycznych i przez radio.

Aby dodać autentyczności „swojemu” poematowi, pan Dobrowolski zamienił oryginalne słowa

... *Jak dwie karty w jednej talii,  
Oni w Polsce, my w Australii...*

na

*Nikt nie karmi siebie blagą,  
Oni w Polsce, my w Chicago.*

Bardzo jestem ciekaw jak *Szpilki* ustosunkują się do tej sprawy, a zwłaszcza pan Zygmunt Broniarek, on to bowiem „wynalazł” ten wiersz w Chicago i przesłał do *Szpilek*.

Zachodzi obawa, że następną rewelacją ze strony pana Broniarka oraz *Szpilek* będzie zamieszczenie innego „oryginalnego” poematu, zaczynającego się od słów „Florydo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...”.

Z poważaniem

A. R. CAWROŃSKI

P.S. Pozwalam sobie przesłać odbitki:

- (a) wiersza „Rodzinka” ze zbioru „Z kangurem pod rękę”,
- (b) wiersza „Saga chicagowska”, wydrukowanego w *Szpilkach*.



Londyn, 25 lipca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniu ubiegłego roku Redakcja miesięcznika *Znak* wychodzącego w Krakowie, zwróciła się do mnie z propozycją wypowiedzenia się na temat „czym jest polskość”. Propozycję przyjąłem, tekst wysłałem i ukazał się on w marcowym numerze miesięcznika. Niestety cenzura wycięła z mojej wypowiedzi ostatni paragraf, który był odpowiedzią na postawione przez Redakcję pytanie. To, co pozostawiono, jest wprowadzeniem tematu i zawiera kilka jaskrawych przykładów naszych krańcówści. Będę bardzo zobowiązany za druk zakończenia mojej wypowiedzi, które podaję poniżej.

„Na Zachodzie kłębią się obecnie tysiące młodych Polaków, którzy w ostatnich latach opuścili kraj i którzy są emigracją zarobkową, przy czym chodzi im o szybki i łatwy zarobek połączony z jak najmniejszą ilością pracy. Mam o nich złą opinię, a jednak jestem przekonany, że gdyby — co nie daje Boże — w Polsce wybuchło powstanie, ludzie ci rzucą domy, mieszkania, samochody, stypendia, wygodne synekury i wszystkimi możliwymi sposobami będą się starać jak najszybciej wrócić by wziąć udział w walce. I włączą się w nią z pełną pogardą śmierci.

Czym jest polskość?

Jest chyba krańcowym skłębieniem się złego i dobrego, do takiego stopnia, że zaczyna graniczyć z absurdem.

W każdym społeczeństwie istnieją krańcówści, wszędzie są przykłady złego i dobrego, ale co innego spór polityczny, filozoficzny czy ideowy w wolnym, zasobnym, normalnie rozwijającym się kraju, a co innego rozpaście krańcówści w obłożonym okopie, który broni się resztkami sił i dla którego jest to problem przetrwania lub zagłady.

Jeżeli naród polski ma znaleźć swoje miejsce w dzisiejszym świecie, wśród Polaków musi nastąpić wielka redukcja kandydatów na wodzów i bohaterów i wielka redukcja lajdaków. Musimy mieć 36 milionów zwyczajnych ludzi, którzy będą chcieli pracować, spokojnie żyć, wysuwać na czoło właściwych przywódców i uznawać ich autorytet.

Na to jednak potrzebny jest czas i potrzebna jest swoboda własnego, czysto polskiego działania.

Wtedy będzie łatwiej dać odpowiedź na pytanie, czym jest polskość”.

Z wyrazami szacunku i pamięci

Józef GARLIŃSKI

Vancouver, 26 czerwca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z informacją jaka została zawarta w artykule „Samokrytyka byłego ekstremisty” (*Kultura* nr 5/1988) dotycząca wpadki KOS-a majowego w 1982 roku z tekstem Jastrzębowskiego, poczuwam się do wyjaśnienia, że wpadła tylko część nakładu, która była w dyspozycji kolportażowej redakcji KOS-a, tzn. około 500 egzemplarzy. Pozostała część nakładu, tzn. około 7.500, rozeszła się bez żadnych przeszkód kolportażem Kręgu — jak zwykle w tym czasie. Pierwszą całkowitą wpadką nakładu KOS-a była wpadka drukarni w grudniu 1982 roku z nakładem KOS-a nr 200 (16.000 egzemplarzy), przy okazji wpadły dowody (matryce; blachy, resztki wydrukowe, makiety itp.) drukowanych w tym miejscu 11-tu innych pism, którym w tym czasie pomagał Krąg.

Z poważaniem

Adam KARWOWSKI

Informacja o konfiskacie majowego numeru *KOS*-a pochodziła od łączniczki, która regularnie odbierała w imieniu redakcji *KOS*-a materiały do druku, zaś przynosiła wydrukowane egzemplarze *KOS*-a. W maju nie przyniosła ani jednego egzemplarza mówiąc, że „prawie cały nakład wpadł”. Jak się okazuje, nie miała racji. Wpadła tylko część.

Przy okazji pozdrawiam kolegę ze wspólnej celi, z drugiej połowy lipca 1983 roku.

Łączę pozdrowienia

Jerzy JASTRZĘBOWSKI

Londyn, 24 lipca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim numerze *Kultury* (nr 7-8/1988) w „Kronice niemieckiej” (str. 153) przeczytałam wzmiankę o występach w Berlinie warszawskiego aktora Marka Bargielowskiego w monodramacie pt. „Kim był ten człowiek?” (o Januszu Korczaku), aktualnie granym w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Podane były jeszcze nazwiska organizatorów tej imprezy, natomiast nie podano nazwiska autorki, czyli mojego, Tamary Karren. Nie wątpię że opuszczenie to nie było spowodowane przez Redakcję *Kultury*, że tak została ona poinformowana z Berlina.

Mam nadzieję, że Pan Redaktor zechce opublikować ten list.

Załączam wyrazy prawdziwego poważania

Tamara KARREN-ZAGÓRSKA

Millbrook, N.Y., 1 lipca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do artykułu p. Bohdana Czaykowskiego pt. „Lwowska szkoła inżynierii dusz”, zamieszczonego w nr. 4/482 *Kultury* z 1988 r., pragnę podać do wiadomości istotny szczegół, dotyczący wymienionej w artykule Haliny Górskiej.

W rozmowie jaką miałem w dniu 22 września 1940 roku w mieszkaniu Górskich przy ul. Jakuba Strzemię 8 we Lwowie, fizycznie wycieńczona, zrozpaczona, ale nieugięta i zdeterminowana Halina Górska oświadczyła mi, że jako literatka polska odmówiła przyjęcia członkostwa Związku Pisarzy Sowieckich Ukrainy, co oświadczyła publicznie, w czasie uroczystości przyjmowania pisarzy polskich do związku w pierwszą rocznicę „wyzwolenia”.

Licząc się z konsekwencjami swego wystąpienia, Halina rozważała wówczas możliwości uchronienia córeczki, Krystyny i chorego męża, Mariana Górskiego przed represjami. Upřednio miała już miejsce faza masowego terronu — aresztowania pisarzy polskich i deportacja ludności polskiej w głąb Związku Sowieckiego.

Halina Górska została zamordowana w więzieniu po wkroczeniu Niemców do Lwowa.

Łączę wyrazy szacunku

Juliusz KĘPSKI

Uppsala, 11 czerwca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisanie listów do redakcji na pewno jest jałowym zajęciem, niekiedy jednak trudno oprzeć się złudnemu przeświadczeniu, że powtarzanie prawd oczywistych może czasem przynieść jakiś społeczny pożytek.

Korzystając z kanikuli uzupełniam zaległe lektury i czytam Daniela Beauvoisa monumentalną monografię „Polacy na Ukrainie”, wydaną w ubiegłym roku przez Instytut Literacki, czyli mówiąc prościej, przez Pana. Doskonała praca, płód wielkiego czytania i dużej kwerendy archiwalnej, ciesząca nie tylko ze względu na wyeksponowany w tytule temat, ale również dlatego, że Autor zwrócił przede wszystkim uwagę na struktury społeczne czyli na ukrytą motorykę zjawisk historycznych. Te metodologiczne założenia pozytywnie różnią warsztat Daniela Beauvoisa od postaw poznawczych panujących aktualnie wśród polskich historyków. A więc lektura i pożyteczna i przyjemna.

Monografię przetłumaczyli Ewa i Krzysztof Rutkowski. Ich na wisko jest mi znane z powodu wnikliwych badań Krzysztofa Rutkowskiego nad polską emigracją polistopadową, głównie dzięki książce „Braterstwo lub śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Bożym”, wydanej w 1988 roku w Paryżu. Ale mowa nie o badaniach lecz o tłumaczeniu. Nie podejmuję się oceniać jego wartości, moim zdaniem ich polszczyzna jest ładna, prace — przecież wcale nie popularną — czyta się warko i nie zamierzam napadać na nich z powodu nie zauważonych potknięć, wiem że nikt parający się piórem nie jest od nich wolny, upomnę się jednak o prawidłową pisownię nazwiska *Awejde* (w tłumaczeniu: Awajde), znanego wszystkim co choć trochę parali się historią polskiego wieku XIX.

Zostawmy więc na uboczu potknięcia lub przeoczenia korekty. To co mnie uderzyło przy czytaniu, to charakteryzujący polskiego inteligenta i intelektualistę niski stan wiedzy o Rosji, nawet wśród ludzi, którzy z racji zainteresowań i kwalifikacji powinni się Rosją interesować. Lat siedemnaście temu zdarzyło mi się na łamach *Kultury* polemizować z kimś, kto dowodził, że „nam Polakom dana jest szczególna znajomość Rosji”, ja jednak, bardziej lub mniej zajmując się Rosją zawodowo, uważałem, że tak co prawda być powinno, ale stan rzeczywisty jest różny od idealnego.

Lektura „Polaków na Ukrainie” mój sąd potwierdza. Oto pierwszy przykład. Czytamy w książce, że wprowadzone na prawobrzeżnej Ukrainie w 1847 roku „Prawo o inwentarzach” dzieliło chłopów na cztery kategorie: *ciągłych, półciągłych, ogrodowych i bezrolnych* (str. 65). Otóż ci chłopci ciągli i półciągli to oczywisty absurd, ówczesne prawo pańszczyźniane nie dzieliło ludności wiejskiej wedle zasady rozciągłości. Pojęcia *ciągłyj* względnie *połutiałyj* wywodzą się z rzeczownika *tiagło*, ciężar, oznaczającego w tym wypadku rozmiar chłopskich powinności wynikających z poddaństwa a proporcjonalnych do rozmiarów gospodarstwa. Chłopi użytkujący gospodarstwo o pełnym wymiarze i dlatego zobowiązani do ciężarów w pełnym wymiarze — to owi *tiagłyje*. Odpowiednio chłopci na swoim, ale posiadający gospodarstwo w nie pełnym wymiarze, ponosili ciężary (pańszczyzna, obrok, czynsz) mniejsze i dlatego określano ich jako *połutiałych*.

Również tłumaczenie *ogorodników* jako *ogrodników* świadczy o nieznamomości zarówno języka rosyjskiego jak i polskich struktur społecznych. W Polsce omawiana kategoria nosi nazwę *zagrodników*.

Trudno pogodzić się z twierdzeniem (str. 231), że Piotr I anulował w 1795 roku jakieś rozporządzenie Katarzyny z 1794 roku — Piotr już nie żył od dziesięcioleci a był koniec końców postacią głęboko wdzierającą się w historię, również Polski. Więc błąd niewybaczalny, choć noszący charakter lapsusu.

Teka archiwalna po rosyjsku nazywa się *dielo*, jeśli notować to słowo fonetycznie, *delo* — przy transliteracji. Tłumacze upoczywie piszą *delo*,

co jest może próbą „poprawienia” francuskiej transliteracji, ale daje zabawny rezultat.

W książce ciągle mowa o gubernatorach cywilnych, co chyba zostało wydedukowane jako opozycja do wojennych gubernatorów istniejących na pograniczu imperium oraz do wyższego rzędu general-gubernatorów, ale jest błędem, przecież z istnienia w obecnym świecie generalnych dyrektorów nikt nie wyciąga wniosku o potrzebie akcentowania cywilnego charakteru dyrektorów pomniejszego rzędu.

To co piszę, nie jest wysuwaniem wygórowanych wymagań w dziedzinie znajomości ani języka rosyjskiego ani historii Rosji. Nie jest też kamykiem w ogródek tłumaczy. Bo koniec końców ich błędów nie dostrzegło również wydawnictwo — a znam przecież Pana, Panie Redaktorze, wielką kompetencję w zakresie rusycystyki — ani też autor kompetentnej przedmowy, ani recenzenci. Zresztą, podobnych potknięć o rosyjskie konkrety u innych autorów i tłumaczy też znajdują wiele, więcej niż w pracy którą czytam. Wnioski postawione we wstępie listu wydają się więc być potwierdzone. Co wcale nie sprawia mi przyjemności, jako że potrzeba znajomości spraw rosyjskich i sowieckich nie ulega ponoć dyskusji.

Będę wdzięczny za opublikowanie listu.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku

Józef LEWANDOWSKI

30 czerwca 1988.

Jerzy Urban w czasie swojej tygodniowej konferencji prasowej w dniu 28 czerwca br. zażądał od Głosu Ameryki zdementowania informacji, że w 1957 roku odwiedził Monachium i rozmawiał ze mną i innymi pracownikami RWE. Korespondent Głosu Ameryki mówiąc o tym powołał się na drugi tom moich wspomnień radiowych „Polska z oddali”. W rozdziale pod tytułem: „Wizyta *Po prostu*” opisałem rozmowy z kilku redaktorami tygodnika, którzy wkrótce po Październik znależli się w Monachium i zażądali spotkania z przedstawicielami zespołu RWE.

Wbrew temu co twierdzi Urban, nie zetknąłem się z nim wtedy osobiście. Spotkał się z nim i rozmawiał jeden z naszych redaktorów, Jan Krok-Paszkowski. Odtwarzając ten incydent nie polegałem na własnej pamięci, która po przeszło trzydziestu latach może zawieść. Zwróciłem się do Jana Kroka-Paszkowskiego i oparłem się na jego relacji. W liście do mnie z dnia 15 czerwca 1986 roku pisał on:

„Niestety nie mam notatki z rozmów z *Po prostu*, ale pamiętam dość dobrze to spotkanie. Delegacja przyjechała z Paryża do Monachium na zaproszenie dziennika *Münchener Merkur*. Pamiętam rozmowę z dziennikarzem niemieckim, który miał do nas pretensje, że wykorzystujemy tę wizytę dla własnych celów, bo jak twierdził dziennikarze z *Po prostu* więcej poświęcają czasu nam niż Niemcom, którzy uważali się za gospodarzy. Wspomniałem o tej rozmowie Berkowiczowi, który był najaktywniejszy z całej grupy. Powiedział mi otwarcie, że przyjęcie zaproszenia było dla nich dobrym pozorem, żeby spotkać się z nami, na czym im bardziej zależało... W skład delegacji wchodził poza nim Szyndler, Jerzy Urban i Wiesław Adamski... Jerzy Urban trzymał się osobno i o ile pamiętam nie chciał się z Panem zobaczyć. Rozmawiałem z nim dość dużo, bo był niewątpliwie bardzo inteligentny i dobrze zorientowany. Był już wtedy sceptycznie nastawiony do wszystkiego, a przede wszystkim do całej koncepcji 'odwilży'. Na temat naszych programów nie wypowiadał się prawie zupełnie, ale interesował się naszą motywacją. W związku z tym sporo rozmawialiśmy o Armii Krajo-

wej. Osobiście byłem przekonany, że znam go z okresu okupacji, ale on się do tego nie przyznawał. Być może się myliłem, ale przez pewien czas mieszkalem w Warszawie w internacie RGO. Było tam nas około 40 chłopców w wieku 16-18 lat. Jednym z nich był Jerzy Urban, fizycznie bardzo podobny do późniejszego rzecznika rządu PRL. Trzymał się raczej osobno i nie należał do AK, tak jak niemal bez wyjątku wszyscy inni. Cały internat wyszedł do Powstania jako pluton. Urbana już wtedy nie było. Gdy zobaczyłem Urbana w Monachium byłem przekonany, że znam go z tamtych czasów, ale on stanowczo temu zaprzeczył i na tym się skończyło. Podobieństwo fizyczne było jednak uderzające".

Podrozdział „Wizyta Po prostu” oparłem na tej, bardzo szczegółowej relacji Kroka-Paszkowskiego. Nie mam najmniejszych podstaw, by poddawać w wątpliwość jego wiarygodność. Sylwetka Urbana, dobrze znana ze zdjęć prasowych jest zbyt charakterystyczna, by dopuścić możliwość, że Krok-Paszkowski wziął kogoś innego za obecnego rzecznika rządu PRL.

Do wiadomości Redakcji załączam mój list do Paszkowskiego z dnia 18 maja 1986 roku i jego odpowiedź z 15 czerwca 1986.

Jan NOWAK

London, 11 lipca 1986.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Będę bardzo zobowiązany jeśli zechce Pan umieścić parę moich uwag w sprawie polsko-ukraińskich stosunków. Bedac kilka dni temu w londyńskim „Ognisku” spotkałem tam pewnego polskiego naukowca-historyka przybyłego z Kanady, który w ostrej formie wystąpił przeciw polsko-ukraińskiemu porozumieniu do chwili, aż strona ukraińska nie przyzna się i nie prosi strony polskiej za wszystkie zbrodnie popełnione wobec ludności polskiej w okresie drugiej wojny światowej. Twierdził on, że jeżeli od Niemców żądamy przyznania się i ukarania winnych za ich zbrodnie, a od Rosji Sowieckiej przyznania się do Katynia i wielu innych zbrodni, to dlaczego nie żądamy dochodzeń i karania winnych zbrodni ukraińskich?

Wydaje mi się, że twierdzenie takie jest słuszne, z tym że należy uwzględnić to, że Niemcy i Sowiety popełniali zbrodnie oficjalnie z tytułu swej władzy, a Ukraińcy działali na terenach okupowanych przez te dwa państwa, więc raczej jako ich *proxi*. Nie mniej, zbrodnia jest zbrodnią i powinna być ukarana. Przy tym jednak pamiętać należy, że w cywilizowanym świecie nie może być odpowiedzialności zbiorowej, nie można więc winić całej społeczności ukraińskiej. Trzeba będzie przeprowadzać dochodzenia w każdym konkretnym wypadku, by wykrywać winnych, jeżeli natomiast zbrodniarze już nie żyją, wystarczy wydać na nich wyrok pośmiertny.

Dlatego uważam, że dla oczyszczenia atmosfery i stworzenia przychylnych warunków, jednym z punktów polsko-ukraińskiej umowy winno być prawo każdej ze stron do szukania autorów tych zbrodni i wydawania odpowiednich orzeczeń. Tym bardziej, że i strona ukraińska może mieć jakieś zastrzeżenia do stron polskiej.

W sprawie stosunków z Ukraińcami zachodzi jeszcze jeden nadrzędny czynnik, mianowicie, gdy w przyszłości nasi sąsiedzi od wschodu: Ukraińcy, Białorusini i Litwini uzyskają niepodległość, to w interesie narodu polskiego zaistnieje potrzeba ułożenia z nimi przyjaznych, dobrosąsiedzkich stosunków, aby można było, na wzór zachodnioeuropejski, stworzyć regionalną Wspólnotę Narodów.

W sprawie stosunków z Ukraińcami zachodzi jeszcze jeden nadrzędny nienie, jest to sprawa przyszłych granic, jednak nie wydaje mi się słuszne,

by tą sprawą zajmować się obecnie. Zupełnie będzie wystarczające, jeżeli teraz uzgodnimy tylko zasadę na podstawie której w przyszłości mają być rozwiązywane te zagadnienia.

Łączę wyrazy pozawania

Aleksander SZENDRYK

Madryt, 10 lipca 1988.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W czerwcowym, 6-tym numerze *Kultury*, na 19-tej stronie odpowiadającej dacie 27 marca „Dziennika pisanego nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, cieszącego się wielką poczytnością, znalazły się dwa błędy, które z racji na ich wagę informacyjną i merytoryczną, pozwalam sobie tu naprawić.

Mówiąc bardzo wnikliwie o XVII-towiecznym malarzu hiszpańskim Zurbaranie i jego mistycznej interpretacji postaci św. Franciszka z Asyżu, autor widzi malarza jakby powtarzającego „sobie w duchu wersy Świętego Jana od Krzyża: „Żyję nie żyjąc we mnie / i w ten sposób oczekuję / że umrę by nie umrzeć”.

Po pierwsze, przytoczony werset nie pochodzi z mistycznej poezji Św. Jana od Krzyża, a z dzieła współczesnej Janowi mistyczki, pisarki, reformatorki i fundatorki klasztorów Karmelitanek Bosych w Hiszpanii, wreszcie Doktorki Kościola, Świętej Teresy od Jezusa (z Avili).

Po drugie, tłumaczenie wersetu jakie Pan Gustaw nam podaje nie odpowiada prawie zupełnie oryginalnemu tekstowi hiszpańskiemu, który brzmi:

„Vivo sin viri en mí,  
y tan alta vida espero  
que muero porque no muero”...

Pan Herling-Grudziński tłumaczy lub przytacza takie tłumaczenie:

„Żyję nie żyjąc we mnie  
i w ten sposób oczekuję,  
że umrę by nie umrzeć”.

Jest to bardzo poważne zbanalizowanie oryginału, które czyni zeń zwykły kalambur, bez głębokiej, mistycznej treści.

Nie łatwe, ale poprawne i dosłowne tłumaczenie powinno brzmieć:

„Żyję nie żyjąc we mnie  
i tak wielkiego życia oczekuję,  
że umieram, bo nie umieram”.

Sens wersetu polega więc na metaforze umierania spowodowanego rozpaczą przedłużającego się życia, a tym samym odwracającej się szczęśliwości wiecznej. Różnica jest więc zasadnicza.

(Nota bene Józef Łobodowski w swoich świetnych tłumaczeniach hiszpańskich mistyków, tłumaczy tę ostatnią linijkę wersetu w sposób kongenialny w sensie, choć bardziej rozwlekły: „... że umieram, bo umrzeć nie mogę...”).

Już jako anegdotyczny drobiazg warto zauważyć, że nazwisko malarza hiszpańskiego brzmi Zurbarán, z akcentem na ostatniej sylabie. Nie chodzi mi o ortografię, a raczej o fonetykę. Dla polskiego czytelnika Zur-barán jest chyba trochę mniej śmieszne niż zwykły Zur-baran.

Z głębokim pozawaniem

Kazimierz TYLKO

Ann Arbor, 18 lipca 1988.

Szanowny Panie,

W nr. 5/488 *Kultury* z 1988 roku, w dziale „Kronika ukraińska”, Józef Darski zamieścił informację o moim odczycie w Naukowym Towarzystwie im. Tarasa Szewczeni w Nowym Jorku. Użyte w niej sformułowanie sugeruje, jakoby m twierdził, że mianowanie biskupa dla ukraińskich katolików w Polsce oznaczałoby „wyjęcie UCK spod jurysdykcji Prymasa Polski i podporządkowanie jej bezpośrednio Rzymowi”.

Zdania takiego nie wypowiedziałem, jako, że nie są mi znane decyzje Stolicy Apostolskiej w tej sprawie i jako, że świadom jestem faktu, iż jedno z najczęściej przewidywanych rozwiązań zakłada nominację tylko biskupa-sufragana dla grekokatolików przy Prymasie Polski.

Przypuszczalnie pomyłka pana Darskiego wzięła się stąd, że odpowiadając na zapytanie jednego z dyskutantów wyraziłem swój pogląd odnośnie wartości takiego rozwiązania. Otóż uważam, że należałoby je uznać jedynie za wstępne i czasowe. Zarówno historyczne tradycje jakie posiada obrządek grekokatolicki na obecnych ziemiach Polski (diecezja w Przemysłu i administracja apostolska Łemkowszczyzny) jak i aktualne potrzeby duszpasterskie (jak twierdzą niektórzy ponad 300 tysięcy wiernych) oraz doświadczenia płynące z dziejów tworzenia administracji grekokatolickiej w Ameryce Północnej i konfliktów wynikłych z jej początkowego uzależnienia od hierarchii łacińskiej wskazują, że jurysdykcyjna odrębność obu obrządków w Polsce byłaby, bez wątplenia, rozwiązaniem optymalnym. Czy jednak aktualne warunki polityczne i poglądy panujące na temat tej kwestii w łonie episkopatu polskiego uczynią przyjęcie tego rozwiązania możliwym, tego nie byłem i nie jestem w stanie przewidzieć.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej A. ZIĘBA

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*K.J., Mirna Park (USA).* — Nie zamieścimy. Pana polemika z Szarugą jest nieprzekonywująca.

*B.Z., Kraków.* — Nie zamieścimy. Nie można z okazji pogrzebu prof. Pawła Rybickiego rościć porachunków osobistych.

*Anonim z Center Sandholm (Dania).* — Nie widzimy możliwości wydania Pana obszernych pamiętników, w dwóch tomach (z zapowiadzanym trzecim). Są całkowicie nieinteresujące.

*Anonimowy Autor, Berlin.* — Pana artykułu „W drodze na III Kongres uczonych polskiego pochodzenia” nie zamieścimy. Zarzut, że na Kongres nie zaproszono uczonych polskiego pochodzenia ze Związku Sowieckiego wydaje się nam nieuzasadniony. O ile nam wiadomo, takich uczonych w Polsce sowieckiej nie ma. Niestety jest to Polonia z minimalną ilością inteligencji.

## WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ZEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w Kraju z przemocą komunistyczną, za miesiące lipiec i sierpień br., po DM 10,00 — razem: DM 20,00	F. 66,70
B.B., NYC (USA) — na opozycję polityczną — \$ 40,00 ....	F. 256,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL — za miesiące lipiec i sierpień br., po F. 200,00 — razem: .....	F. 400,00
Robert Ferenc, Annweiler, RFA — na pomoc dla walczących w Kraju .....	F. 67,59
Kolejną sumę zebraną z okazji wyświetlania polskich filmów w Stow. Polskich Kombatantów, Koło Nr 13 w Winnipeg, MB (Kanada) — na niezależną kulturę w Polsce (nadesłał dr Kazimierz Patalas) — \$ c. 244,00 .....	F.1.220,00
Ku uczczeniu pamięci Henryka Weynerowskiego, wielkiego Polaka i patrioty — zamiast kwiatów — na pomoc dla rodzin uwieczonych bojowników o wolność — B.A.R., Miami, FL (USA) — \$ 250,00 .....	F.1.600,00
Roman Lewandowski, Boulogne-Billancourt (Francja) — zamiast pić wódkę w poniedziałek rano. 27 czerwca br. ....	F. 65,50
Maria Rasiej, Bogota, NJ (USA) — \$ 22,00 .....	F. 140,00
Pp. E. L. Salamońscy, Filadelfia, PA (USA) — \$ 20,00 ....	F. 128,00
Roma Starczewska, Nowy Jork — zamiast kwiatów na grób Ojca, Karola Kucińskiego, w 6-tą rocznicę Jego śmierci — na pomoc dla prześladowanych politycznie i ich rodzin — \$ 26,00 .....	F. 166,00
Andrzej Woźniak, Elmhurst, NY (USA) — na walkę z komunizmem prowadzoną przez podziemie w Kraju — \$ 100,00	F. 640,00

## WPLATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Maria i Kazimierz Filipczak, Kiel (RFN) — na pomoc dla strajkujących działaczy „Solidarności” .....	F. 167,87
Suma zebrana przez Radę Uchodźstwa Polskiego w Szwecji w czasie akademii 3-go Maja — na pomoc dla strajkujących — Krs 1.604,00 .....	F.1.523,00

## WPLATY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCĄ”

Małgorzata i Paweł Nassalscy, NYC (USA) — \$ 25,00 .....	F. 160,00
Stowarzyszenie Polskie w Lozannie (Szwajcaria) .....	F. 400,00
Złożone w Redakcji <i>Listów do Polaków</i> , New Britain, CT (USA): Antoni Pruszyński, Dariusz Czechowicz, Piotr Bystrzanowski i Ireneusz Szelest po \$ 20,00; Krzysztof Polewka, Edwin Wiśniewski, Aleksander Biedak, Andrzej Warot, Wiesław Micherda, Wiesław Wierzbowski, Witold Szypczak, Wojciech W. Hryniewicz, Wojciech Ostrowski i Ludwik Borowski po \$ 10,00 — razem: \$ 180,00 .....	F.1.152,00



## WPLATY NA FUNDUSZ INTERWENCYJNY

„Association pour la Défense des Droits Démocratiques du Peuple Polonais” w Lozannie (Szwajcaria) — dla Komisji do Spraw Interwencji i Praworządności .....	F. 798,72
Grupa szwajcarskich Polaków — dla strajkujących w Polsce (na ręce Z. Romaszewskiego) .....	F.1.277,95

WPLATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI  
IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Henryk Palberg, Kolonia (RFN) .....	F. 67,16
Suma zebrana w Sztokholmie 5 lipca 1988 roku w czasie spotkania Jacka Kuronia i Janusza Onyszkiewicza z miejscową Polonią w Towarzystwie Przyjaciół „Kultury” — na fundusz drukarski dla poparcia niezależnych wydawnictw w Polsce — Krs 2.531,50 .....	F.2.405,00
Dr Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada) — \$ c. 30,00 .....	F. 150,00



Po spotkaniach zorganizowanych w Szkocji przez M. Garzteckiego, na których Ryszard Czarnecki wygłosił referat pt. „Polska po strajkach — źródła nadziei”, zebrano — a mianowicie: 18 maja br. w Falkirk — £ 25,50 i 19 maja br. w Glasgow — £ 43,00 — razem: £ 68,50. Ryszard Czarnecki przekazał tę sumę na pomoc dla prasy NZS (Niezależne Zrzeszenie Studentów) .....

F. 719,00

CZY  
W POLSCE  
MOŻE BYĆ LEPIEJ

Rewelacyjna książka polityczna:  
**CZY W POLSCE  
MOŻE BYĆ LEPIEJ?**

Henryk A. Kowalczyk

Do nabycia w polskich księgarniach  
lub proszę wysłać \$14.00 na adres

Henryk A. Kowalczyk

5746 W. 63rd St.

Chicago, Ill. 60638

Hurtowi nabywcy proszę dzwonić (312) 284-7100

## DALSZY CIĄG SPISU RZECZY

## KSIĄŻKI

Leszek Kołakowski:	<i>Niezwykła kariera głosu</i> .....	129
Krzysztof Pomian:	<i>Lekcja dla opozycji</i> .....	133
Andrzej Brzeski:	<i>W błędnym kole</i> .....	136
Mikołaj Ruskowski:	<i>Nowości literatury krajowej</i> .....	139
Krzysztof Rutkowski:	<i>Twórczość Włodzimierza Paźniewskiego</i>	145
Leszek Szaruga:	<i>Ważna bibliografia</i> .....	148
Janina Katz Hewetson:	<i>Polka w Danii: historia kariery</i> ....	151
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i> .....	153



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: australijska i nowozelandzka, kanadyjska, szwedzka</i> .....	155
---	---	-----



Cz. Miłosz, A. R. Gawroński, J. Garliński, A. Karwowski, J. Jastrzębowski, T. Karren- Zagorska, J. Kępski, J. Le- wandowski, Jan Nowak, Al. Szendryk, Kaz. Tylko, A. A. Zięba:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	166
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	173

---

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

---

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

---

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1988.

---

Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 9203.

**PRZEDSTAWICIELSTWA**

	Egz. poj.	Przenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1988</b>			
<b>AFRYKA POLUDNIOWA:</b> Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0161 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>ARGENTYNA:</b> « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>AUSTRALIA:</b> Księgarnia Polska WISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 .....	\$A. 10,00	\$ A. 60,00	\$A. 110,00
<b>AUSTRIA:</b> Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>DANIA:</b> G. T. Zaklewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>HOLANDIA:</b> Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4392 B I Vierssinga. Tel.: (01 864) 14073. Postgiro 1379176 ..	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
<b>IZRAEL:</b> Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29442. Tel.: 621311 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>KANADA:</b> Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Crossard, P.O. JAW 155. Tel.: (514) 455-2362; Baltazar Krasowski, 2, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 88, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604)338-0040; Z. Michardzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8N 3Z3. Tel.: 545-2145; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiast-kowice »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	\$ can. 10,00 DM 14,00	\$ can. 50,00 DM 80,00	\$ can. 98,00 DM 150,00
<b>NIEMCY:</b> St. Miksiuk, 8 München 45, Gablenzerstr. 7/1 ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>NORWEGIA:</b> Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Beernæs Verk. Tel.: 51 20 55 .....	F.S. 12,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
<b>SZWAJCARIA:</b> Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431 ..	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
<b>SZWECJA:</b> Norbert Zaba, Kalskärögatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-45-70. Postgironkonto Nr 43 82 34 6 ..			
<b>U.S.A.:</b> S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 6893; Ada Dziewanowska, 3352 No Haskett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; Y. Kossacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-42-47; Irena Krotowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Korciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48378; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 6347 Chene Street, Detroit, Mich. 48214; Szweda Staris Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 36th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 254-0492 .....	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
<b>WIELKA Brytania:</b> Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>WŁOCHY:</b> Witold Zahorski, 09183 Roma, via Gallia 60 Int. 21. Tel.: 75-67-241 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

**INSTITUT LITTERAIRE**, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 440 — JAKUB KARPIŃSKI

## TATERNICTWO NIZINNE

Autor czterech książek opublikowanych w „Kulturze” (pod nazwiskiem MAREK TARNIEWSKI) tym razem opisuje wydarzenia z powojennej historii Polski z perspektywy osobistej. Odpowiadając na pytanie, jak doszło do „sprawy taterników”, Jakub Karpiński opisuje szkołę w latach stalinowskich, październik 1956, Uniwersytet Warszawski, marzec 1968.

Str. 128.

Cena F. 55,00.

TOM 442 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

zawiera opracowania: S.N.: *Anielstwo i imperializm. Rozmowa z prof. Danielem Beauvois*; Jacek Trznadel: *Powstanie Warszawskie. Hamlet w historii*; Emanuel Halicz: *Aleksander II — Michaił Gorbaczow*; S.W.R.: *Najboleśniejsza biała plama — uzupełnienie*; Aleksander Hryniewicz: *Dziennik adiutanta Marszałka Józefa Piłsudskiego*; E. Żagiell: *Gawędy o Polakach na Kowieńszczyźnie*; *Rozmowa z Mieczysławem Rakowskim*; Zbigniew Błażyński: *Dwudziestolecie zmagania*; Piotr Łossowski: *O decyzji opuszczenia Wilna w 1939 roku*; Jerzy Jastrzębowski: *Paradoks polskiego pacyfizmu*. Oraz działy: OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 80,00.

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

## LISTY NIEWYŚLANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160.

Cena F. 70,00.